

De. II. 1
TOM CCXLIX

ROK 63

SERYA 2

ZESZYT 749

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

MARZEC.

1903.

TOM I. — ZESZYT 3.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja: Krakowskie Przedmieście 5.

1903.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Stron.
1. AD ASTRA. DWUGŁOS przez Elżę Orzeszkową i Juliusza Romskiego (dalszy ciąg) . . .	429
2. WAGNER JAKO POETA I ESTETYK, — przez dra Józefa Flacha . . .	448
3. SZESNAŚCIE DNI Z MEGO ŻYCIA, CZYLI RELACYA Z PODRÓŻY DO PETERSBURGA, PODCZAS REWOLUCYI POLSKIEJ Z ROKU 1830 — 1831 (dokończenie), — przez Tadeusza Wyleżyńskiego.	478
4. WŁASNOŚĆ ZIEMSKA W KRÓLESTWIE POLSKIM, — przez Aleksandra Kłobukowskiego.	503
5. O BOHDANIE ZALESKIM, — przez Maryę Konopnicką	532
6. KIERUNKI SPOŁECZNO - GOSPODARCZE ZA KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO, — przez St. A. Kempnera.	570
7. ROZMAITOŚCI: „Naród“ żydowski, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego	590
8. PIŚMIENNICTWO: <i>Andrzej Bonnefons</i> : Un allié de Napoléon. Frédéric-Auguste, premier Roi de Saxe et grand Duc de Varsovie 1763 — 1827, d'après les archives du ministère des Affaires Étrangères et du royaume de Saxe. Paryż, 1902, — przez A. R.	594
<i>Aleksander Mańkowski</i> : „Podróż za granicę“. Powieść. Warszawa, 1903, — przez Władysława Bogusławskiego	602
„Pamiętnik Kielecki“. Zbiór prac ku uczczeniu Adama Mickiewicza, 1798 -- 1898. Kielce. Wydanie Bronisława Bieńkowskiego. Druk St. Święckiego. Skład główny w Warszawie, w księgarni Jana Fiszera, in 4-o, stron 254, — przez Henryka Gallego.	603
9. KRONIKA MIESIĘCZNA: Kilka słów z powodu wystawy higieniczno-spożywczej w Łodzi. — Kredyt na nieruchomości w miastach prowincjonalnych. — Puste domy w Mielżynie. — Zwinięte klasztory. — Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. — Konkurs dla gospodarstw większych. — Konkurs dramatyczny imienia Sienkiewicza. — Towarzystwo pielęgnowania nauk społecznych. — Ś. p. Wiktor Szumański. — Ś. p. Julian Ankiewicz. — Ś. p. Adam hr. Krasiński. — Ś. p. ks. Bolesław Hieronim Kłopotowski, arcybiskup metropolita mohylowski.	607
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	625



De. II. 1.

AD ASTRA.¹⁾

DWUGŁOS

przez ELIZĘ ORZESZKOWĄ i JULIUSZA ROMSKIEGO.

XVII.

Interlaken.

Obok wspomnień, które opadają na gościńce życia zaporą silną nieraz, a zwykle posępną, odrzucającą prąd ludzkich dążeń od normalnego szlaku wstecz, ku rzeczom błahym i martwym, ku kwiatom dawno uschniętym i ceniom dawno rozwianym, obok żalu, iż po każdym wczoraj musi nastąpić jakieś dziś i jakieś jutro, obok smutków, tęsknych marzeń, nadziei i wielu innych jeszcze podobnych emanacji naszego „ja“, należą także zwierzenia i wyznania wszelkiego rodzaju do najniepotrzebniejszych zjawisk międzyludzkich, a nawet wprost szkodzą. Stanowią one błąd ogromny, jeżeli się uwzględni krótkość czasu i szczupły zasób sił, jakimi rozporządzamy.

Błądu tego dopuściłem się świeżo wobec ciebie, kuzynko, wskrzesiwszy wizję szczęścia, które nie istniało nigdy, i rozwinąwszy sztandary z płomienia, w których powiewie tamta wągła iskierka zatracić się musiała, jak atom zwęglonego pyłu. Błąd ten

¹⁾ Patrz zeszyt październikowy, str. 1;—listopadowy, str. 253;—grudniowy, str. 458 roku zeszłego; styczniowy, str. 14; lutowy, str. 244.

nie jest zresztą jedynym. Cały już szereg takich nieracjonalnych postępów, przed tobą popełnionych, mam na sumieniu, i co gorsza, dalej grzeszyć nie przestaje. Zaszkozi mi to niewątpliwie w twoich oczach, bo wywoła wrażenie optyczne, umniejszające mój wzrost duchowy. Przed tobą jedną wszakże nie wstydzę się grzeszyć, ani, wbrew zasadom optyki, maleć, im bardziej zbliżam się niekarną duszą do waszego, do twego bieguna. A skoro już zbliżam się do was, — do ciebie, na odległość egotycznych westchnień i egotycznych żalów, pragnąłbym bardzo wiedzieć, jak ostateczny sąd twój o mnie opiewać będzie? Czy istotnie, ilekroć nawa moja ociera się o krawędzie waszych dziedzicznych stanowisk, ucho twe łowi same tylko zgrzyty??

Ale ty milczysz. Dla czego milczysz? Czy nawet już ganić nie chcesz?

Za co ganić? Czy ognie mych zniczów, choć może dla wypieszczonych zmysłów straszne zgrzytliwością błyskawic, lub zygzakami gromów, nie są, mimo to, jasne i potężne?? To prawda, że scenarium przyrody zna inne ogniki, inne znicze, inne sztandary, że światło wątlej iskierki korzystniejszym jest dla zdrowia oczu, niż łuna pochodni, rozwichrzonej na całe niebiosy. Lecz alboż to wina jest moja, że wolałem stanąć z rozpaloną żrenicą i twarzą pobladałą przy tej niebezpiecznej pochodni, aniżeli żywocić pod iskierkowem hasłem utrzymania gatunku, jakie tli nad jamą borsuczą i nad sadybą Budnika. Jeżeli wina tu jest, to losu, czy trafu. Również i w tem niema, jak sądzę, żadnego przewinienia, że, ująwszy raz ów sztandar w dłoń, zostałem przy nim wiernie i wytrwać przy nim pragnę z całej duszy i ze wszystkich sił mojej woli. I tego wreszcie nikt z żyjących za winę mi nie pocztyta, iż srebrne żrenice budzącego się do życia dziecka uchroniłem od sfinksowych żarów, a odesłałem do grot lazurowych i do różowych obłoków. A że dziecię to, zachowane szczęśliwie dla błękitu i słońca, nie uroniło zbyt wiele ze swej życiowej energii na jałowe emanacje duszy, zwane wspomnieniem, lub tęsknotą, co do tego nie mam wątpliwości najmniejszej.

Nie możesz mi więc zarzucić żadnego wykroczenia w stosunku do waszego świata. Koranów — po próbie bezowocnej — nie zwalczam, aksamitów nie depcę, różanych krzaczków nie łamię, nektarów nie pijam. Ze strażnicy, własną wydzwigniętą pracą, staram się promienie czujnej myśli cisnąć jak najdalej w chaos mgieł bezkresnych, a wieść o ujrzanych za mgłą znakach tajemnych posyłam wierzchem społeczności ku szczytom innych wieżyc, skąd wieją pod niebo takie same, tylko że potężniejsze błyski poznania. Nowo zdobyte myśli moje, tocząc się i uderzając o fale innych wieści, zlewają się z niemi w jedno koło wspólne, które wskutek tego wzrasta i stopniowo coraz

szersze zatacza kręgi. Świat, zajęty wiecznie sprawą swego bytu i nie często zwrócony wzrokiem ku górze, nie dowiaduje się nigdy, albo wyjątkowo tylko dowiaduje się o tej grze kołujących, zlewających się i wzrastających fal świetlanych, a interesuje się nimi jedynie wtedy, gdy nieuchwytnie wyniki nadpowietrznej rozmowy przyczynią się bezpośrednio do osłodzenia lub przymnożenia życiowego nektaru. Wtedy z państwa Heliogabalów i męczenników dochodzi nas poszum oklasków, bitych na cześć tak pożytecznych dyalogów i świat rzuca nam w podzięcie—mydlaną bańkę sławy. Zresztą jesteśmy sami. Niema i w tem winy po stronie niczyjej.

Ty jednakowoż nie sądź, iż, mówiąc ci o tem, skarżę się na samotność. Nie czynię tego bynajmniej. Wiesz, że własnowolnie poniszczęłem mosty, łączące przybytek mój z gwarem i targowiskiem świata. Dawno już temu, chcąc zorientować się w sprawach tego padółu nędzy i nudy, skonstruowałem sobie przyrząd nader subtelny, na którym ważyłem wszystko, co mi pod rękę wpadło, ważyłem i porównywałem. Porównywanie to dało mi ten wynik, że wszystko, co w zgiełku targowicy cieszy się popytem, okazało się nieważkiem, jak puch i próżnia, zaś wszystko, co wykazało wagę i wartość złota, znajduje się bardzo daleko od targowej wrzawy. Stąd dobrowolne przechadzki po ścieżkach odludnych, i dla tego nie uskarżam się na samotność.

Natomiast, mówiąc dziś do ciebie, chcę ci przypomnieć, że tęsknię za twym głosem i kosztem osobistych zwierzeń radbym wpoić w ciebie przekonanie, że godny jestem twej pamięci.

A zresztą, chociażbym nawet pełen był przeróżnych zdrożności, i według litery katechizmów waszych zasługiwał na potępienie, to przecież indulgencya, właściwa sercom, w których jest kochanie, powinna cienie ponurego wyroku rozegnać i pomyśleć, że i potępieni potrzebują czasem kropli nektaru. A że dźwięk twego głosu bywa dla mnie nektarem, o tem wiesz chyba, bez wielu z mej strony słów...

Tymczasem tegoroczne *otium* moje, czyli sen letni spracowanego umysłu, kształtuje się coraz niefortunniej, a dodam tu zaraz ze szczerością wielką, za wielką może, że w znacznej mierze tyś temu winna.

Dawniej, w czasie letargów, gdy wysiłony umysł zasypiał, serce wraz z całym stadkiem chochlików wewnętrznych, przez organ ten unerwianych i ożywianych, szło na paszę, otwierało się dla barw i woni, tarzało się po kwiatach, owijało w puchy brylantowych pajęczyn, a następnie otrząsało z nich rażno, gdy uadeszła pora nowej szermierki dla odrodzonej myśli. W tym roku chochliki odmłodzenia nie zmartwychwstały we mnie i nie sięgnęły po eliksir życia. Wyginęły widać od żaru—czy też od chłodu. Serce otwiera się wprawdzie na barwy, i wonie, i echa, ale nie orzeźwia się i nie przejmuje już ni-

czem. Zetknięte z migotliwą strugą życia, odstaje od niej, jak gdyby rzecz martwa.

W otoczeniu gór przepięknych, w powietrzu, nasyconem żywiczną wonią lasów, niosącym powiewy od krystalicznych wód Aaru i od berneńskich lodowców, nie tylko nie znalazłem dotąd szukanego wypoczynku, lecz, przeciwnie, czuję w sobie bezustanne wzmaganie się jakiegoś ogólnego, męczącego mózg i nerwy, rozstroju. W tym stanie jestem nie tylko z siebie, ale i ze wszystkiego, co mnie otacza, coraz bardziej niezadowolony i ulubionym niegdyś kątem świata rozczarowany. Tybyś powiedziała, rozpatrując moje wnętrze, że zanikają we mnie w brzydki sposób ostatnie ślady bliźniej pobłażliwości. I miałabyś słuszność. Podczas gdy cały świat błyszczący i szumiący teraz koło mnie niecierpliwie mnie coraz silniej, serce moje — znów powiadam: serce, — gdyż wy, ludzie, kochający się wzajemnie, posługujecie się najchętniej tym utopijnym symbolem, — serce moje zdobywa się raczej na jakąś nutę żalu, czy tęsknoty za tem, czego mieć nie może. Jest to oczywiście objaw nienaturalny i niezdrowy.

A właśnie na ciebie, kuzynko, spada znaczna część winy, że mi się tak rozstroiło serce. Najniespodziewaniej w świecie błysnęłaś ku niemu zagadkową tęczę, dziwnie spojona z kłosów pszenicznych, sośniny, tymianu... potem na mgłach dalekich ukazałaś mu obraz mglisty borów i puszczy tajemniczych, a wśród nich sylwetki nieznanymi domostw i nieznanymi ludźmi, a potem zakryłaś to wszystko perkunową chmurą i umilkłaś, i — zatarło się wszystko, — wraz z echem twego głosu, — może bezpowrotnie. Rzecz więc naturalna, iż serce, samo w sobie niemocne, zaniepokoiło się w stopniu szkodliwym tem pasmem dostrzeżonych widziadeł. Więc może mu się roją jakieś łąki świetliste, niwy zbożyste, gaje zieliste, jakieś mary i kształty, niepodobne do tych, które mu są znane, i może dla tego, nawet na szmaragdowej fali Aaru, nie chce bić tętnem rzeźwiejszem... Czy ja wiem zresztą? Może mu się co przyśniło, — i teraz skupia się ono w zadumie nad czemś nieujętem i zniknionem? Któżby potrafił zdać dokładnie sprawę z wewnętrznych doświadczeń istoty tak do poznania trudnej, jak symbol uczucia, najnie dokładniejszy z symbolów.

Dość, że Interlaken, wraz z całą swą sławą i z całym towarzysztwem, przelewajacem się przez jego gościnne progi, wydaje mi się coraz ckliwszem i nędzniejszym.

Niesmak i nuda; ckliwość i zniechęcenie; oto wyrazy, określające najtrafniej moją atmosferę. Łączy się z tem równocześnie przekonanie, że natura samego Interlaken nie gra tu żadnej szczególnej roli, że wszędzie, gdziekolwiek towarzysze moi rozbijają namioty, powtórzyć się musi nieomylnie ten sam akord czezości i nudy! Myślę,

że gdybyśmy wszyscy, jak tu jesteśmy, zostali aniołami i mogli na środku dantejskiego raję rozłożyć się taborem, to jeszcze przed słońca zachodem wszedłbym dobrowolnie między duchy stracone i wyklęte, chociażbym miał później posyłać wzrok chmurny za utraconym rajem anielic. Nieuniknionem zdaje się tu być krążenie raz, lub dwa razy na dobę po głównej alei, w czasie koncertów, gdy wokół tłoczą się gromady zwykłych Abderytów, chciwych muzyki, sąsiedztwa słynnej góry, a nadewszysto widoku Abderytów uprzywilejowanych. Ci ostatni, krążąc po słynnej interlakeńskiej alei, albo spoczywając wśród egzotycznych klombów, nie oddają się jednak rozkoszy doczesnego bytu całkowicie i bez reszty, jak mnie ma zapewne naiwna większość widzów. Owszem, spostrzegam, że zdolność łączenia pożytecznego z przyjemnem jest u bliźnich moich wielce rozpowszechniona, i że świat pracuje. Nikt nie przestaje myśleć o tem, że koło Fortuny należy toczyć naprzód, i czy to się znajdziemy na tłumnej, koncertowej przechadzce, czy przy zastawionym stole, czy w wagonie modnej kolei, grzebiącej się w zamarzłych podwalinach Jungfrau, wszędzie natrafimy na skrzących pracowników, kółkiem swem zatrudnionych.

Oto na przykład uważam, iż ojciec mój nie pomija żadnej sposobności prowadzenia obszernych rozmów z pewnym wysokim dyplomatą, przybyłym tu z Berlina. A z wzajemnego ożywienia wnosić mogę, że chodzi tu o nowy jakiś plan ojca, któryby nie tylko korzystnym był dla obu zaprzyjaźnionych rządów, ale i obu panom przysporzył imienia wytrawnych polityków.

Uważam, że powabną Cleonę, która okrąża aleję w przeciwnym, niż my, kierunku, i krzyżuje się z nami w połowie drogi, oblega kilku młodych Francuzów, i że każdy z tych panów pracuje w myśl swych separatystycznych zamiarów.

W podobny sposób pracuje tuż przede mną inny, nieznan mi bliżej, pan, o imponujących plecach i krwistym karku, który w trzech, zdaje się, językach i — jak się zdaje — bez żadnego skutku usiłuje rozruszać i rozgrzać nieprzystępną Oreadę, często małowówną i zamysłoną.

Nawet arystokratyczny dygnitarz naddunajski, zażyły przyjaciel naszego domu, przechadzając się ze mną, nie marnotrawi czasu, albo przynajmniej przypuszcza, że nie traci go marnie, chętnie bowiem zasięga u mnie zwięzłych informacji o bieżących zagadnieniach i sporach oderwanej nauki, na których dokładniejsze studjum w nawale spraw publicznych i towarzyskich czasu mu nie staje. A gdy rozmawiamy tak o rzeczach wysokich, oderwanych i mądrych, nie nasuwamy z pewnością tego domysłu żadnemu z widzów, chciwych

naszego widoku; niemłody, ale nieskazitelnej wytworności mąż stanu, skierowawszy rozmowę na którąkolwiek z kwestyi tak aktualnych, jak czwarty wymiar, lub nieśmiertelność duszy, prowadzi mnie protekcyjonalnie pod ramię z miną rzymskiego mecenasa, i słysząc wszystko, co do niego mówię (prócz lekkiej ironii, która mi się mimowiednie miesza w te sui generis wykłady) zwraca jednocześnie szybkę swego monokla w tę i ową stronę, raz po raz witając znajomych porozumiawczem rozjaśnieniem wygolonej twarzy; to znów upoczywie zatrzymuje szybkę na postępującej przed nami Oreadzie, jak gdyby interesował się wyłącznie nieśmiertelnością tej jednej pięknej. Aż wreszcie przerywa mi na pół szyderczą, na pół tryumfującą uwagą, że jednak ta nasza wiedza nawet w kwestyach zasadniczych na żadne jasne, krótkie, stanowcze „tak“, lub „nie“, zdobyć się nie może, poczem przypomina mi z Goethego, że wszelkie nasze filozofowania są dyabła warte. Ja zaś, który bez Fausta, na własną rękę i już od dawna dotarłem do poznania tej prawdy, że filozoficzne systemy są szare, a tylko drzewo życia ma się zielono, wtóruję mu z całą ochotą. Przygodni widzowie są bez wątpienia przekonani, że udzielamy sobie spostrzeżeń nad budową i różnorodnemi zaletami wyprzedzającej nas kobiety, lub innych dam, obecnych na promenadzie, podczas gdy faktem jest, że wielki mąż stanu zaprawia w danej chwili umysł swój na rzeczach wysokich, oderwanych i mądrych, i że w kole jednostek pracujących nie przedstawia wyjątku.

Słowem, czynni są wszyscy, i to nietylko tutaj, nad Aarem, ale i w Trouville, i w Biaritz, i wszędzie. I oto cóż się okazuje. Okazuje się, że kiedy wszyscy wokoło mnie zatrudniają się i pracują nad tem, aby na gościńcu życia zejść jak najdalej, a przynajmniej iść jak najwygodniej, ja tylko jeden, uważający się ongi za człowieka ambitnego i pilnego, stoję na miejscu beczynnie, z założonemi rękoma, i może niezadługo sam nie będę umiał rozstrzygnąć, co jest na tym świecie ważniejsze: trony Sfinksów, czy lakier mego obuwia?

Nie bierz mi za złe sarkazmu i goryczy. Inny jeszcze pokażę ci obrazek. Naprzeciw naszego hotelu usadowił się na chodniku jakiś pomysłowy, choć obdarty, astronom z lunetą, przez którą za dnia pokazuje wierzchołek Jungfrau, a gdy się zrobi ciemno — Saturna. I przy tej gwieździe wieczornej zatrzymują się nasi pracownicy. Teleskop jest lichy, jednak kontury srebrnej planety odrzynają się ostro od czarnego tła nocy; widać wyraźnie płasko zatoczony pierścień obwodowy, a nawet połowiącą go linię Cassiniego. Ale soczewka teleskopu umieszczona jest niewygodnie i bez żadnej stałej podstawy, tak, że niewprawnemu trudno jest utrzymać źrenicę spokojnie i bez ruchu. Aby więc zadanie to ułatwić, wpada ów silny pan

o imponujących plecach na pomysł, który mi jeszcze więcej zaimponował: pochyła nisko swe barki i nie dba o natężającą pozycję, byle tylko panie, zyskawszy punkt oparcia na jego ramionach, mogły dokładnie przypatrzeć się Saturnowi. Rzecz prosta, że i inni mężczyźni nie dają się zawstydzić i ubiegają się gorliwie o rolę słupa i karyatydy. Badania rozpoczynają się na nowo i trwają dłużej, lub krócej, stosownie do tego, kto patrzy, kto pomaga, kto jest wprawniejszy, lub sprawami ciał niebieskich goręcej zajęty i t. p.

Gdy kolej przychodziła na Oreadę, poprosiłem ją półgłosem, aby się widoku Saturna wyrzekła, spojrziała na mnie z chwilowem zdziwieniem i cofnęła się istotnie wraz ze mną od ulicznego obserwatorium. W nagrodę za tę drobną uległość, opowiedziałem jej wszystko, co wiem i myślę o pierścieniach Saturna. Lotne pasma mgieł fosforycznych i palących uwięziły gwiazdę olbrzymią, której obwód przewyższa o setki tysięcy kilometrów obwód naszego globu. Mimo tych kajdan wyszedł Saturn w opowiadaniu mem bardzo potężnie, i nie tylko Saturn, ale cały firmament, tak potężnie, że garstka istot zebranych przy teleskopie w Interlaken skurczyła się do rozmiaru garstki maryonetek, niepozornych, tanich, poślednich, o mechanizmie jednostajnym, bardzo prostym i bardzo mało zabawnym... Długo mówiłem słuchaczce mojej o wielkich i małych wymiarach—a odwiodłem ją był od zajęć przy lunecie dla tego, że w doborowem towarzystwie naszym ona jedna wydaje mi się często tak samo, jak ja, beczynną, i o kółko życiowej Fortuny niedbałą; ta jedna.

Skoro przyjaciółka Idalii odjedzie, będę na gruncie tutejszym jedynym już osobnikiem, stojącym na miejscu i gnusnością swą odbijającym od innych.

Aby otoczenie swe naszkicować, wybrałem na chybił trafił parę rysów drobnych, jednak dostatecznie charakteryzujących świat ten, w którym kwitną psianki *consolantes*; tak je nazwałaś, jakkolwiek grzeczniej możnaby mówić o orchideach, które, im piękniejsze i droższe są, tem bardziej wyglądają trująco. W otoczeniu ich nic mi się stać nie może, ponieważ orchidee wyczuwają instynktem, że jad ich mnie nie nęci i same odwracają się ode mnie ku wdzięczniejszym ofiarom. Ten tylko paść może ofiarą, kto, zwabiony świetnością kielicha, pragnie gorączkowo wkraść się do jego wewnętrznych tajemnic. Ja je znam i wiem, że oprócz jednego motywu, zawartego w abecadle bytu, nic zresztą w sobie nie kryją, i dla tego wszystkie wydają mi się aż do dna poroztwierane, płaskie i puste. Przebywającemu w zbytkownej kwiaciarni, nasycionej zapachem silnym i drażniącym, zdarzają się momenta pożądań nagłych, niecierpliwych, aby przynajmniej w najpiękniejszych kielichach znalazła się jakaś treść, godna ich ze-

wewnętrznej szaty, ognista a tajemna, dla której wartoby było kusić się o nie. A gdy uświadomię sobie, iż gorącej mej żądz w sferze tej nie nie zaspokoi, wtedy na horyzoncie mym pojawia się ciemny anioł melancholii, sypiący hojną dłonią czarne kwiaty, a od tych kwiatów jego padają na mnie cienie, widome dla wszystkich. Wtedy storczyki szukają stron słoneczniejszych i odwracają kięlichy, mnie zaś opanowuje uczucie czczości bezmiernej i znużenie doszczętne. W takich razach odczuwam też w dwójnasób mą najzupełniejszą samotność w ludzkim tłumie i jeszcze wszechstronniej poznaję, że koło mego życia o żadne inne się nie zazębia.

Być może, iż w kniejach puszczy, zaludnionej ludem dębów i prastarych sosen, odnajdywałbym dokoła siebie więcej nici powinowactwa i spójności! Tędy ciągnie się wyraźnie granica mojego ja i dziedzina moich interesów; tamtędy przebiega wyraźna granica dziedzictwa i interesów ludzkich, pomiędzy niemi przepaść. Tu i tam czuję swą zbędność, odrębność, samotność; przepelnia mnie i aż do omdlenia przepelnia owo uczucie czczości, nudy, niesmaku, na które nie stać tych, co może zazdroszczą mi poniekąd domniemanych powodzeń, przywilejów, tryumfów!

Życie uchodzi czasem za olbrzyma, z którym się trzeba borykać, by wywalczyć krawędź ścieżki dla siebie. Mnie wydaje się ono płazem szerokim, przygniecionym czemś olbrzymiem i uięwidzialnem, który wije się w szlamie złocistym i dobywa tu i owdzie na powierzchni koronę kwiatu, splamioną złotem i rozdartą.

Jedyną rzeczą, zawsze piękną i niepokalanie świeżą, jest tutaj Jungfrau, królująca nad wszystkim, zwłaszcza gdy wypływa na niebo z odmętu białych obłoków, — niezrównany symbol czystości, wyższy nad lilie i dziewice.

A także pięknym jest Aar, który lubię, że taki zielony, kryształowy i szumny, przynosi w swych falach powiewy i chłody od wyżyn bezludnością świeżych i wyrzuca je z piersi tutaj, wśród pozłacanej prozy hotelów i zagajeń rojnych od kobiecych tualet. Zazdroszczę mu prawie tej jego nieomyślnej obojętności i tego spokoju egzystencji, wiecznie biernej, z jaką nie przestaje przelewać się z jeziora do jeziora wstęgą szeroką i równą, przeciągniętą bezkarnie przez bulwar wielkomiejski, przez turkot hotelowych pojazdów, przez kalejdoskop uperfumowanych lalek. On zaczyna się, trwa i kończy sam w sobie, ma własny miarowy ruch i oddech własny, przyniesiony z lodowej kolebki, nad którą straż trzyma ciemna piramida Finsteraarhornu. Cóż go obchodzi, czy w licach jego przeglądają się zmurszałe chaty góralskie, czy białe pałace wyrafinowanego zbytku? Nic go nie mąci i nic nie wstrzymuje.

O ileż wyższe strażę otaczają źródła, z których struga myśli mojej bierze swój początek — a los jej mimo to jakże niepewny i chwiejny! Jakież to siły wstrzymały ją i mącą, i wyczerpują tak, że wysychać się zdaje aż do dna? Malutki zgiełk, idący od garstki satyrów, trochę błyskotliwej kraszy, tęczącej na ciałach anielic smutnej małości: nic, tak zupełnie, jak atom woni uciekający z przywiedłego kwiatu; a ile zużytej energii, ile zmarnowanych sił i straconych myśli?

Biało ubrana kobieta wstępuje czasem ze mną na stoki Har-deru, sąsiedniego wzgórza. Są tam pawilony i ganki drewniane, dające widoki słynnej piękności, a wyżej nieco porasta las modrzewiowy, sadzony w sznurach skośnych i skrzyżowanych. Aż tam dochodzimy niekiedy, my dwoje. Sami dwoje: więc w księdze mego życia otwiera się karta powodzenia, rozkoszy, tryumfu... A jednak nie chcę jej otwierać. Nie warto. Siedzimy na niskiej ławce leśnej w milczeniu, zatopieni w myślach odrębnych. Z dołu przez modrzewie i klony przeblyskuje pas rzeki, a poza nim srebrzą się w półkregu egzotycznych krzewów wysokie obeliski fontanny i minaretowe kopuły kursalu; dolatują też stamtąd urywane dźwięki koncertującej orkiestry, dźwięki niedokładne, bo skrzypcowe śpiewy rozpraszają się gdzieś po drodze, a nas dochodzi jedynie zawrotny refren metalicznych tonów, liczących rytm baletowej muzyki. Z taktów tego rytmu zdają się splatać taśmy różane, płynące przez modrzewiowe kraty aż do nas. Róże Schillera...

Wzgardziłem różami na wierchołku skalistej wyżyny, która tuż przede mną zamyka krajobraz, a teraz nie potrzebuję odrzącać ich bo mię nie wabią. Zresztą oczu moich nie nie wabi. Oto szary demon melancholii, którego widuję często, przesuwa się przez dolinę cicho, posępnie i rozrzuca hojną dłonią posiew cienistych zasmuceń. Od wielkiego demona zapada wokoło mnie zmrok i czyni ze świata rzecz płaską, bladą, martwą, której przytłumione wołanie, ów refren taneczny, odbija się od drzewa do drzewa. To echo schyłkowego przesytu, gdy wzbija się w górę i błądzi wśród pni, tętniących krwią żywiczną i mocną, zamyka w sobie jakąś bezdeń ironii. Dziwniejszym jest to jeszcze, że kobieta, będąca ze mną, która w epoce minionej naiwności i minionej siły byłaby niewątpliwie królową Sądów Miłości, zdaje się również treść metalicznych dźwięków rozumieć i widzieć cienie demona zasłaniające widnokrąg. I ona poniekąd nie posiada umiejętności życia. Aksamitne jej oczy, zamiast błyszczeć świadomością zwycięstw—gasną. Czerwone wargi obciągają się wyrazem goryczy... A przecież w życiu, którego godziny mierzą się na

tanecznych rytmach, czarne oczy i czerwone wargi to potęga, to skrzydła unoszące najdalej i najwyżej!

Gdybym żył w dawno prześlonej epoce pierwotnej naiwności i pierwotnej siły, byłbym się stał rycerzem tej królowej rozkoszy, wykolejonej i smutnej. Wiłbym wieńce z pieśni mamiących i, klęcząc u jej kolan, modliłbym się żarliwie o nagrodę miłości. Dzisiaj składamy parę jakgdyby na pośmiewisko tego rdzennie zdrowego lasu, którego korzenie z żywiołowym uporem wciskają się w skałę. Wszystkie iskry życia gasną pod zasłoną owych nieokreślonych zmierzchów, ogarniających całą dolinę. Zaledwie mogę dostrzedz śnieżne oblicze Jungfrau, zawieszony nad nieskończonym mrokiem, daleko i wysoko...

Nie na to jednak się skarżę, iż nie umiem żyć tak mocno, jak żyje modrzew albo dąb, rozkorzeniony w skałe. Inne zakresy bytu otwarte są przede mną.

Jeżeli słowa moje dzisiejsze mają być skargą, to uskarżam się na nędzę i klęskę tej połowiczności, jaka mi pruje duszę. Na to, że zamiast rozkuć lwa myśli i wskazywać mu nowe szczyty, na których powinien stanąć zdobywcą i obudzić najszerze echa wieścią o nowej zdobyczy, marzę o jakichś mglistych, dalekich baśniach, że, zamiast rozrywki, jaką dawać mi powinna obecność rozbawionego tłumu, zastanawiam się nad tem, iż w tłumie tym twarze kobiet nie czerwienią się nigdy i że z żadnej z nich nie zdołałbym wyczarować dla siebie ani okruszyny szczęścia.

Wreszcie i na to także skarżyć mi się warto, że skargą szukam twego głosu, że wyobraźnię twą chcę skłonić ku sobie, wyznając ci rzeczy, których człowiek mojego stylu nie zwykł mówić nikomu.

Szczęście! Wybraliśmy się w towarzystwie niewielkiem przez Col de la Petite Scheidegg pod lodowce. Budowa kolei na Jungfrau o tyle postąpiła, że lada nektarnik, nie zmieniwszy nawet wielkiej tualety na rynsztunek turysty, może dziś przechadzać się po lodowej skorupie, używać sanny po zaspach śnieżnych, oglądać zblizka tumany śnieżnego mniału, ulatujące z lawin, spoziierać w przepaściste rozręby lodowego płaszczu, w których głębi szemrzą niewidzialne strumienie i czai się śmierć... Ale o śmierci nikt tam nie myśli. Przeciwnie. Widziałem że ożywiały się tu twarze, najbardziej nawet wybladłe.

Są tam chodniki podziemne, wydrążone w lodzie, w które Eros powinien z zawiązanymi oczyma wprowadzać miłosne pary. Idzie się tam żłobem błękitnym, który na dotknięcie stopą odpowiada jękiem

szklanym; błękit przepaja ściany, sklepi się w łuki przejrzyste nad głową, przenika ludzkie postacie, napelnia niebem źrenice, nawet w mowie ludzkiej zdaje się rozbrzmiewać. Im głębiej się tam wchodzi, tem więcej czarów i tajemnic brylantuje na szklanych ścianach, tem chętniej roztopia się serce w srebrno modrem więzieniu. I tam znaleźliśmy się sami, we dwoje. I tam również poszedł za mną geniusz żalu, za jakąś stratą wielką, a niewiadomą...

Przekonałem się nieodwołalnie i po raz ostatni, że i ta piękność, która szła u boku mego, górująca nad innemi—nie tylko pięknocią—nie mi dać nie może. Nie ogrzałem się ciepłem jej oddechu, nie poszukałem jej ust gorących, które mogły być mojemu. Patrzyłem na nią potem, jak stała u wejścia, w kryształowej bramie, z dłonią opartą o filar zimnego sklepienia, na pół jeszcze przymglona światłem podziemnym, na pół już dotykana jaskrawością słoneczną, myśląca może o tajemnej przegranej...

A ja? Myśl moja pierzchła od tej postaci błękitnej i od lodowej groty, wyżej, na stoki śnieżne, piętrzące się opodal w załomiska coraz dziksze... i utknęła niebawem — nie wiem dla czego — na twym „A wisie“.

Czy też przesadziłby on zwycięsko te mroźne zapory? Czemby go rozognić? Jakby go podkuć? Podkowy ze stali byłyby twarde i mocne, ale za mało świetne... ze złota piękniejsze, lecz zbyt miękkie... Możeby mu przypiąć skrzydła jakiegoś niepamiętnego zapału... albo jakiegoś ogromnego uczucia?.. Możeby go zresztą zepchnął do lodowatej czeluści, ażebyś nie miała już czem gonić po twej puszczy i została na swem obejściu, bezradna i opuszczona...

Tymczasem czekała mnie wędrówka na dół elektryką i parą, z całym aparatem monoklów, perfum, pudru, francuszczyzny, krwistych karków i wygolonych twarzy...

XVIII.

Interlaken

Upłynęło znów trochę czasu, nie dałaś mi ani słowa. Jest to znak, że, jakkolwiek daleko zasunąłbym się w przyszłość, przyszłość ta nic mi już nie przyniesie od ciebie. Tak więc nie spełniła się da-na mi obietnica o trójliściu dobrej wroźby. Dlaczego przedsięwzię-

łaś tę próbę, aby wnet tak bardzo po niewieściemu odmyślić się i nie kończyć?.. nie mnie w to wchodzić. Z prozelityzmu nie możesz mi czyścić zarzutu; ustał bardzo rychło. Co do mnie, myślałem istotnie o jakiejś dobrej wróżbie. Ale, jak widzę, nic nader dobrego przydarzyć mi się już nie może... Łatwo przyzwyczałem się do twego głosu...

Szkoda. Spotkanie nasze było dziwne i piękne.

Gdy cofnę się myślą do chwili, w której ostatni raz zwracałem się ku tobie, spostrzegam, że czas ubiegły wycisnął znaczne ślady na mej duszy. Przychodzi mi wielka ochota mówić z tobą. Nie waham się ani trochę. Popeliłem w ostatniej porze tyle niekonsekwencji, że jedna więcej nic nie zepsuje i nic nie naprawi. Wiem zresztą, że milczeć byłoby lepiej, może chlubniej, dumniej... Mniejsza z tem; mówię jednak do ciebie.

Postanowiłem dotrwać na miejscu aż do wyjazdu mojego ojca, chociaż przebywanie w tutejszej atmosferze staje się dla mnie z każdym dniem trudniejsze; ostatecznie nie potrwa to zbyt długo. Powodowały mną różne względy; przedewszystkiem wzgląd na ojca, który kocha mnie bardzo, mimo, że niepodobna wyobrazić sobie dwóch ludzi skrajnie obcych sobie i równie oddalonych sferą zapatrywań, interesów lub dążeń. Kierowałem się też pewnymi względami na kobietę, wspomianą tu kilkakrotnie pod imieniem Oready. Pani ta opuściła przed paru dniami Interlaken, udając się do Idalii nad morze. Otóż gdybym i ja wyjechał stąd bezpośrednio po niej, potwierdziłbym mylne domysły, których przedmiotem stał się wzajemny nasz stosunek. Chciałbym temu zapobiedz, tak dla niej, jak dla siebie, i nie lekceważyć pozorów. Gdy odjeżdżała byłem przy niej; ale między kwiatami, które mi wysłano jej wagon, nie było żadnych ode mnie.

Gdybym był zwykłym mężczyzną, dbałym o atłasowe epizody życia, dla zaspokojenia żądań swych potrzebowałbym świadomości, że kwiat napełnił się słodyczą dla mnie jednego i że ja jeden z pośród tysięcy mam być dopełnieniem jego losu. Gdybym brał czynny udział w komedji życia i wiedział, że podobny kwiat tęskni do mnie i ku mnie płonie, być może, iż byłby to dla mnie powab silniej nęcący, aniżeli królowanie duchem na wysokościach świata... Ale w niezdrowej atmosferze przesytu, niesmaku, niemocy, którą oddycham, niema owego kwiatu z pewnością. Czy może on dla mnie gdziekolwiek rozkwitnąć i wezbrać nektarem? kędy szukać cudotwórczej krainy?

.

Do szeregu nieroztropnych zagadnień, wyrastających z rozkołysania serca i wyobraźni, należy też marna ciekawość: czy ja i ty, kuzynko, spotkamy się w ciasnych wymiarach niniejszego bytu? czy też na torze naszych przeznaczeń, poruszamy się w kierunkach na zawsze rozbieżnych?

Zapytanie to wzniosło się pewnego dnia mgłą tak gęstą nad pustym brzegiem Aaru, że widok srebrno-zielonej rzeki i skał szarozłotych, i śniegów liliowo-białych, zniknął kędyś zupełnie z przed mych oczu i nie było nic, czemby się myśl moja napełnić mogła. Aż zaludniła się marną gmatwaniną marzeń, przywidzeń, wspomnień i żalów...

Czemże jest gra pamięci? Czemże innym, jeżeli nie snem o rozprószonej plejadzie gwiazd niezatrzymanych, jeśli nie zasypywaniem wypalonych popiołów, odgrzebywaniem zgliszcz czarnych, od których zaćmiewają się wszystkie słońca w nas samych i nad nami.

Zdaje się nawet, że pytałaś mnie kiedyś o takie wewnętrzne ciemności. Nie znałem ich dawniej.

Gdy bladym tłumem otoczą mnie wspomnienia, nadciąga wnet moc inna, dawniej niewidzialna i nieznaną, moc budzącego się nieopatrznie żalu nad losem własnego życia. Budzi się żal nad dzieckiem, kochanem przez rodziców, którzy je na świat wydali, szczególnież kochanem niegdyś przez matkę, która pragnęła zapewne całą siłą serca, aby nad czołem jedynaka przez życie całe nie smutne potęgi rozkładały się cieniem, ale aby mu brylantowe słońce świeciło wiecznym weselem. Nie stało się po myśli mej dobrej matki. Przeglądając kartę po karcie z ubiegłej już części mego życia—i to części zwykle najbujniejszej—złękłoby się jej serce niewątpliwie i w niepokoju swym możeby na nowo bić zaczęło, aby pomagać, ratować! Czemże są zapisane te karty? Czy są na nich plamy i błędy, od których spaczyć się musi i spróchnieć oś pozostającej mi jeszcze przyszłości? W godzinach bezcelowej zadumy przerzucam kartę po karcie i nie znajduję płamiących obłędów. A jednak... Ponad powszedni gościniec wstąpiłem na jakąś wyżynę stosunkowo znaczną, lecz wzniesiona piramida myśli okazuje się górą szklaną, z której ścian jałowych i bezludnych ześlizguje się pamięć odrazu aż w początki dzieciństwa. Z wyprawy w przeszłość nie przynosi nic a nic dla serca, chciwego słodkich pamiętek.

Sercu omdlewającemu za żywymi źródłami, cóż po szklanej górze!

Więc jest gorycz i słoność łez i szereg pogardzonych godzin, które wstają z grobu przeszłości, jak mściciele, i ściągają się w hufce, które wicherzą się wkoło mnie bezkarne, wołając „Gdzie szczęście?” Lękam się chwili, gdy otoczą mnie z wołaniem „Zapóźno” i zapadną znów w otchłań niebytu, zostawiając za sobą tuman rozmiecionych popiołów i ostatnie błyski strąconych gwiazd...

.

Nie ja zniszczyłem w sobie narzędzie pieśni, ale zniszczyła je nieubłagana trzeźwość poznania. Musiała je zniweczyć. Sądzę, iż tylko istoty, oddalone od analizy i nieznające mechaniki bytu mogą wyśpiewać pieśń życia. Potrzebna do tego uległość i pokora stworzenia jest ich wrodzoną naturą.

Ja byłem snadź nazbyt niecierpliwy i rączy, analizowałem za długo, rozokoliłem horyzont swych pojęć za szeroko i teraz wiem za wiele. Mądrość moja wynaturzyła mnie z pierwotnej uległości i pokory. Z obszarów przeznaczonych ludziom, aby w nich żyli i trwali z pokolenia w pokolenie, wyszedłem z ciekawością palącą i po długiej wędrówce oparłem się aż tam, skąd źródła wszelkiego życia biorą swój początek. Znam każdą nić, z której życie się przędzie i genezę każdej z sił, które we mnie samym są czynne i dlatego, wyschły dla mnie wszystkie źródła.

Nieprawdę mówię, twierdząc, że jestem utożsamieniem prawdy absolutnej, pierwszej i ostatniej. Nikt jej nie zna. Im mądrszym czynią mnie lata pracy, tem odległość dzieląca mnie od tej prawdy zdaje się wzrastać. Zaledwo przeczuwam wielkość i wyraz jej oblicza. Wszystko, co u ludzi nazywa się wiedzą, jest tylko mglistem jej odbiciem, cieniem tego odbicia, cieniem cienia i wykładnikiem tak bardzo odsuniętym i pośrednim, że wiedza sama w sobie — mało się różni od wiary. Ale już te słabe rozbłyski, te odbicia i okruchy poznania odzierają z wszelkiej zjawiskowej kraszy szkielet życia. Patrząc na jego nagość, niepodobna śnić życia, śpiewać i kochać. Wiedza, jak Empuza greckiego Hadesu, odziera i obnaża wszystko, czego się do-

tknie. Trzeba się wyodrębnić na tron Losu i Stwórcy i trzeba skrzepnąć w kamienną sfinksowego wzroku, aby znieść widok odsłoniętych kołowrotów, zależnych, niewiadomo jak i niewiadomo po co, od wiru jednej osi, osadzonej poza czasem i poza przestrzenią. Inaczej, stałby się ów widok nieubłaganie przejrzysty gromem nadczłowieczego bólu, albo wybuchem nadczłowieczego szyderstwa.

Cokolwiek ma być i żyje, szarpie się na łańcuchach i smyczach, które sobie samo uwiło i wić musi w nieskończoność. Jest to przymusowa praca dobrowolnych tortur i samobójstw, ciągnąca się od czasów, kiedy nie było jeszcze ani czasu, ani przestrzeni, ani nawet wyraźnej granicy pomiędzy bytem a nie bytem. Te same siły tarzają się w paroksyzmach, któremi ludzkość znaczyć musi swą historię, te same potęgi ścierają się w walce o chleb, toczonej przez jednostkę z głodem społeczeństwa, do którego krwią i kością należy, i te same siły rzucają narody o narody, jakie szamotały się z sobą ongiś, w pierwszych ruchach, huraganach i oddechach przedbytu. Jako człowiek, nie mogę nic pomyśleć, nie powiedzieć, niczego chcieć i za niczem tęsknić, co nie było koniecznym następstwem całej przeszłości i koniecznym początkiem tego, co przyjdzie. Gdy pełzak, w przegniłej wodzie urodzony, wyciąga cieniuchne niteczki swej plazmy, aby wessać w siebie odrobinę tlenu, gdy glista wgryza się w grunt, pochłaniając ziemię i przemienia ją niestrudzenie w czarną próchnicę, i gdy ja sam wysiłkiem mózgu staram się wtargnąć w jądro bytu i zdobywać zeń częśćkę po częśćce dla poznającej myśli, wszędzie powtarza się jedno i toż samo napięcie woli, jeden ruch, w trzy fazy zróżnicowany, i nie wiadomo nawet czy faza moich usiłowań jest w czemkolwiek wyższą od usiłowań ameby? Najpewniej nawet wyższą nie jest, bo w tym i tamtym ruchu, w tem i tamtem napięciu woli realizuje się jedna i ta sama konieczność, jedna i ta sama prawdziwość matematycznych pewników, ziszczających się raz po raz — w nieskończoność.

Chociażbym był wcieleniem wszystkich geniuszów i zapłonął pożarem najwyższej ekstazy, jeszczebym nie był w stanie wyzwolić się z tej błędnej obierzy i wydobyć z siebie coś, co nie byłoby dziedzictwem, wziętem od glisty, ameby i kosmicznych mgławic. Jeżeli rozmyślam nad możnością narcyzowego szczęścia, to daję wyraz tym samym popędom, które robaka łączą z robakiem i każą astronomce-kocie wpatrywać się uporeczywie w teleskop. Wszystko, co w nastrojach interlackiego sezonu niespodzianie obudziło się we mnie i zawładnęło wyobraźnią, to poszukiwanie wspomnień, ów żal tajony, że nie

miewam wspomnień innego rodzaju, jak pusty Aar, Harder, Schynige Platte lub Giessbach: wszystko to jest znamieniem mego fizycznego wieku, instynkt wskazuje mi porę zakładania własnego gniazda.

Ze świata nikt nie powinien schodzić bezpotomnie. „Il lauro non ad altro serve che ad attirare il mirto“ — wołają wasi poeci. Oto źródło Hippokreny, z którego wypływa cała wasza poezya. Toczenie krwawych bojów w interesie instynktów, albo spijanie wszystkich piołunów w walce z instynktami gatunku. Dla kamiennej przedmiotowości Slinksa wynikają stąd formuły cenne i doniosłe, tem ważniejsze, że identyczne z kłótnią atomów w retorcie i z obrotami światów; skoro atoli czujemy, że sami jesteśmy ujęci w pierścień tych formuł, że żadnym rokoszem, ani żadną rozpaczą nie możemy się usamowolnić, chybabyśmy zniszczyli samych siebie, wtedy stan naszej duszy jest nie do zniesienia, i dla tych, którzyby szczęścia pragnęli — bez wyjścia. Bo wtedy krew woła we mnie o prawa swoje, wyobraźnia idzie w służbę tego wołania, pierś tęskni za drugą pierśią, aby stworzyć gmach szczęścia różowy, a inna strona mej samowiedzy mówi mi równocześnie, że epitalamium miłości mojej równa mnie z robakiem i garścią błota, które ma również swe prawa spójności i ciężenia.

Ach, zdaje mi się, że i z aniołem nie zbudowałbym szczęścia na ziemi! I jego pokalałbym, dotknąwszy ustami jego czoła. A przysięgam, miewam serce dziwnie dotkliwe... i w chwilach swych bezprzykładnych smutków i uniesień załamywałbym nieraz dłonie w rozpacznej żądzy wyższego bytu i wyższej miłości ponad światem i ponad ludzkością. I chcę kochać inaczej, niż kochają się atomy, ludzie i planety. I zrywa się we mnie jakieś bezdenne płakanie, iż nie mogę, jak bóg iudyjski, wyjąć dla siebie kochanki z płonącego stosu i ponieść ją w krainę własną, nie znającą ani czasów, ani wymiarów, aby przez życie i miłość swoją tworzyć nowe prawa, nowe myśli, nowe uczucia, nową przeszłość i przyszłość..

Wydawać się to może oznaką obłądu, a jest, przeciwnie, nadzwyczajną trzeźwością. Tak zachowuje się umysł ludzki na najwyższym szczeblu uświadomienia. Złym jest jedynie ów rozstrój nerwowy, który okazał się silniejszym od zdrowodajnych wpływów alpejskiego klimatu i resztę młodzieńczej żywotności stara się we mnie zgładzić. To też, mimo klimatu i rozrywek, wyglądam tak lichy, jak pesymistyczny poeta, i w miarę jak lato przemija, a sezon zbliża się do końca, czuję w sobie wzrastające znużenie. Nie opuszczę jeszcze Szwajcaryi, ale przeniosę się głębiej w góry, gdzie piękno przyrody

nie sprzedaje się hurtownie, jak gdyby na targu, i gdzie mógłbym sobie po długim czasie przypomnieć, jak właściwie wygląda las, skała i lodowiec. Może się tam nerwy moje uśmierzą. Nęci mnie Jungfrau, niebotyczna i biała. W dziewictwie swem wydaje się wieczną. Ale i ona przemienie...

Tymczasem życie rozściela przede mną swe aksamity. Wieczór dzisiejszy zapowiada się świetnie. Do okien moich wpadają już światła pierwszych lampionów. Niebawem zajaśnieje park cały tyśiącem płomieni. Na wierzchołkach gór jawią się ognie czerwone i białe, podobne do gorejących kwiatów, Kanton obchodzi dziś iluminacyą i nocnym festynem jakąś narodową rocznicę. I nasze towarzystwo uświetni tę uroczystość. Będą przytem ludzie pracować. Ojciec mój ugodzi się zapewne dzisiaj ostatecznie, co do programu swej zamierzonej dyplomatycznej akcji. A ja? Pod wpływem ogólnej wesołości, pod żarem namiętnych spojrzeń, przy dotykaniu ramion, cofających się w ścisku w moją stronę, obudzi się może i we mnie zdrowy instynkt gatunku i weźmie górę nad chorą hypertrofią myśli.

Może owałdnie mną żal nowego rodzaju, żal, iż nie umiem być ulicznym piechotnikiem, i zazdrość, że krótkiej błyskawicy mego istnienia nie potrafię wykorzystać tak, jak wyzyskuje ją gmiu z pochodzenia albo z ducha, nie wylęgający w swym mózgu żadnych ambicyi ani pożądań, któreby wychodziły poza granice i cele najpierwotniejszych kodeksów natury. Czuję się zdolnym do podobnej zazdrości i dla tego na widok tych pstrych lampionów i w obliczu rojnego tłumu, wstyd pali mi czoło, że, gardząc niziną jego instynktów i rozrywek, nie mam prawa wyłączać się od współnictwa, gdyż sam lepszy nie jestem—ja, syn Arysteuszowy...

Zaiste, chociaż sto lamp stubarwnych oświeca mi drogę, a przy twarzy mej błyskają ogniste źrenice, widnokregi moje nie są widne ani ciepłe. Ani widne, ani ciepłe!

Więc usuń z przed twarzy swej perkunową chmurę... Powróć z chłorem widziadeł... z królewską swą baśnią...

.

Och, wiem, wiem, coby mnie jeszcze wesprzeć i ukoić mogło!

Nie śnieżne konwalie, nie korowody łabędzie, nie wiosny płomienie błękitne! Pomódzby mi mogła potęga olbrzymiej miłości ja-

snej istoty, która całą sumę własnego szczęścia przeniosłaby na mnie i nie tylko pragnęła być kochanką moją, ale zarazem siostrą, piastunką, matką, opatrznością... źródłem natchnienia, źródłem głębo-
kim... Nie promienistość dziecka, lecącego na blask i do słońca, ale łagodna, mleczna jasność miesięczna, rozpostarta nad głębiną wylanych i uspokojonych łez, a przytem wielkość ducha... Ale — to sen...

Byłoby to kochanie, od którego się robi cieplej i jaśniej na świecie. Poszedłbym bez lęku w tę srebrzystość uczucia, pod strażę bezpieczne i słodkie, pod gwiazdy...

Ona, niosąc w piersiach bezmiar miłości i przebaczenia, chłodziłaby mi skroń miękką dłonią. Przed nią jedną otworzyłbym mroczne tajniki mej duszy. Dla ran moich onaby miała mądrość ofiarniczego serca i cichy balsam życiowego doświadczenia. W pioluny zwątpień, z analiz mych wyciągnięte, wlewałaby kropla po kropli miód przedziwnie słodkiego serca, boski nektar wzajemnej tkliwości... Z nią osiedliłbym się w krainie przestrzeni czystych i lśniących, jak koncha perłowa, jak ta gwiazda-perła, która uwięziła w sobie Danta i Beatrycę... Ale—to sen!

A w zamian za wszystkie jej bogactwa, cóżbym jej ofiarował? Chyba to, co z piękności zdobywanych światów zostało we mnie odbite, i resztę harfianej spuścizny po matce, dzwoniącą w głębiach mej duszy! Któż zresztą wiedzieć zdoła? Możebym tą resztą mógł jeszcze kochać ogromnie!

Utrzymują niektórzy, że dla kobiety, — kiedy kocha — szczęściem może być nawet cierpienie.

Czy to prawda?

Kiedy kocha!.. Nie kocha mię nikt... Nie troszczyłem się o świat, i do zbudowania szczęścia nie jestem nikomu na świecie potrzebny. Nikomu. Wieszczyki - gwiazdziarki gonią iskry tęczowe, grające w słonecznych falach i doglądają świętych zniczów w rodowej świątnicy — i nikt nie obraca wzroku w stronę, gdzie ciemno i duszno — i zimno...

Nie prawdaż?

A gdyby nawet działały się na ziemi cuda, gdyby znalazła się ta jedyna, ta dobra, ta wielka, któraby zdolną była pokochać jałowe i zużone serce moje, czyżby mogła pokochać tak, iżby już tylko dla mnie żyła, jako Anioł miłości, otuchy, spokoju i ukojenia?

Czy znasz ty taką? Czy ją znasz? Czy znasz rozskrzydłonego cheruba wielkiej, czystej, głębokiej duszy kobiecej?

— Ja widzę go... Przechodzi nad mrowiem ludzkości, wysoko, samotnie, tam, gdzie najwyższe szczyty na obłokach się bielą, gwiazdy ma nad głową, — lazurowe skrzydła rozwiewa na niepokalane śniegi, a do stóp mu się garną — ot takie białe szaroty!..

Koniec tomu pierwszego.

Wagner jako poeta i estetyk.

W r. 1861 przedstawiono z inicjatywy Napoleona III „Tannhäusera“ w Wielkiej Operze w Paryżu. Przyjęcie było niemiłosiernie okrutne: gwizdano i brutalnie hałasowano, chcąc w tej zaciekłości pogrzebać i dzieło, i twórcę. Od czasów głośnego a skandalicznego przedstawienia „Hernaniego“, Wiktora Hugo, w tym samym Paryżu w roku 1830, nie było podobnie burzliwego wieczoru teatralnego, a z wyjątkiem premiery Hauptmanna „Przed wschodem słońca“ w r. 1889 w Berlinie, nie widziano i nie słyszano równej zapalczywości w gmachu, który naiwni optymiści zwykli zwać „świątynią sztuki.“

A jednak, chociaż publiczność owego pamiętnego wieczoru szalała, wprawiona ręką kilku sprytnych agitatorów w stan świętego oburzenia, chociaż własni mistrza rodacy rej w tem wodzili, nie minęło kilka godzin, a już w stolicy świata sprawiedliwość nad zaciekłością wzięła górę, już w kakofonii gwizdawek i świstawek odezwały się czyste dźwięki uznania, nawet zapalu. Ten zaś drugi obóz przed krzykaczami wstydzić się nie potrzebował. Jeżeli za kulisami klikli działała ręka Meyerbeera, to w gronie wielbicieli znaleźli się również niepośledni ludzie. Byli tam poeci: August Vacquerie i Barbey d'Aurevilly, artyści: Bataille i Marin, politycy: Emil Olivier i Juliusz Ferry, dziennikarscy współpracownicy: Teofil Gautier i Catulle Mendès— a na czele głośny krytyk z „Journal des Débats“, Juliusz Janin, i znakomity poeta, Karol Baudelaire. Pierwszy w świetnych polemicznych artykułach cisnął gromy na chępiących się z nieprzyzwoitego zachowania się członków „Jockey Klubu“, drugi w szeregu wytrawnie pisanych, a gorących rozpraw, wielbił geniusz Wagnera, jego „admirable beauté littéraire“, wykazywał pokrewieństwo jego dramatów z klasycznym starogreckim teatrem, zaznaczając równo-

cześnie, że Wagner nie goni, jak Gluck, za utopią niemożliwego renesansu zamarłej tragedyi helleńskiej, lecz tworzy nową formę, nową przyszłość dramatu¹⁾.

Przypominając ten zapal, nie mamy zamiaru kruszyć kopii za wielkość wagnerowskiej sztuki. Dzisiaj, w czterdzieści lat po burzliwych owych chwilach, znaczyłoby to, że użyjemy obcego przysłowia: „wywazać otwarte drzwi“. Kto geniuszu Wagnera nie uznaje, ten stoi tak daleko od wszelkich spraw artystycznych, że nie znamy ani nie szukamy drogi przekonania go. Lecz akcentując sądy niemuzyków, wielbiących w nim „une admirable beauté littéraire“, zamierzamy zwrócić uwagę na literacką piękność jego twórczości, mniej znaną i mniej uznaną od muzycznej. Powołać się więc trzeba u wstępu na te świadectwa, by dowieść, że nie tylko Wagner sam swe dzieła poezją mienił, nie tylko niemieccy uczeni już dawno ocenili go, jako poetę, nietylko wreszcie w ostatnich czasach pojawiło się żądanie wciągnięcia Wagnera do kanonu wielkiej poezyi, o której się już w szkołach średnich wyklada²⁾, nietylko więc subiektywne lub narodowe pojęcie, ale i sąd obcych od dawna uprawnia nas do zajmowania się Wagnerem, jako poetą. Że o estetyku także mówić będziemy, rozumie się samo przez się, wobec tego, że Wagner był nowatorem i stanowisko swoje zaznaczył nie tylko w praktyce, ale i w teorii. Mówić zatem wypadnie i o estetyku, lecz tylko w tym zakresie, o ile to potrzebnem będzie do oświecenia tamtej, w obecnej pracy ważniejszej, pozycyi.

Zanim przejdziemy do jądra rzeczy, dwie jeszcze wstępne uwagi wydają się nam koniecznemi. A naprzód to, co, niestety, u nas bardziej niż na Zachodzie, w literackich rozprawach osobno musi być stwierdzonem, aby nie dopuścić uprzedzeń: oto zdala od bałwochwalczej czci dla genialnego mistrza i ślepej wiary w każdą literę jego ręką nakreśloną, zachowamy, zachować chcemy spokojny sąd. Powtórre zaś trzymać się będziemy chronologicznego porządku objawów twórczości Wagnera.

Pisano bowiem o nim i u nas dużo dotychczas, lecz zawsze prawie uwzględniano tylko ostateczną syntezę jego idei, mniej dbając o poprzednie etapy drogi. Wagner stał się może postacią z jednej sztuki metalu odlaną, bardziej niż jest nią w rzeczywistości, bo, nie

1) „Oeuvres complètes“, t. III.

2) Por. „Zeitschrift für den deutschen Unterricht“, 1902.

mówiąc już o pierwszej połowie jego działalności, są nawet w drugiej zazwyczaj szczególnie rozważanej, przejścia i zmiany ¹⁾.

Prawo organicznego rozwoju, urabiania się zdolności i pojęć artysty, stosuje się i do Wagnera. W pierwszych jego utworach zaledwie gdzieś głęboko na dnie spoczywają zarodki przyszłej jego sztuki. Oczywiście dziecięce jego próby poezyi i muzyki tem mniej jeszcze zapowiadają przyszłość. W autobiograficznym szkicu Wagner (ur. w r. 1813), opowiada o artystycznej atmosferze rodzinnego domu: ojczym, który dziecku półrocznemu dopiero zastąpić musiał rodzica, był aktorem i malarzem, a w wolnych chwilach pisał i komedye, czasem nawet z powodzeniem. Chłopiec wzrastał pod jego wpływem, patrzył z ciekawością na bogate, a rozumnie zapełnione szafy biblioteczne zmarłego ojca, nieraz rozmawiał z wujem, głośnym wtedy polihistorem, ale nad wszystkimi wpływami i wrażeniami górowała prawdziwa namiętność do teatru, podsycana częstemi odwiedzinami teatru w Dreźnie, gdzie ojczym był stale zajęty. Uwielbienie dla muzyki Mozarta i Beethowena i miłość poezyi, zwłaszcza dramatycznej, przez jakiś czas toczą spór o duszę chłopięcia, aby ją później w harmonii wspólnie posiadać. Poeta zaczyna od zwyczajnych prób, jakie prawie każdy ma w swoich dziecinnych wspomnieniach: a więc wymyka się z pod młodocianego pióra jakaś elegia na śmierć kolegi szkolnego, jakieś tłumaczenie „Odyssei“, snują się plany tragedyi na Szekspirze wzorowane, mający nawet wielkie przedsięwzięcie tragedyi, „złożonej z Hamleta i Leara“, zamiar nie przemijający, lecz długo w chłopcu żywy. Rodzice, jak zawsze niechętni dla pegaza, wołają już, by Ryszard poświęcił się muzyce. Chłopiec idzie za ich wskazówką i za wewnętrznym popędem, lecz dawnej pani się nie sprzeniewierza: szesnastoletniego młodzieńca pasterski dramat w słowie i w muzyce jest tego dowodem; a gdy w roku 1832 powstaje „Wesele“, to dość

¹⁾ Opieramy się w naszej pracy oczywiście przedewszystkiem na pismach samego Wagnera („Gesammelte Schriften u. Dichtungen,“ tomów 10 i dodatkowy), a liczby, podane przy cytatach bez bliższego określenia, do wydania tego się odnoszą. Korzystając ze zbiorów listów, cytujemy je w miarę potrzeby. Z monografii pomocną nam była przedewszystkiem dwutomowa biografia pióra Glasenappa „Das Leben Richard Wagners“, i pomnikowa rzecz Chamberlaina „Richard Wagner“.

(Przyp. aut.).

charakterystycznie „tekst operowy“ wyprzedza muzyczną kompozycję. Znamienne to, jako ślad wczesnego sojuszu poezji z muzyką, z pierwszeństwem poezji, lecz ta niewykończona opera bynajmniej nie przepowiada mistrza „dramatu muzycznego“. Już samo określenie słownej części utworu, jako „tekstu operowego“ sprzeciwia się późniejszym zasadom Wagnera, a fałszywie dramatyczna treść tekstu tem mniej zgadza się z charakterem „Parsifala“ (szczątki muzyki do „Wesela“ natomiast przypominają Chamberlainowi „Nibelungi“). Podobnie i dalsze dwa dzieła są raczej z przeszłością związane. W marzycielsko romantycznych „Czarodziejkach“ Wagner idzie za modnym i wtedy jeszcze Gozzim; w „Zakazie miłości“ powtarza z nieznaczniemi zmianami treść szekspirowskiej komedyi „Miarka za miarkę“. Sprzeczność nastrojów obu niemal równoczesnych dzieł tłómaczą niemieccy uczeni, jako dowód wielkiej elastyczności geniuszu Wagnera; my zaś, nie przecząc elastyczności, widzimy w niej właśnie niedojrzałość geniuszu, który nie zbudził się jeszcze do wędrówki po jednej, zasadniczo wytkniętej, drodze. Jeszcze poeta nie doszedł do samowiedzy, jeszcze dba tylko o zajmujący temat, tworzy pod wpływem zewnętrznych bodźców nie z wewnętrznej konieczności.

Widnieje to i w zestawieniu najbliższej pary dzieł: „Rienziogo“ i „Okreću Widma“ Bulwera. „Rienzi, the last of the tribunes“, wydrukowany w 1835, osiągnął wnet dużą popularność; jeśli w dwa lata potem Wagner już powieść na operę przerabiać zaczyna, to, nie wpadając w przesadne uwielbienie geniusza, który i przy spokojnym sądzie geniuszem okazać się musi, należy w wyborze motywu widzieć więcej hołdowania popularności, niż samodzielnej myśli, więcej zależności od innych, niż żywiołowego wylewu własnej duchowej treści. Porównanie dramatu Wagnera z powieścią Bulwera dowodzi zresztą jedynie powszedniej zdolności dramatyzowania romansu; jedna tylko postać samego bohatera, ostatniego trybuna rzymskiego, odznacza się świetniejszą nad zwykle przeróbki plastyką i dramatyczną prostotą; zrećność w usuwaniu wszystkich zbytecznych szczegółów jest wprawdzie widoczną, ale ten przymiot mieści się w pojęciu zwykłej dobrej dramatycznej przeróbki powieści. Powołać się zresztą można na słowa samego poety. W autobiografii (I, 3), nazywa „Rienziogo“ „muzyczną sztuką teatralną“, a wyraźniej jeszcze w „Wiadomościach dla swoich przyjaciół“ (IV, 328), o „Okreću Widmie“, powiada, że jest to jego „pierwszy poemat ludowy“, którym rozpoczyna „zawód jako poeta, porzucając drogę wyrabiania tekstów operowych.“

Pośrednio jest w tym sądzie właściwe ocenianie poprzednich dramatów, i doprawdy nie wiemy, po co niektórzy fanatyczni wielbicielcy poety gwałtem, wbrew niemu samemu, robią z „Rienziogo“ arcydzieło poezyi, oraz graniczny słup rozwoju Wagnera, jako poety. Opierając się znowu na jego własnem orzeczeniu, widzimy dopiero w „Okręcie“ granice dwóch epok twórczości Wagnera. W cytowanej już rozprawie (IV, 386) mówi. „Odtąd byłem odnośnie do wszystkich moich dramatycznych prac przedewszystkiem poetą, a dopiero w zupełnem opracowaniu poematu stawałem się znowu muzykiem.“ Swoją drogą i tutaj jeszcze samodzielnej emanacyi twórczego geniuszu uznać nie można. Wagner zależnym jest od Heinego, któremu, jak niegdyś Bulwerowi, zawdzięcza zewnętrzny bodziec. Lecz idąc w „Rienzim“ ściśle torem wyźłobionym poprzednio przez powieściopisarza, w „Okręcie Widmie“ podanie ludowe, przejęte za pośrednictwem Heinego, pogłębia i na swój sposób przerabia, a w obu tych procesach daje istotnie pierwsze dowody swej indywidualności. Wagnera wyłączną własnością jest figura Eryka, nie tylko urozmaicająca akcyę, lecz i pogłębiająca zasadniczy motyw. Mówiąc o latach blizkich powstania „Hollendra“, przyznaje się do szalonego mistycyzmu“ wzbudzonego czytaniem E. T. A. Hofmanna (I, 10); tutaj po raz pierwszy występuje u niego zagadnienie, tkwiące w tajnych głębinach ludzkiej duszy, uświadomione połowicznie w ludowych wierzeniach i opowieściach. To też, droga doprowadzająca twórcę do „Parsifala“ od „Okrętu Widma“, bierze początek, nie od „Rienziogo“, choćby nawet muzykalnie ten ostatni nad tamtym górował.

Lecz pomiędzy temi dwiema operami znajduje się w chronologicznem wydaniu zebranych pism utwór niewątpliwie mniejszej artystycznej wartości i dla tego mało znany, jednak niezaprzeczalnie ciekawy i dla tego poznania godny. Biograf Wagnera nie pominie tych siedmiu nowel i rozprawek, związanych napisem „Niemiecki muzyk w Paryżu“, bo czytał te słowa poety (IV, 324): „Przedstawiłem tutaj w wymyślonych rysach i z jakimś humorem me własne losy, zwłaszcza w Paryżu, aż do śmierci głodowej, której, co prawda, szczęśliwie uniknąłem“. Przy rozpatrywaniu rozwoju poezyi i poetyki Wagnera nie godzi się lekceważyć tych szkiców nowelistycznych, pisanych ze zboleiałem sercem i z uśmiechem, wśród łez przeświecającym. Wszak tu jest (I, 166) to dziwne credo umierającego muzyka: „Wierzę w Boga, Mozarta i Beethowena“, jak również w Ducha św. i w prawdziwość jednej, niepodzielnej sztuki...“ W zgodnym akordzie z „Okrętem Widmem“, to wyznanie wiary dźwięczy, jako pierwsze odgłosy nowej epoki.

*

*

*

W Paryżu, na obczyźnie, poczęły się poematy o Tannhäuserze i Lohengrinie. Jak Mickiewicz w Paryżu piękność Litwy w całej ozdobie widział i opisywał, bo tęsknił po niej; tak w nadsekwańskiej stolicy dopiero uświadomił sobie Wagner, że jest Niemcem, tutaj po raz pierwszy także wniknął w ducha germańskich sag. I teraz dopiero począł się wielki artysta; bo wielką jest tylko sztuka narodo-
wa. Odtąd już Wagner nie będzie się bawił parafrazą marzycielsko-romantycznych baśni Gozziego, ani nie będzie paradował pustemi „Haupt-und Staatsaktionen“, ani otulał się rozwianą mgłą obcych podań; — odtąd, dotknąwszy się raz rodzinnej gleby, jak Anteusz zaczerpnie z niej mocy. A poetycka twórczość Wagnera nabiera nowego znaczenia na tle ówczesnego niemieckiego piśmiennictwa. Echa narodowego romantyzmu już przebrzmiewały, a czwarty dziesiątek lat ubiegłego wieku widział niemiecką literaturę kroczącą pod znakiem prozy i pod hasłami międzynarodowemi. Powieść i dziennik wyrugowały poezję „Młodych Niemiec“, wśród których liryka Heinego, tak zresztą nienarodowa, była wyjątkiem; dramat w rodzaju „Uryela Akosty“, „Dziennikarzew“, oddał się w służbę międzynarodowego liberalizmu, a obcy germańskiemu światu etniczny i religijny element natrętnie swą barwę epoce narzucał. Wagner takiej literatury kochać nie mógł, przeciwnie, nienawidził jej i z oburzeniem albo ironią chłostał niemiłosiernie to „żydowskie piśmiennictwo“. Uciekł od niego naprzód w świat średniowiecznego rycerstwa, równie w śpiewie, jak i w walce biegłego, w świat legend i poezyi, wnet zaś pchany wewnętrzną miłością szedł dalej w głąb tego wspaniałego lasu, aż do tajemniczych gęstw starogermańskiej mitologii.

Naprzód stworzył „Tannhäusera“. Pod względem formalnym cechuje go wybitnie dramatyczny charakter. Z szablonowem pojęciem opery twórca po raz pierwszy stanowczo zerwał, tak, że naprzykład w całym tekście oryginalnym niema ani jednego duetu. Jest to dramat, i dramat ludzkich, serdecznych namiętności. Ani w konfliktach, ani nawet w stylistycznej szacie nie ślizgamy się po wierzchu, nie patrzymy na banalność sytuacji, ani wyrażen, lecz jasny płomień lub

krwawa luna oświeca głębie, a język, czerstwy i plastyczny, tym wyobrażeniom fałszu nie zadaje.

Z podaniem poeta swobodnie się obchodzi. Mniejsza o to, że zmienia je w końcowej sytuacji milcząc interwencją zwłok Elżbiety, chociaż objawia się tu jedna z zasadniczych myśli Wagnera, o kobiecie i miłości zbawiającej męża. Lecz ważniejszym jest połączenie podania o Tannhäuserze z opowieścią o walce na Wartburgu, związek ich, o którym najbieglejsi germaniści nic nie wiedzą¹⁾. Jest to typowy objaw wyjaśniający stosunek Wagnera do średniowiecznych podań: poeta zmienia je lub uzupełnia, ale czyni to w tak genialny i oryginalny sposób, że, gdyby te podania w jego jedynie redakcyi były znane, nikt nie podejrzewałby go o dowolność: nie są autentyczne, lecz nieledwie prawdziwsze od autentycznych. Nie można się zaś rozstać z „Tannhäuserem“, nie podniósłszy majestatycznej piękności tytułowego bohatera. Od pierwszej sceny z Venerą, gdy opanowany przez nią do szpiku kości, wiecznie zdaje się wielbić ją będzie, a jednak opuszcza czarodziejkę, by wolności osobistej nie zaprzepaścić, od tej chwili, aż do końca dramatu jest to postać i legendowo możliwa, i psychologicznie zajmująca. Średniowieczny koloryt, i w samej figurze, i w całym przebiegu utworu, znakomicie jest zachowany, a tęskny, pokutny pochod pielgrzymów, do Rzymu dążących, i czarowna namiętność bogini, uplastyczniają dwa najwালniejsze znamiona średniowiecza.

Postawiony obok płomiennego „Tannhäusera“ cichszy „Lohengrin“ wydaje się zupełnie słabszym. Spróbujmy go czytać bez korzystnego czy nieprzychylnego uprzedzenia, jakie wynieśliśmy z operowej produkcji, czytamy go jako dramat, a pierwszy sąd brzmieć będzie spokojnie, bez żadnej nuty zachwytu. Może nawet nazwiemy go udramatyzowaną anegdotą średniowieczną, a w labędzieu, w końcowem przemienieniu się jego w Gottfrieda, dostrzeżemy zwykle teatralne akcesorya. Błuznierstwem będzie to w oczach bezwzględnych wagneryanów, a jednak bezstronny sąd krytyka nie może tamtemu popularnemu wrażeniu odmówić choćby w części uzasadnienia. Że „Lohengrin“, jako pomysł, jako wybór tematu, jako zasadniczy styl znaczy wraz z „Tannhäuserem“ dużo w rozwoju twórcy, że jest dalszym krokiem naprzód, o tem była już powyżej mowa. Natomiast jako utwór poetycki wielkim nie jest. Co fanatyczni wielbiciele mistrza, jako niesłychaną piękność utworu podają, mianowicie, plastykę i wyrazistość sytuacji, tak wielką, że ich treść zrozumiała byłaby

¹⁾ W. Golther „Bayreuth Blätter“, 1889.

nawet dla głuchego obserwatora, to jest w rzeczywistości raczej ujemnem spostrzeżeniem. Sytuacje same są tak wyraziste, że... że aż żywemi obrazami wydać się mogą; są tak zrozumiałe, że słowa poety niemal nic nam nie mówią, czegooby wzrok poprzednio nie był już spostrzegł, patrząc na samo ugrupowanie osób. Są szczegóły akcji niewątpliwie doskonale ilustrujące zwyczaje średniowiecznego życia, ale wskutek ciągłego powtarzania się u niezliczonych pisarzy spowszechniały i tak wytarte, jak krążąca w obiegu moneta zdawkowa; mogły one i tu się znaleźć, ale trzeba było je ożywić, zindywiduować.

A tak się nie stało naprzykład z pojedyńkiem Lohengrina z Telramundem. Jest on „operowym“ w tem znaczeniu, którego się używa, mówiąc o banalnych sytuacjach dramatycznych. Jeśli zaś kto krytykowi zaprzecza prawa robienia zarzutów „operowości“, wobec utworu, który przecież operą jest; to odpowiadamy przypomnieniem, że Wagner sam w „Lohengrinie“ chciał właśnie dramat nie operę widzieć. Podobnie i tajemniczy symbol rycerza z labędziem nie został wyzyskany, a w całym dramacie nie odczuwa się wogóle tego żywiołowego podkładu głębi ludzkiego serca, tych niedomówionych, a przecież wszechobecnych tajemnic ducha i serca, które istnieją w „Tanhäuserze“, nawet tam, gdzie ponad spokojną pozornie głębią wyrasta cichy i skromny kwiat. Tu wszystko jasne, wszystko wypowiedziane i dla tego, ani myśl w nieskończoność nie biegnie, ani serce nie drży, wiecznymi symbolami przerażone. Cudowna piękność miłosego dialogu Lohengrina i Elsy, śpiewność samego słowa, nawet bez muzyki, to piękności cenne i ważne, ale niezdolne tamtych braków zapłacić.

Te dwa lata, 1848 i 1849, ostatnie miesiące przed przymusową ucieczką z Niemiec, są okresem ostatecznego urabiania się podstawowych przekonań artystycznych Wagnera. Po nich będzie już szedł prostą drogą w górę, coraz wyżej, nie skręcając na boczne ścieżki, nie zatrzymując się trwożliwie po drodze. Że to zupełne osiągnięcie samowiedzy nie odbyło się bez trudu myślowego, świadczy zasłane drobniejszymi fragmentami pole tych lat. Między temi niewykonanemi pracami jedne niczem się od bezpośrednio je poprzedzających utworów nie różnią, inne dowodzą sumiennego badania obszaru sztuki przed rozstrzygającym krokiem. „Śmierć Siegfrieda“ i „Kowal Wieland“ odzywają się dawną miłością starogermańskiego świata podań i wierzeń; „Fryderyk Rudobrody“, „Jezus z Nazaretu“ i plan „Achillesa“ do drugiej grupy należą. Na pierwszy rzut oka różnorodność tematów tych trzech ostatnich przedsięwzięć zdaje się mówić

o bezbarwnym eklektyzmie z zapomnianych już dni „Czarodziejek“ i „Zakazu miłości“. Wejrzawszy w istotę rzeczy, dochodzimy do odmiennych wniosków. „Fryderyk Barbarossa“, z którego dzisiaj nic więcej nie pozostało prócz historycznych szkiców przedwstępnych, jest niejako ostatnim negatywnym argumentem wobec samego poety, że drogą szablonowego dramatu historycznego nie dojdzie się do tej wielkiej sztuki, której obraz w duszy Wagnera coraz jaśniejsze przybierał zarysy; nie pomysł ma znaczenie dla rozwoju mistrza, lecz porzucenie tego pomysłu; ono dowodzi ciągłego postępu uświadamiania się. Drugi z kolei fragment, w „Pośmiertnych pismach“ przedstawiony, niezwykle pracowicie, bo aż do skrupulatnego spisywania biblijnych cytat przeprowadzony, wynika z rozszerzania się ogólnego widnokręgu Wagnera. Program nowej sztuki, z którym poeta niebawem publicznie wystąpi, nie mógł być dziełem zasklepionego w estetycznych zagadnieniach monomana.

Dążąc do wielkiej, narodowej sztuki, któraby poniekąd na innych podwalinach oparła kulturalne życie narodu, program ten mógł wyjść z ręki męża, żyjącego pełnią życia, nie drobną jego częścią. I tak jest. W przeddzień wydania epokowego hasła widzimy Wagnera, który dotąd mało czasu rzeczom nieartystycznym poświęcał, uwikłanego w sprawy politycznych, a równocześnie umysł jego wlatuje ponad ziemię w sfery wiecznego bytu. „Jezus z Nazaretu“ jest owocem tego przejścia się religijnymi problematami. A przejmuje się poeta nie tylko teorią. Wagner sztuki bez religii nie rozumiał i sztukę jego zrozumie dusza, tylko do religijnych uczuć zdolna. We wspomnianym planie dramatu jest to stanowisko silnie zaznaczone i z katolickiej duchownej strony słusznie to uznano¹⁾.

Przelotnie powzięty zamiar napisania „Achillesa“, bez przymusu da się wciągnąć w obręb naszych rozumowań. Jeszcze raz podkreślamy charakter tej historycznej chwili, jako przerwy w twórczości przed wygłoszeniem walnego programu. Otóż myśl poety, zajęta ideałem dramatu muzycznego, nie widziała, przebiegając dzieje sztuki, ziszczenia tych marzeń, aż gdzieś w zamierzonych starogreckich czasach. Świat starożytny zbliżył się więc do poety i stąd plon „Achillesa“. Że zaś plan klasycznego dramatu nie został wykonany, to dowód, że poeta rozumiał swe zadanie, poznał, że ani historyczna tragedia, ani wskrzeszenie zmarłych kształtów nie jest jego posłannic-

1) Hebert „Le sentiment religieux dans l'oeuvre de R. Wagner“.

twem. I rozejrzawszy się po bocznych drogach, poszedł własną, prostą.

Zanim mu na niej towarzyszyć będziemy, rzućmy okiem na jeden jeszcze szczegół, który za sobą zostawimy. Projekt, jaki Wagner w roku 1848, jako kapelmistrz opery drezdeńskiej, złożył w sprawie organizacyi teatru narodowego, jest dokumentem, i mało zajmującym, i mało w dziejach jego sztuki znaczącym. Wynika to z samego urzędowego i praktycznego charakteru tego pisma, że nie odzwierciedla ono istotnych przekonań artysty w owej chwili. Więć mostu widocznego pomiędzy bliższymi programowemi rozprawami, a tą porządną i rozumną pracą biurową, dopatrzeć się nie można. Tu i owdzie jedynie, czytając między wierszami, znajdzie się przesłanki myśli, brzęących donośniej później, w Bayreuth. Gdy naprzykład Wagner domaga się zamykania teatru w pewne dni tygodnia, aby wypełniając z musu repertuar nie obniżać artystycznego poziomu i nie popospolitować sztuki, to jest w tem roztropnem zdaniu zarodek zba-
wiennej myśli o sztuce, jako uroczystem święcie.

Natomiast sprzeczną z późniejszym zapatrywaniem jest idea założenia „narodowego teatru“ pod patronatem. W dojrzalszym wieku Wagner wprost wrogo mówi o takiej akcyi państwa i gwałtownie protestował przeciw nazywaniu „Festspielhausu“ w Bayreuth „Teatrem narodowym“: od zdegenerowanego, według jego zdania, państwa zwrócił się do prywatnej inicjatywy zwolenników.

*

*

*

„Na drodze zastanawiania się nad możliwością gruntownej zmiany naszych stosunków teatralnych doszedłem sam przez się do pełnego poczucia niegodności politycznych i społecznych stosunków, które z siebie nie mogły wydać żadnych innych publicznych stosunków sztuki, jak te właśnie, którem dopiero co zaczęli. To przekonanie zadecydowało o całym moim dalszym rozwoju życiowym“. Nie może być naszym zadaniem szczegółowe badanie politycznych przekonań Wagnera, które nas obchodzą tylko o tyle, o ile są w związku z jego działalnością, jako poety i estetyka. Zresztą polityczne przekonania Wagnera są często bardzo... niepolityczne, noszą na sobie piętno artysty, a nie statysty, polityka, socyologa. W mowie, jaką w gorących

dniach roku 1848 miał w pewnym stowarzyszeniu ¹⁾, marzy o przywróceniu minionego starogermańskiego patryarchalnego stosunku pomiędzy władzą a poddanymi, jest bezwarunkowym zwolennikiem królewskości, zapalczywym wrogiem konstytucjonalizmu, a mimo to — rewolucjonistą. Nie zyskawszy poklasku w kołach przewrotowców naraził się rządowi i musiał ojczyznę opuścić, in contumaciam na śmierć skazany.

Przymusowa ucieczka, pobyt w Zurychu dokonały ostatecznego skryształowania się pojęć Wagnera. A równocześnie z tem wewnętrznym uświadomieniem objawia się w nim popęd wytłómaczenia swych zasad na zewnątrz, propagowania ich. Nic bardziej nie dowodzi skonsolidowania się ducha Wagnera w tej chwili, jak znaczna ilość estetycznych rozpraw wobec równoczesnego ustąpienia poetyckiej i muzycznej twórczości na drugi plan. Wagner mówi o sobie, że „we wszystkim, co robi i myśli, jest artystą, li tylko artystą“ ²⁾; na innym miejscu odpowiada przyjacielom: „quand on agit, on ne s'explique pas“, a jednak lata 1849—1852 roją się od rozpraw. Czemu? Znowu poszukajmy odpowiedzi u samego autora: „Tylko w najcięższym przymusie pisałem moje literackie prace.“. Ten przymus był dwojakiej natury.

Wagner widział wrzenie w politycznym świecie i być może, że je przeceniał, że oczekiwał po ukończeniu zamieszek jakiegoś nowego świata, ze zmienionymi podstawami politycznego, społecznego i kulturalnego bytu. W takie przeobrażenie świata wierząc, chciał skorzysta z okoliczności, wystąpił szybko ze swoim hasłem odrodzenia sztuki; a gdy jedną rozprawę napisał, wywołał tyle protestów, tyle gwałtownych lub drwiących napaści, że bronić się musiał przeciw przeciwnikom, odczuwając zarazem potrzebę wzmocnienia na duchu nielicznych zwolenników. Ale równolegle z tym zewnętrznym przymusem szła i konieczność wewnętrzna, do samego autora się odnosząca. Literackie natury wiedzą, że wiele rozpraw pisze się dla czytelników, lecz nie dla nich tylko; pisze się dla siebie samego, zwłaszcza w przełomowych chwilach naszego duchowego jestestwa, aby utrwalić, uporządkować, do gruntu zbadać własne przekonania. I ten wewnętrzny przymus u Wagnera istniał.

Pierwsza z tych rozpraw jasno się na podstawie powyższych uwag tłómaczy. „Sztuka i rewolucya“, wypływa z pragnienia ogłoszenia swoich pretensyi do rzekomo przeobrażającego się świata.

¹⁾ Wydrukowanej w całości u Glasenappa, II, I, 458—483).

²⁾ „Listy Wagnera i Liszta“, I, 41.

Z dalszą walną programową pracą o „Dziele sztuki przyszłości“ łączy się w dobraną parę: naprzód retrospektywy przegląd dziejów i bezpośrednio z niego wnioski, potem hasło przyszłości. Powstały te prace pod wpływem Feuerbacha. Trzymając się ściśle tematu, nie możemy obszerniej wyluszczać stanowiska Wagnera, jako filozofa; zadowolnić się trzeba wykazaniem, co Wagner, jako poeta i estetyk, wzięty ze współczesnej filozofii. Charakterystycznym jest, że w czasie pisania rozpraw poeta z dzieł Feuerbacha znał jedynie trzeci tom z „Myślami o śmierci i nieśmiertelności“, a jednak artykuły jego przenika duch głośniego „antyfilozofa“. Sprzeczności w tem niema; łatwo bowiem pomyśleć sobie, że i w naszych czasach ktoś nie czytał ani jednej kartki Nietzschego naprzykład, a mimo to jest pod wpływem jego filozofii, znanej mu tylko z artykułów dziennikarskich, rozmów itd.

A takim popularnym filozofem był w połowie XIX wieku Feuerbach i z niego wziął Wagner oparcie sztuki na zmysłowym świecie. Pali się w nim sztuka jako uduchowanie bujnej, pełnej życia zmysłowości, której staropogańskie ideały z naiwnym optymizmem chce wskrzesić. „Sztuka jest najwyższą czynnością człowieka, w harmonii z sobą i z naturą zmysłowo pięknie rozwiniętego; człowiek musi ze zmysłowego świata mieć najwyższą radość, jeżeli z niego chce stworzyć artystyczne narzędzie“ (III, 20). Chrześcijaństwo zgubiło pogańskie pojęcie świata, pogańską sztukę Sofoklesa, chrześcijaństwo ze swojemi cichemi, ascetycznemi ideałami, jest zaprzeczeniem sztuki. Antychrześcijański charakter tych zdań nie powinien jednak wprowadzać czytelnika w błąd. Wszak równocześnie, jak wspomnieliśmy, pracuje Wagner nad wzniosłym „Jezusem z Nazaretu“, a gdy wnet pozna Schopenhauera, pocznie te pisma z feuerbachowskiej epoki odmiennie tłumaczyć. Jest to ślad wahań i niejasności, od których geniusz nie jest wolnym. Bądź jak bądź, Wagner w duchu przyszłego apostoła pogańskiego indywidualizmu tylko w bezwzględnej afirmacyi życia widzi źródło życia. Tylko silni ludzie znają miłość, tylko miłość pojmuje piękność, tylko piękność tworzy sztukę. Koroną sztuki, jej skończonym, pięknym, jednolitym wyrazem jest tragedia, jaką była u Greków. Odrodzoną być nie może, musi być na nowo zrodzoną, a zrodzić ją ma rewolucya. W okresie rozkwitu sztuka u Greków była konserwatywna, bo była wyrazem ogólnej świadomości; u nas prawdziwa sztuka musi być rewolucyjną, bo istnieje tylko jako przeciwieństwo ogólnej świadomości. Podając parę szczegółowych postulatów (naprzykład bezpłatny wstęp do teatru), kończy autor dość pośpiesznie i bardzo niespodziewanie, wypowiadając podwójne hasło: Jezus i Apollo: „Jezus, który za ludz-

kość cierpiał, i Apollo, który ją podniósł do radosnej godności.“ Zestawienie dziwne, w swej treści sympatyczne dla tej burzliwej, pełnej zewnętrznych i wewnętrznych walk epoki w rozwoju Wagnera. Jak tylu fantastów przed i po nim, Wagner korzy się przed Chrystusem, odrzucając równocześnie chrześcijaństwo.

Powyższa rozprawa napisaną została niewątpliwie za pośpiesznie, jak wszystkie okolicznościowe prace, wyzyskujące przelotną chwilę, rzekomo najwłaściwszą. Jest ona nie tyle tworem premedytacji, rozumowego rozwoju pojęć, ile wylewem uczucia, przepelniającego serce; nie tyle teoretyczną rozprawą estetyczną, ile raczej bojową pobudką, agitacyjną broszurą. Świeżość i serdeczność, ton gorący obok logicznych przeskoków sprzeczności i niejasności, oto jej znamienne właściwości. Odmienny charakter ma wielka praca o „Dziele sztuki przyszłości“, w roku 1850 ogłoszona. Wagner mówi tu spokojniej i wytrawniej, chce nie tylko porwać, lecz przekonać, rozważnie idzie krok za krokiem, sam przedewszystkiem już silnie stoi na gruncie, na który innych pragnie wprowadzić ¹⁾. Wagner uważa sztukę za objaw samowiedzy, przez wiedzę zdobytej, za przedstawienie życia, wiedzą poznanego, odbicie jego konieczności i prawdy. Sztuka odtwarza tylko rzeczywistego, nie przypadkowego człowieka, istnieć więc może wtedy tylko, gdy istnieje ów rzeczywisty, naturalny człowiek, świadomy swego związku z przyrodą, wolny od przypadkowej samowoli, lub despotycznych humorów mody. Takim jest tylko lud, naród cały w pełnej życiowej wspólności, i on dla tego jest pierwszym warunkiem dzieła sztuki. Taką była sztuka helleńska. Tę helleńską sztukę trzeba „urobić na ludzką w ogólności, uwolnić ją od warunków, z powodu których była tylko helleńską, a nie wszechludzką; szatę religii, w której była jedynie helleńską sztuką, rozszerzyć tak, aby się stała religią przyszłości, religią wszechpowszechności (Allgemeinsamkeit)“. Tej religii przyszłości my nie stworzymy, bo jesteśmy wciąż jeszcze tylko jednostkami; a religię wydaje z siebie naród. I dla tego prawdziwa sztuka jest sztuką w przyszłości tylko możliwą. Jaką ma być ta sztuka? Będzie dramatem. Tu jest zasadniczy punkt wielkiego programu Wagnera, i dla tego trzeba dokładnie

¹⁾ Korzystamy ze sposobności i przypominamy czytelnikom zajmującą rozprawę p. W. Gostomskiego o „Dramacie wagnerowskim“, drukowaną w „Bibliotece Warszawskiej“ w roku 1899 (tom ogólnego zbioru 236, strona 472 i następane). Różna od naszej zakresem treści i metodą opracowania, nie koliduje z nią, lecz jest jej — w tem zwłaszcza miejscu — pożądanem uzupełnieniem.
(Przyp. autora).

określić, co Wagner pod pojęciem dramatu rozumiał. Wykazawszy po kolei niedostateczność trzech „czysto ludzkich rodzajów sztuki”: tańca, muzyki i poezji z osobna, z chwilą, gdy się rozłączyły, potępiwszy dotychczasowe próby ponownego połączenia tych trzech „czysto ludzkich” rodzajów sztuki, przechodzi estetyk do sztuk, w których tworzący człowiek nie z siebie tworzy, lecz z naturalnego materiału: do budownictwa, rzeźby i malarstwa, i tu udowadnia niedostateczność, skrępowanie, nie-wolność każdej z nich z osobna. Popęd do sztuki, śpiący w człowieku, nie może więc znaleźć ujścia w żadnym z rodzajów sztuki z osobna, sztuka ma być rozwinięciem nie tej, lub owej zdolności, lecz zaspokojeniem ogólnego popędu. W dramacie, jak go Wagner pojmuje, jest nie nagromadzenie wszystkich rodzajów sztuki, ale wcielenie, zrealizowanie sztuki, κατ'ἔξοχίην, w któremby każdy z rodzajów znalazł się w najwyższym swym rozkwicie. Dramat jest dziełem najwyższego stopnia artysty, „wieszcz” (der Seher) i ma być przedstawieniem wszystkiego, co wieszcz widział, jak w pierwotnej poezji, z tą tylko różnicą, że dzisiaj przybyło mnóstwo nieznanych przedtem środków ekspresji; z ich pomocą, z pomocą słowa, tonu, mimiki i t. d., powstaje arcydzieło przyszłości, które jest powrotem do natury przez sztukę. Dramat wagnerowski bowiem ma być „czysto ludzkim”, a czysto ludzkim jest to, co „tworzy istotę rodzaju ludzkiego, jako takiego”, to, co „wolnem jest od wszelkiej konwencji, od wszelkich historyczno-formalnych” pierwiastków, od wszelkiej przypadkowości. Po pytaniu: jaką jest ta sztuka, najważniejszym jest dalsze: kto jej twórcą będzie? Wagner odpowiada na to krótko: bezwątpienia poeta, przyczem nazwa ta ogarnia tak zwanych „Tondichter” i „Sprechdichter”. Kto zaś to dzieło na zewnątrz przedstawi? Teoretycznie wyrozumowane wspólne dążenie wszystkich rodzajów sztuki da się praktycznie przeprowadzić tylko przez związek wszystkich artystów, w jednym szczegółowym zamiarze poczęty, a tym celem jest: dramat.

Streszczone tutaj główne zarysy programu Wagnera nie mogą być przedmiotem drobiazgowej krytyki. Co innego drobne projekty szczególnych reform tych lub owych praktycznych objawów, co innego wielka idea, obejmująca całokształt, który chce z gruntu przerobić. O tamtych wolno dysputować, częściowo przyjmować, częściowo odrzucać, lub prostować, tę albo en bloc się uznaje, albo en bloc potępia. Mię z naszego stanowiska mamy tylko jedno do wypowiedzenia: Idea Wagnera jest zupełnie nową, bo, odnosząc się do rozkwitu dramatu starogreckiego, czyni to więcej formalnie, by nie pozbawiać się historycznych antecedencji, niż w uznaniu istotnego pokre wieństwa. Jeśli się tu i owdzie przytacza Glucka dedykację

opery „Alceste“ w księciu Toskany, to jest to błąd, wynikający z bardzo powierzchownego poznania Glucka i Wagnera. Gluck przecież walczył tylko z praktykowanem za jego czasów oburzającym gwałceniem poezji przez śpiewaków, a żądając „dramatu muzycznego“, i wypowiadając zdanie, że „muzyka jest przeznaczoną do wspierania poezji“, wpadał w drugą ostateczność i chciał muzykę słowu podporządkować. Tymczasem w dramacie Wagnera niema mowy o służeniu jakiegokolwiek rodzaju sztuki innemu, jest tylko idealne współdziałanie wszystkich ku wytworzeniu jednolitej sztuki. Prędzej można już mówić o związku zasad Wagnera z Beethovenem, którego Wagner uważa za urodzonego poetę dramatycznego, i powiada, że w dramacie przyszłości „postacie Szekspira i melodye Beethovena wchłaniać się wzajemnie będą w jedno“.

Już tutaj przekroczyło się niejednokrotnie chronologiczną granicę, sięgając do późniejszych wyrzeczeń Wagnera. Jest to dozwolone, bo odtąd, z wyjątkiem filozofii, w której Wagner od Fuerbacha przechodzi do Schopenhauera, narażając się na gwałtowny gniew Nietzschego, odtąd w zasadniczych pojęciach niema u niego zmian. W późniejszych rozprawach, o ile nie zajmują się one wyłącznie muzyką, Wagner rozwija tylko obszerniej rzucone tu podstawowe myśli. Raz wraca do swego pojęcia dzisiejszego świata, jako zepsutego, i wskazuje drogę regeneracyi (zwłaszcza: „Religia i sztuka“, „Bohaterstwo i chrześcijaństwo“, „Żydowstwo w muzyce“), uważając, jak już wiadomo, odrodzenie za konieczny warunek powstania nowej sztuki; to znowu trzyma się ściślej sprawy tej sztuki, określa ją jaśniej, wyluszcza jej stosunek do poszczególnych rodzajów sztuki (przedewszystkiem rozprawy: „Sztuka i klimat“, „Opera i dramat“, „O nazwie: dramat muzyczny“). Najważniejszym rezultatem tych pism było ostatecznie uświadomienie się samego twórcy. W roku 1852 Wagner pisze do przyjaciela Uhliga: „Tylko o tyle z pewnem zadowoleniem mogę spoglądać na odgrywaną przez siebie w ostatnich latach rolę literata, o ile czuję, że przytem sam sobie stałem się jasnym“.

Lecz z tem większą radością przerzucił się na drogę twórczą i wszedł na nią w szlachetnie dumnym przekonaniu: „Jako artysta i człowiek idę ku nowemu światu“.

*

*

*

W roku 1795 pisał Herder o starogermańskich sagach: „Kiedy i jak z tych rozmaitych podań i baśni awanturnych tak różnych ludów w rozmaitych okolicach i okolicznościach powstanie jakaś Iliada i Odyssea“. Kusiło się o to wielu; wielu tworzyło epickie, lub dramatyczne poematy, snując je na kanwie bądź znanej epopei ludowej, „Pieśni Nibelungów“, jak wiadomo, z XIII wieku pochodzącej, bądź też północnego mytu, powstałego z tłómaczenia obu Edd, i islandzkich i norweskich sag bohaterских. Wielu było powołanych, mało wybranych. Przed Wagnerem nikt, po nim w słabszym stopniu chyba Hebbel w wielkiej trylogii i Jordan w eposie. Że podanie o Nibelungach prosi się wprost o muzykę, przeczuł znakomity estetyk. F. F. Vischer. Życząc muzyce germańskiej, by znalazła swego Schillera i Szekspira, zwraca uwagę na sagę o Nibelungach: „Jeszcześmy tej muzyki nie mieli, której taki temat się domaga, i jeszcześmy takiego tematu w naszej muzyce nie mieli tak, jak w naszej poezji jeszcześmy nie mieli Szekspira“. Vischer zabrał się w końcu sam do udratyzowania tematu i dał libretto pięcioaktowej olbrzymiej „opery bohaterskiej“, w której nie mniej, jak siedemnastu męskich solistów występuje. Zestawiona z wagnerowskim „Pierścieniem Nibelunga“, ta monstrualna opera wydaje się jakby umyślnem jego przekręceniem. Według Vischera nie wolno użyć motywu przekleństwa, ciężącego na skarbie, nie wolno w Brunhildzie dać walkiry, nie wolno skorzystać z motywu, że Siegfried jest tylko na plecach na rany wystawiony i t. d. Słowem Vischer patrzy na temat ze stanowiska szablonowej opery, goni jedynie za malowniczymi scenami kostiumowemi.

O ileż większym jest Wagner! Przedewszystkiem genialnym instynktem wybrał właściwy temat i określił go. Mógł się oprzeć albo na mycie, albo na eposie, a zrozumiawszy, że „Pieśń Nibelungów“ posiada czysto epicki charakter, wcielił w dramat myt. Ten wielki dramat mityczny pragniemy obecnie przedstawić polskim czytelnikom. Wiemy, że nam trudniej odczuć całą jego wielkość, bo trudniej wżyć się w jego treść, tak obcy jest nam germański mit. Obcym nietylko w tem znaczeniu, że mało z nas zna go dokładniej, a prawie nikt całkowicie, lecz obcym naszemu narodowemu usposobieniu, charaktero-

wi. Dzisiaj próba zbliżenia Polaków do germańskiego mitu pozornie jest najfatalniej dobraną. Ale, podejmując się jej, czynimy to w tem przekonaniu, że, chociaż dziś na całym świecie zaostrzyły się, jak rzadko kiedy, szczepowe przeciwieństwa, to z drugiej strony nigdy uniwersalność ducha ludzkiego w kulturalnej sferze tak nie jaśniała, jak za obecnej doby. A zresztą, w „Pierścieniu Nibelunga“ jest nie tylko germański mit, jest i wszechludzka treść, wszechludzka tragedia. Tę tragiczną treść na jaw wydobyć jest naszym bezpośrednim zadaniem.

Dajmy naprzód w najogólniejszych zarysach streszczenie całego dramatu; będzie to zarazem odpowiedzią na często napotykanę w słowie i piśmie zarzutę, jakoby treść wielkiego poematu była zamiataną i trudną do zrozumienia.

Alberich, z rodu mieszkańców mglistych krain, Nibelungów, rabuje „córkom Renu“ skarb złota. Pierścień, z tego złota zrobiony, da moc panowania nad całym światem, lecz ten tylko z czerwonego metalu zdoła obrączkę ukuć, kto „potęgi miłości się wyrzeknie, kto miłości roskosz wypędzi“. Alberich pozbywa się błęgiego uczucia i kuje pierścień, lecz Wotan, z pomocą chytrego Loge, wydiera mu skarb; przez zemstę Alberich straszliwie przeklika pierścień i każdego, kto go posiadać będzie: „Nikt w weselu się nim cieszyć nie będzie, nikomu szczęśliwemu nie będzie jaśnieć jego blask; kto go posiadzie, niech go rani troska, a kto go nie ma, niech go gryzie zazdrość; niech każdy pożąda go, a nikt z niego nie korzysta“. Posiadanie tego pierścienia stanowi zasadniczą treść dramatu we wszystkich jego trzech częściach. W pierwszej zbrodnicza miłość łączy Siegmunda z Sieglindą; zbrodnicza w podwójnej mierze, bo Sieglinda porzuca męża, Hundinga, a w małżeńskim pożyciu z własnym bratem poczyna dziecko. Gniewny Wotan, ulegając żonie Fricce, daje Hundingowi w pojedynku z Siegmundem zwycięstwo, mężowi Sieglindy śmierć, Brunhildę zaś, ukochaną lecz nie posłuszną, bo wbrew jego zakazowi broniącą Siegmunda, walkirę, karze surowo, choć nie hańbiąc: usypia ją, otacza sztraszliwym ogniem, by tylko śmiały mąż bez trwogi i drżenia mógł dziewczycę zbudzić i posiadać. W drugiej części, Siegfried, wzrósłszy na młodzieńca, zabija smoka, staje się panem pierścienia, i idąc szlakiem cudownego ptaka, bez trwogi i drżenia, budzi Brunhildę i w serdecznej rozkoszy święci z nią połączenie. W ostatniej części wreszcie przybywa Siegfried na dwór Gibilungen, gdzie Hagen postanawia zdobyć pierścień. Daje Siegfriedowi pić napój zapomnienia, i bohater, przybrany w hełm, czyniący go niewidzialnym, zdobywa dla Guntera Brunhildę, aby samemu osiągnąć Gudrunę. Brunhilda, oburzona na niewiarę i gniewna za

zwycięstwo nad sobą, łaknie zemsty. Dokonywa jej Hagen, zabija znienacka z tyłu Siegfrieda. Ale Brunhilda, przejrzawszy, wchodzi z ulubionym koniem na stos, a pierścień, oczyszczony w ogniu, rzuca napowrót „córkom Renu“.

Potęgę dramatu stanowi silna, żywiołowa poezya. Sięgnąwszy do mytu, Wagner pojął go, jako symboliczne przedstawienie tragicznego związku człowieka z naturą, i z tej wszechludzkiej, nad różnicę wieków, narodowości i religii wyższej idei wykrzesał płomień. Walka o potęgę, o panowanie nad światem, uplastycznioną jest w pożądliwych zabiegach wszystkich, aby tylko osiąść pierścień, który wszechładzę daje: i marne karły, i potworni olbrzymi, i wielcy bogowie, i dzielni książęta—wszyscy sięgają po ten skarb, wszyscy gotowi są do zbrodni, aby tylko go osiąść. Ale gdy go już mają, rozpoczyna się działanie przekleństwa, i nieszczęście, i zagłada, wiszą nad głową śmiałego zdobywcy. Powtarza się tu mýt o złocie runie, przedmiocie wiecznego pożądania i przyczynie nieszczęścia.

Ile w ogólnem pojęciu mýt jest Wagnera pomysłem, ile przejął wprost ze starych podań, tę kwestyę, ze względu na polskich czytelników, krótko i wcale niewyczerpująco możemy tylko wyjaśnić (żądnych bliższych i dokładniejszych wiadomości odsyłamy do rozprawy W. Golthera: „Die sagengeschichtlichen Grundlagen der Ringdichtung Richard Wagners“). Zmiany są znaczne, wynikły zaś nie z kompilacyi, tylko z intuicyjnego bądź uzupełnienia, bądź stopienia w całość rozproszonych szczegółów. Tak nap. w prologu samodzielnym pomysłem poety jest podanie o „złocie reńskim“; w pierwszej części znakomicie połączone jest podanie o Brunhildzie z sagą północną o Volsungach; w „Siegfriedzie“ jest najwięcej oryginalnych obrazów i sytuacji; w „Zmierzechu bogów“ zaś szczególnie wspaniale występuje widoczne w całym poemacie podniesienie mytu o stopień wyżej, stworzenie akcji i nastroju, którego niewidzialnem na scenie ogniskiem jest Wotan. Oparwszy się na północnych sagach bardziej, niż na podaniu o Nibelungach, usunąwszy na bok wszelkie historyczne szczegóły, zwłaszcza o upadku państwa burgundzkiego, Wagner pozyskał ten symbolistyczny, ogólno-ludzki podkład, o którym w poprzednim ustępie mówiliśmy.

Jako dzieło sztuki, jest tetralogia świadectwem potężnego geniuszu. Świetniejszych postaci nad Siegfrieda i Brunhildę trudno znaleźć w literaturze świata. Tamten radosny, serdeczny bohater germański, naiwny, prawie głupi junak, silny i zdrowy, prosty a śmiały, szlachetny a zapałny; ta wielka, groźna i tragiczna, wytrwała w miłości i w nienawiści, otoczona jakimś dziwnym, dla słowiańskiej duszy niepojętym, urokiem, dzikim a poetycznym. I znów mało kto stworzył szerszą skalę nastrojową i głębszą bezdnie. Jak artys-

tycznie ciekawem jest zestawienie idyllicznego, bosko szczęśliwego życia Siegfrieda z tragiczną poezją zakończenia „Walkiry“, lub złośliwych i drwiących fglów „Cór Renu“ z Alberichem z ponurą złością Hagenal

Osobnego studyum wymagałyby język, styl i forma wiersza poematu. Nie uległ Wagner pokusie sztucznego wskrzeszania języka przedhistorycznych czasów, i z wyjątkiem wyrażań, przejętych do dzisiejszej niemieczyzny, niema tu archaizmu. A jednak, i w tem tkwi geniusz poety, mimo braku archaizowania, wieje z samego już języka tchnienie zamierzchłej epoki, epoki bohaterów i bogów; czemu to przypisać, nie tu miejsce dociekać, zapewne w znacznej części jędrnemu, silnie skoncentrowanemu stylowi, archaistycznie prostemu i zwięzłemu. Język „Nibelungów“ Wagnera, to nie bezbarwny, bezuczuciowy szeręg nanizanych na sznurek wyrazów i zdań; to projekcja serdecznych uczuć, odbicie czaru natury i ludzi, z nią związanych. Co do formy wiersza natomiast trafnie i bystro zorientował się poeta w sprawie, która wówczas trudniejszą była do rozwiązania, niż w obecnej dobie rozkwitu germanistyki. Porzuciwszy nowoczesny, do języka niemieckiego z romańszczyzny przybyły, wiersz rymowany, poszedł za starymi wzorami wczesnych i średniowiecznych bohaterkich śpiewów epickich, i pisze poemat w wierszach, wiązanych alliteracją, czyli tak zwanym „Stabreim“. Zyskuje i w innym kierunku na tym praniemieckim kształcie wiersza, bo, niekrępowany ilością nieakcentowanych zgłosek, unika jednostajności.

„Pierścień Nibelunga“, trylogia, poprzedzona prologiem, zwie się charakterystycznie „Bühnenfestspiel“. A tak w samej już nazwie jest dzieckiem, wychowanem w atmosferze „sztuki przyszłości“, jest praktycznem przeprowadzeniem zasad, niedawno w teoretycznych rozprawach rozwiniętych. Równocześnie zaś jest drogowskazem dalszej wędrówki, która mistrza i tysiące mu oddanych zaprowadzi do — Bayreuthu.

Przed ostatecznym celem jest jednak jeszcze kilka stacyi. Jedną z nich są: „Die Meistersinger von Nürnberg“, lecz niewiadomo dokładnie, gdzie ich postawić. Pomyśl powstał w duszy poety bezpośrednio po „Tannhäuserze“, jeszcze przed „Lohengrincem“, ostateczna redakcyja utworu w zbiorowem wydaniu nosi datę roku 1862-go, mamy więc długą przestrzeń siedemnastu lat. Nie przemienęła ona bez wpływu. Powierzchnowy sąd skorym jest uważać „Meistersingerów“, jako dramat za pewnego rodzaju powrót do dawnej epoki historycznych utworów, których Wagner od „Rienziego“ nie tworzył. Rzeczywisty, historyczny podkład akcji, z realnego mieszczańskich śpiewaków niemieckiej przeszłości życia brana malowniczość situa-

cyi, zdają się przeznaczać dramatowi rolę może pięknej, lecz w gruncie rzeczy konwencyonalnej historycznej sztuki, w połączeniu z muzyką zaś—historycznej opery. A jednak, chociaż Wagner zmienił z biegiem lat plan, to taki szablonowy zamiar nie istniał u niego nigdy, byłby niegodnym mistrza. Myśl sama urodziła się z walki śpiewaków na zamku w Wartburgu, którą poeta, jak wiemy, złączył z podaniem o Tannhäuserze. Na pierwszym planie około motywu podobnego współzawodnictwa pieśniarzy ugrupować się miała akcja, oparta na psychologii postaci Hansa Sachsa. „Pojąłem go, jako ostatnie zjawisko artystycznie twórczego ducha narodowego i w tem znaczeniu przeciwstawiłem go filisterskiemu gronu mieszczańskich śpiewaków, których skończenie śmieszny pedantyzm wcieliłem w osobę „merkera“ ¹⁾. Dramat w tej fazie miał być łagodniejszą ilustracją ostrych teoretycznych wywodów w rozprawie o „Sztuce i rewolucyi“ miał, nie chłuszcząc objawów życia, przeciwnego naturalnej prostocie, biczem oschłej ironii, wysmiewać je szczerym, zdrowym humorem. Hans Sachs ani w słowie, ani w muzyce nie był jeszcze ogniskiem dramatu tylko jego najsympatyczniejszą postacią, której poeta często używał, jako tłumacza własnych myśli. Zmieniło się to i pogłębiło w końcowej redakcyi. Hans Sachs przestał być szkieletem, osłonionym tylko płaszczem przewodniej idei dramatu, stał się słynną postacią, środkiem nie tylko intelektualnej, ale i uczuciowej akcji. Legendowym, a nawet historycznym wiadomościom to się nie sprzeciwia. Historyczny Hans Sachs, w bardzo podeszłym wieku owdowiawszy, pokochał młodą dziewczynę, zaślubił ją i do śmierci używał małżeńskiego szczęścia. O ten fakt zaczepia się Wagner i wprowadza motyw miłości Sachsa ku Ewie. Nadchodzi dzień świętego Jana, odbędą się wielkie zapasy śpiewaków, walczących dźwięcznością lutni, pięknnością poezyi; kto z nich zwycięży, otrzyma rękę uroczej Ewy Pognerówny. Młodzi się o tę cenę pokuszają, ale stary Hans Sachs jeszcze żyje, jeszcze ręka mu tak nie osłabła, by nie zdołała trącić strun lutni i wydobyć z nich czystego dźwięku, jészcze umysł tak nie zniedołężniał, by nie potrafił składnie ułożyć słów w melodyjne zwrotki. Hans Sachs pewnym jest zwycięstwa, gdy wtem zjawia się młody rycerz. Wczoraj dopiero poznał Ewę, a już lgnie do niej, już posiadał jej wzajemność i wierzy, że jutro w zawodach poetyckich dziewica jemu się dostanie. Hans Sachs to widzi i — tu następuje najpiękniejsza chwila dramatu: usuwa się od współzawodnictwa, co większa, sam pomagać będzie Walterowi Stolzingo-

¹⁾ IV, 349.

wi, aby tylko niemiły Beckmesser nie tryumfował: „Przed uroczem dzieckiem chciałbym zaprawdę śpiewać, lecz serca słodkie udręczenie trzeba stłumić; piękne to było wieczorne marzenie i teraz ledwo śmiem o niem myśleć“. Ten motyw niesłuchanie podniósł dramat, zewnętrzną akcyę osadził głębiej, wprowadził konflikt wewnętrzny, nie przeciągając jednak struny, nie zaostrzając wewnętrznej walki. Postać Hansa Sachsa teraz dopiero pełnym blaskiem zajaśniała, a harmonijne, z własnego postanowienia, nie z zewnętrznego przymusu, załatwienie konfliktu rozlało cichą, błogą wesołość szczęśliwych dusz na cały poemat. Ile w tem zasługi muzyki, nie naszą rzeczą badać, trzymając się poetyckiej strony, widzimy obok powyższych przymiotów dostrojenie się zewnętrznej formy. W „Nibelungach“ była ona dziwnie żywiołową, elementarnie prostą i archaistyczną w nastroju bez archaistycznej sztuczności w formie. Tu płynie spokojnie a głęboko czystą, nieskazitelną falą skacze z kamyka na kamyk ucieszenie, a zawsze zręcznie, zawsze ujmująco; wiersze, naturalnym kierowane pędem, łączą się rymem, tworzą zwrotki przejrzyste w zasadniczym składzie. Malowniczość „Lohengrina“ jest i tutaj, ale jakaś wyższa szlachetniejsza, ściślej spojona z poezją i muzyką. „Lohengrina“ można zrozumieć, patrząc tylko na niego, tu zachwycony wzrok udziela wrażeń innym zmysłom, a one w pierwszym wierszu, po pierwszej grupie dźwięków, już się nie dadzą oderwać od wspaniałego dzieła.

Od chwili, gdy w duszy samego mistrza skryształizowało się genialne widzenie sztuki, nie można mówić o „postępie“ w jego twórczości. A jednak, stojąc w kornej zadumie przed „Tristanem i Isoldą“, chciałoby się, mimo całego uznania i podziwu dla poprzednich dzieł, to wynieść wysoko, na jakiś niebotyczny szczyt, tyle cudownej piękności i tyle znaczenia w rozwoju Wagnera ten utwór posiada. Gdy naigrawano się z jego teoryi, gdy nawet rozumniejsi wątpili o jej bezwzględnej prawdzie i praktycznej możliwości, postanowił wielkiem dziełem programowem i jedno, i drugie stwierdzić. W jakim zaś usposobieniu pracował nad Tristanem, sam mówi w liście do Liszta, w grudniu 1854 roku: „Nie zakosztowawszy w życiu nigdy prawdziwego szczęścia miłości, chcę temu najpiękniejszemu ze snów przeciw pewnik postawić, w którymby się od początku do końca ta miłość wreszcie raz mogła nasycić: rzuciłem w myśli plan „Tristana i Isoldy“, najprostszą, ale i najżywotniejszą kompozycyę; czarną flagą, która na końcu wieje, chcę się potem przykryć, aby — umrzeć“. W tem poufnem wyznaniu i w tamtym zamiarze stwierdzenia prawdziwości i możliwości swych marzeń, tkwi początek i charakter dzieła.

Co na pierwszy rzut oka w „Tristanie i Isoldzie“ uderza, to zewnętrzna prostota układu, co po uważniejszym wczycaniu się poznaje,

to wewnętrzna prostota akcji. Niema tłumów osób, jak w „Nibelungach“, lub „Meistersingerach“, wszystko rozgrywa się w szczupłym gronie ośmiu osób, lecz też każda z nich stoi silnie, ma jasne, wyraźne kontury. Niema epizodów w akcji, jest tylko jedna jedyna akcja, ale też od pierwszej do ostatniej chwili jest się pod jej wrażeniem wszechpotężnem. Zarysy jej proste, jej siła w głębokości motywu, w sercu działających osób. Jak to się zgadza z naturą i środkami muzyki, jak prostota, jasność i serdeczna głębia słowa nadaje się do tonów, niech o tem mówią muzycy. Miłość Tristana i Isoldy jest treścią. W przeciwieństwie do „Nibelungów“, gdzie poeta czerpał przedewszystkiem z podań, tu jego źródłem były poetyckie opracowania podania. Jest ich tak dużo, że krótkie scharakteryzowanie od rycerskiego romansu Chrestiena de Troyes, poprzez dzieło nieznanego mistrza Tomasa i poemat Gottfrieda ze Strassburga do fragmentu Immermanna wystarczyłoby na zapełnienie całej rozprawy. Sprawa to zresztą dla nas mniejszej wagi, bo Wagner, chociaż oczywiście z tych dzieł korzystał, motywa podania samodzielnie i genialnie zmienił.

Niema w tych zmianach przypadkowości, wszystkie, aż do najdrobniejszej wynikają z owego stanu duszy w czasie tworzenia i zasad nowej sztuki. W podaniu dopiero napój miłośny, nieszczęśliwie Tristanowi i Isoldzie podany, wywołuje tragiczną miłość; miał on połączyć zarem miłości Isoldę i Markego, starego króla, któremu synowiec prowadzi jako dziewosłab oblubienicę; tymczasem służebna dała przez pomyłkę pić Tristanowi i Isoldzie. U Wagnera miłość pomiędzy dwojgiem młodych ludzi istnieje już dawniej, od pierwszego pobytu Tristana w Irlandyi. Jest, ale jest ukryta, Isolda czuje ją, Tristan sobie z niej sprawy nie zdaje. Jedzie po raz wtóry do Irlandyi, jako wysłannik starego, ukochanego wuja, i już wiezie na okręcie dorodną narzeczoną. A ona go kocha i nienawidzi zarazem, bo wszak wiodąc ją innemu, sprzeniewierzył się tej miłości. I wtedy dopiero chce z nim razem wypić czarodziejski napój, który jest nie napojem miłości, ale trunkiem zapomnienia, napojem śmierci. Brangäne zaś przez omyłkę daje im napój miłości. Ta przemiana napoju, to wprowadzenie w akcję motywu śmierci, zabarwia zasadniczo całe dzieło Wagnera i niepomiernie je nad inne odnośnie wywyższa. Isolda chce wraz z kochankiem wypić do dna puhar zapomnienia i śmierci, aby skończyć życie, którego bez miłości nie może, a w zbrodniczej miłości przedłużać nie chce. Wagner staje tu na wyżynie moralności i sztuki: śmierć jako zakończenie nieszczęśliwej miłości nie jest przypadkiem, wynikiem fatalnej pomyłki, jak w *Romeu i Julii* Szekspira; jest aktem dobrowolnie i z samowie-

dzą postanowionym. Jakże daleko jesteśmy od buńczucznego indywidualizmu, namiętności feuerbachowskiej epoki. Prawda, że wpłynęła na takie pojęcie miłości i występku, życia i śmierci, pesymistyczno-asketyczna filozofia Schopenhauera, którą Wagner w tych właśnie czasach dokładniej poznał. Do Liszta pisze ¹⁾: „Jego główna myśl, jego ostateczne zaprzeczenie woli do życia ma straszną powagę, ale jest jedynem wybawieniem. Mnie ona oczywiście nową nie była i w ogóle nikt jej sobie pomyśleć nie może, w kimby ona nie żyła dawniej. Ale do tej jasności obudził ją we mnie dopiero ten filozof“.

Miasto napoju śmierci, piją więc oboje napój miłości, i oto, zar miast umrzeć, opanowani są stokroć silniejszym żarem. Isolda już o śmierci nie myśli, Tristan teraz dopiero rozumie, że ten dziwny niepokój, jaki odczuwał od pierwszego widzenia się z Isoldą, to była miłość. Ale już okręt przybija do lądu, już radosne okrzyki witają króla Markego. Tu znowu przychodzi nam podziwiać drobną a ważną zmianę, jaką Wagner do podania wprowadził. Tam Tristan żyje jakiś czas w upojeniu miłosnem z kochanką i później dopiero oddaje ją w ręce wuja, który czystej oblubienicy czekał; tu miłość żyje nie mniej silnie, wyraża się z końcem pierwszej odsłony we wspaniałym dyalogu erotycznym, ale Tristan zachowuje prawość i szacunek dla wuja, gdy wprowadza w jego dom nietkniętą, nieskalaną dziewczycę.

Folgowanie namiętności w dalszym ciągu dramatu już nie razi estetycznego zmysłu; jednak i tu tajemniczy, a wymowny symbolizm towarzyszy akcji. Płonąca pochodnia, u wejścia do komnaty Isoldy postawiona, ma Tristana ostrzegać, aby był zdala. Pali się łuczywo, lecz ona już dłużej pragnienia nie powstrzyma, i chociaż Brangäna ją błaga, by tego nie czyniła, gasi pochodnię na ziemi i rzuca się w objęcia nadbiegającego Tristana: noc musi być, gdy namiętność nie-szczęсна ma tryumfować. Zdrada czyha: złośliwy Melot pokazuje Markemu kochanków, rani śmiertelnie Tristana. Figura oszukanego męża w podaniu wypadła niemal tak, jak w dzisiejszym swawolnym dramacie obyczajowym francuskim; siwe włosy i niemoc wieku spożytkowane zostały w kierunku niewybrednego taniego komizmu. Inaczej u Wagnera: Marke w drugim akcie, nieświadomy jeszcze fatalnej zamiany napojów, ma szanowną powagę i godność, i nikt pewnie

¹⁾ II, 45.

z jego nieszczęścia śmiać się nie będzie; w trzeciej odsłonie, gdy się o wszystkim dowiaduje, budzi cześć spokojnym tragizmem rezygnacji.

Ostatni akt ze śmiercią Tristana i Isoldy powtarza raz jeszcze dwugłos: Miłość — śmierć, śmierć — miłość. Nie jako abdykacja miłości, lecz jako najsilniejsza jej afirmacja, bezpieczna od zmiennych przygód i przeszkód życia, miłość żyje w śmierci. Posłuchajmy samego ucznia pesymistycznej etyki Schopenhauera ¹⁾: „Jest to rozkosz umierania, niebytu, ostatniego wybawienia do tego cudownego państwa, od którego po największych manowcach najbardziej się oddalamy, gdy usilujemy właśnie najgwałtowniej tam się wcisnąć. Czy to nazwiemy śmiercią? Albo czy to jest mroczny świat czarowny, z którego bluszcz i róża w serdecznym uścisku wyrosły na grobie Tristana i Isoldy, jak o tem nam podanie mówi?“

Z filozoficzną ideą rozprawić się nie będziemy. Kto ją wyznaje, podwójnemu czarowi ulegnie; kto się na nią nie zgadza, natręctwa jej niech się nie obawia, „Tristan i Isolda“ Wagnera nie są bowiem filozofią, ani filozoficzną poezją nawet. Są dramatem duszy i serca ludzkiego, doprowadzonym do najdoskonalszej siły i prostoty. Wszystko tu przeniesione w głąb człowieka, zewnętrzne akcesorye są drobiazgiem bez znaczenia. Ślicznie też francuski krytyk, Appia, w rozprawie „La mise en scène du drame Wagnérien“ domaga się wobec tej sztuki możliwej skromności dekoracji: „Dans Tristan' la mise en scène doit se réduire à un minimum tel, qu'il ne saurait être question d'illusion“.

Gdyby „Tristan i Isolda“ byli ostatniem dzieckiem Wagnera, możnaby ich słusznie uważać za koronę twórczości jego. Przed „Parsifalem“ i ten dramat musi się schylić. „Łabędzi śpiew“ mistrza jest dziełem tak genialnem, że trudno pomyśleć sobie, by mógł być stworzyć wyższe; jest zarazem tak pełną syntezą jego „ja“, że zszedłszy wnet po nim do grobu, artysta nie pozostawił zagadek, którychby na podstawie zrozumienia tego dzieła snadnie nie można było wytłómaczyć.

Niezwykle szczęśliwym był już sam wybór tematu, jeżeli wogóle w ostatnich utworach Wagnera można mówić o „wyborze“, tak każdy z nich wyrasta z gruntu jego duszy, zdaje się być koniecznym, koniecznym w tej właśnie treści i tym kształcie. Podanie o Gralu,

1) Entwürfe, Fragmente, Gedanken“, tom, 102.

przybyłe do Niemiec zapewne z azyatyckiego wschodu, urobione naprzód w Hiszpanii, artystycznie opracowane w romańskiej, a potem w niemieckiej poezji („Wolfram z Eschenbachu“), jest szczytem rycerskich podań średniowiecznych, najgłębszem z nich w treści, we wzniosłych i przejmujących symbolach. Ta święta czara, w której Józef z Arymatei miał zebrać krew męzonego Chrystusa, ten zakon Templaryuszów, ku jej czci i straży założony, pełen wielkiego poczucia godności, ale i surowych obowiązków, sam przez się już musi budzić zajęcie, spotęgowane jednak stopieniem tej legendowej opowieści z postacią Parsifala, który z okresu dziecięcej głupoty przez zwątpienie o wszystkim, dochodzi wreszcie do cnoty, mądrości i szczęścia. Wagner, o ile z jego pism można wnosić, po raz pierwszy zajął się tym motywem koło roku 1848, kiedy rozmyślając nad dramatem o Fryderyku Rndobrodym, spisywał uwagi nad Nibelungami. Znajduje się w nich ¹⁾ ustęp, raczej kunsztownie, niż przekonująco przedstawiający, jak legenda o świętym Gralu obejmuje spadek po podaniu o skarbie Nibelungów i łączący ten fakt z urobieniem się pojęcia i roli niemieckiego cesarstwa, jako o syntezie królewskości i kapłaństwa. Że w okresie najsilniejszej samowiedzy duchowej i artystycznej Wagner temat opracował, jest skutkiem kongenialności twórcy i podania w tym właśnie czasie.

Wagner był wtedy, jak wiadomo, pod wpływem Schopenhauera, Ignął do asketycznych, buddaistycznych idei, i w rezygnacyi, w zaparciu się siebie samego widział kwiat etyki. Wznioślejszego jego uplastycznienia nie mógł nigdzie indziej znaleźć. Jak we fragmencie do dramatu „Zwycięzca“, powstałym pomiędzy rokiem 1854 a 1857, to jest między pierwszym planem „Tristana“ a koncepcją „Parsifala“, głosi w myśl indyjskiego pesymizmu wyłączną moc bezwzględnej czystości w osobach bohaterów, Ananda i Prakriti, tak w początkowym szkicu do „Parsifala“ znajdujemy asketycznej maksymy wiersze: „Wielkim jest czar pożądania, lecz większa siła rezygnacyi.“

W gotowym poemacie jednak rzecz odmiennie się przedstawia, a zwracamy na to szczególniejszą uwagę, bo często nazywane jest ostatnie dzieło Wagnera śpiewem bezpłodnej bierności. Parsifal z dramatu bliższym jest młodzieńczemu Siegfriedowi, niż buddaistycznym ideałom: ma siłę i wie, że ją ma; ma wolę czynu i ma zdol-

¹⁾ II, 193.

ność czynu, a całą osnowę dramatu określić można właśnie jako ujawnianie się popędu do czynu. Dziecięciem jeszcze sam sobie łuk robi, chłopięciem wbrew woli matki opuszcza cichą pustynię leśną i idzie w świat, Kundry opowiada o trwodze, jaką odczuwają wobec niego olbrzymi, my sami widzimy, jak porywczco o mało co nie dusi gońca, który mu przyniósł wiadomość o śmierci matki, lub w czarodziejskim zamku złego Klingsora sam bezbronny nad rycerzami góruje.

Prawda, że Parsifal zachowuje dziewiczość, odtrąca Kundry, całującą go, gdy szuka u jej kolan pociechy i ulg w nękającym bólu, a z męską energią wyrывa się z koła „złej rozkoszy“; lecz w rysach tych niema buddaistycznego tłumienia naturalnych popędów, owszem, Parsifal nie chce tylko w przedwczesnych uściskach stracić mocy do wielkich czynów, których pragnie i które dokonać ma, a taka wstrzeźliwość, taka czystość jest postulatem wszystkich ludowych podań, wysnutych z wiary, że tylko czysty bohater może być piastunem wielkich idei. Chamberlain trafnie w tem miejscu przypomina, że nie tylko Siegfried nie zaznał kobiety, gdy dzielnie zabija Fafnera, lecz nawet w tak odległych baśniach, jak w chińskim Aladdynie, żąda się dziewiczości od bohatera, i że tam nie czarodziej, lecz niewinny młodzian zdobywa skarb. Buddaistycznym, ale zarazem najwznioślejszym jest chyba tylko altruizm Parsifala, który oddał się w służbę przenikającego cały dramat uczucia litości.

O ściśle artystycznej stronie utworu nie wiele mamy do powiedzenia. Nie dla tego, żeby nam brakło słów, bo milczenie zachwytu niedopuszczalnem jest w literackiem studyum, lecz w przekonaniu, że doprowadziwszy wszystkie piękności poprzednich utworów Wagnera do doskonałości, otrzymamy odpowiednie wrażenie z tego arcydzieła: wszystkie, od podziwienia godnego skupienia akcji w walnych psychicznych momentach, trudniejszej tu wobec epickiego charakteru opowieści, aż do muzykalnej nastrojowości wiersza, który muzyki potrzebował nie do spotęgowania, lecz jako bliźniaczego środka artystycznej ekstazy.

*

*

*

Wykonanie „Parsifala“ do dziś dnia zastrzeżone jest na korzyść teatru „Festspielhaus“ w Bayreuth. Powołana do życia dla przedstawienia cyklu „Nibelungów“, prowadzona wśród najbardziej niechęcających przeszkód i trudności, którym nawet łaska monarsza Ludwika II, króla bawarskiego, podolać nie mogła, scena ta dziś, dzięki niespożytej energii wdowy po mistrzu, Cosimy, stoi na trwałym gruncie. Do biografii Wagnera należą dzieje rozwoju myśli tego teatru, tu o idei samej mówić wolno i trzeba, bo miała ona być wciele niem estetyki Wagnera, co większa, całego jego poglądu na sztukę, na ludzkość i na świat. Poczęła się w nim samym i była naturalną konsekwencją jego oryginalnych poglądów na sztukę. Zwycięska wojna francusko-niemiecka, radośnie powitana przez niego, zapowiadająca erę świetnego bytu narodu, miała dzieło przyspieszyć, miała odrodzonej politycznie i narodowo ojczyźnie dać odrodzenie sztuki. Czy dała istotnie? Tu już mogą kiełkować wątpliwości, które jedno więcej ogniwo przysparzają do długiego łańcucha rozczarowań, zawiedzionych nadziei, jakie światu przyniosły dzieje Niemiec po roku 1871...

Bayreuth, ta Mekka tysięcy pielgrzymów, w oczach zdeklarowanych wagneryanów jest istotnie świętem miejscem. Obserwator, na uboczu stojący, a przeto spokojniej sądzący, nie może przemilczeć, że wielka i zbawienna myśl mistrza samego wykonaną została jedynie połowicznie, że Wagner sam uległ w wielu zasadniczych szczegółach twardej rzeczywistości, niższej, ale silniejszej od jego ideałów. Chciał dać dzisiejszemu społeczeństwu teatr, któryby był dla niego tem, czem dla Hellenów była ich scena. Chciał ludzkość odrodzić przez sztukę, a za kwiat jej poczytując dramat, dać teatr, godny tej sztuki i tego narodu. Nie teatr właściwie, lecz „Festspielhaus“, przybytek sztuki, uroczystą jej świątynię, jak kościoły są przybytkiem Boga.

Przedewszystkiem teatr nie miał sztuki na sprzedaż wystawiać, lecz, będąc przez państwo i naród lub prywatne osobistości

utrzymywaną instytucją publiczną, miał być bezpłatnie otwartym dla wybranych, zdolnych do prawdziwego przejścia się sztuką; kto miał więc prawo do tytułu wybranego, nie wiadomo, bo przecież przy wolnym wstępie niepodobieństwem było ograniczać liczby widzów, którzy w normalnych warunkach cisnęliby się z samej chęci bezpłatnego zaspokojenia ciekawości. Ale tu pierwszą musiał sam Wagner uczynić koncesyę, a ustępstwo to spaczyło myśl zasadniczą. Wierzymy osobiście w to, że kiedyś nadejdzie czas, gdy teatr albo zniknie z powierzchni ziemi, albo przystępnym będzie bez opłaty dla wszystkich, jak szkoły, muzea. Wiemy jednak, że na razie i na bardzo daleką metę jest to utopia, tem mniej można widzieć przyspieszenie lepszej artystycznej kultury w teatrze bayreuckim płatnym, jak inne, chyba droższym, a więc nieprzystępniejszym. Nie na tem kończy się wykrzywienie myśli wielkiego twórcy. Dążył on do stworzenia tej sceny zrazu, co prawda, aby umożliwić wystawienie „Nibelungów,” potem i innych własnych utworów; ale nie chcąc krzywdzić jego czcigodnej pamięci, nie można przypuścić, aby „Festspielhaus“ przeznaczał jedynie dla swoich dramatów; gdyby tak było, dowodziłoby to zarozumiałości i egoizmu, a Wagner miał wysokie wyobrażenie o sobie, lecz był iście wielkodusznym. Dzisiaj Bayreuth daje tylko Wagnera i gdyby, co zresztą na razie jest bardzo nieprawdopodobnem — kto inny stworzył wymarzone przez Wagnera arcydzieła przyszłości, wątpimy, czy w willi Wahnfried danoby mu klucze teatru.

Więc chociaż bezwzględni jego wielbiciele w Bayreuth widzą jakby tajemnicę nowego świętego Graala, niepodobna dostrzedz trzeźwem okiem więcej nad miejsce kultu mistrza, bardzo wzniosłe, chociaż prózną ciekawością i modą profanowane, oraz wzorową scenę. Wzorową jest ona w zewnętrznej formie przedstawień, w harmonijnem współdziałaniu wszelkich środków inscenizacji, w doborze śpiewaków i kierowników, wzorową także w urządzeniu wnętrza, mianowicie w ukryciu orkiestry w tak zwanej mistycznej przepaści, w amfiteatralnem ustawieniu miejsc dla widzów i w wynikłym stąd usunięciu łóż. Trochę za mało zostało ze spuścizny Wagnera, i nie najsamodzielniejszą z jego idei jest ta właśnie. Już Goethe o tem myślał, ba, przed nim nawet jeszcze Grétry dokładnie tę reformę przedstawił.

*

*

*

Nie Bayreuth więc jest niśmiertelnym spadkiem Wagnera. Jego wielkość nie zamknięta jest w ścianach wzorowej sceny. Ona żyje w jego dziełach. A jeśli dzisiaj uznano już wielkość Wagnera-muzyka, to czas i u nas ocenić wielkość Wagnera-poety. Czy ona od tamtej wyższa, czy niższa, próżno byłoby się spierać. Dość, że jest, że do dwóch jasnych gwiazd niemieckiego Parnasu przybywa trzecia, równie świetna, dość, że wszechświatowa poezya bogatszą jest o Wagnera.

Przed rozstaniem, jedno pytanie, wynikające z natury Polaka, który, nawet o obcym przedmiocie pisząc, ciekawy jest jego związku z nami. Wagner w polskiej muzyce, to temat opracowany już nieraz i w ogólnych zarysach każdemu znany. Ale gorzej jest z pytaniem: Czy Wagner-poeta wywarł wpływ na naszą literaturę? Jużci wpływ ten dużym nawet być nie może: poezyi Wagnera u nas nikt nie czyta, mało kto wie, że istnieje ich dziesięciotomowe wydanie, przedstawień Wagnera mamy tak mało, a zresztą wtedy muzyką, nie poezyą jesteśmy zajęci. A jednak pewien nieznacznym wpływ, raczej bezpośrednim, częściej pośrednim oddziaływaniem Wagnera na naszą poezyę istnieje. Naprzód w tym objawie, który stanowi cechę naszego najnowszego dramatu, w dążności do stworzenia „Wort-und Tondrama“, wyraźnej w tem, że nigdy tak często nie snuła się w naszych dramatach muzyka, jak obecnie. Ale może poszukawszy skrupulatniej, znalazłoby się szczegółowsze ślady dalekiego oddziaływania Wagnera, zwłaszcza w fantastycznych dramatach, mimo olbrzymiej przepaści pomiędzy germańskimi a słowiańskimi wyobrażeniami i wierzeniami. Mam na przykład osobiste przekonanie, że topielice w „Zaczarowanym kole“ p. Rydla, takich kształtów i takiej formy wiersza nie przybrałyby bez Wagnera. Lecz to tylko subiektywna uwaga, którą krytyk wynagradza sobie zachowywany przez całą rozprawę obiektywizm.

Oczywiście nie namawia on do naśladowania, bo to zawsze jest literackim grzechem. Lecz studyowanie Wagnera byłoby dla naszych poetów dramatycznych, właśnie w obecnej dobie, nie bez korzyści. Dzisiaj, gdy sięga się tak często do skarbnicy mitologii ludowej, przedstawiając ją nie zewnętrznie tylko, ale w usiłowaniach wyrażenia jej wielkiej głębi ideowej, Wagner pouczyć może poetów, jak się wewnętrzną akcyę koncentruje, jak w genialnej prostocie symbolizuje się najtajniejsze objawy wiecznie tej samej duszy ludzkiej, wreszcie, jak się dany materyał przetapia na dramatyczną ośnowę. A ta nauka może nie jest zbyteczną.

DR JÓZEF FLACH.

Szesnaście dni z mego życia

CZYLI

relacya z podróży do Petersburga¹⁾

podczas rewolucyi polskiej z roku 1830 — 1831.

PRZEZ

TADEUSZA WYLEŻYŃSKIEGO.

Nie miałem go już więcej zobaczyć i byłem w niepewności, co ze mną się stanie, gdy nazajutrz rano, dnia 30 grudnia nowego stylu, przybył do mnie oficer gwardyi, przez generała Benckendorffa przysłany, z żądaniem, abym się u niego stawił na 10 z rana. Udałem się tam dorożką bez towarzyszącego mi wciąż oficera, co mi zrobiło przyjemność, dotąd bowiem podczas całego krótkiego w Petersburgu pobytu, ruszyć się bez niego, lub bez feldjegra nie mogłem. General Benckendorff jest człowiekiem o wykwiintnej i łagodnej twarzy, wielkiej uprzejmości w obejściu, wielkiej też wytworności w całym zachowaniu. Uchodzi za ulubieńca cesarza, za najgodniejszego i najuczciwszego w cesarstwie człowieka. Już za pierwszym moim pobytym w Petersburgu przed trzema miesiącami wiele mi okazywał był uprzejmości i rad byłem, że go zobaczę. Skoro tylko mnie zameldowano, przyjął mnie bezzwłocznie, serdecznie, w szlafroku, i odezwał się do mnie:

1) Patrz zeszyt lutowy, str. 221.

— I cóż to? Polska zerwała się do buntu, zrobiliście rewolucyę; któż się tego mógł spodziewać, kiedyśmy się po raz ostatni widzieli z sobą.

Odpowiedziałem, iż w istocie nie przeczuwałem tej katastrofy.

General Benckendorff: Nie mogę pojąć jak Polacy mogli zrobić rewolucyę, nie obliczając klęsk, które stąd na ich ojczyznę spadną. Zapewne, nie wszystko było dobrem u was, ale nic nie usprawiedliwia waszego buntu, boć przecież porównać wam się z innemi dzielnicami Polski. Spójrzycie na Galicyę, albowi nie jest ona nieszczęśliwszą od was? nie posiada ani reprezentacyi narodowej, ani konstytucyi, ni wojska, ni urzędników polskich, ni nawet polskiego języka, nic z dóbr wam przyznanych, a do tego przeciążoną jest podatkami. Podobnież i Wielkie Księstwo Poznańskie, którego rzeczywiście położenie tak polityczne, jak i materyalne dalekiem było od pomyślności Królestwa Polskiego. Porównajcie się z Litwą, z Wołyniem i innemi prowincjami polskimi pod rządem rosyjskim, co za olbrzymia różnica! w jak szczęśliwych pod każdym względem znajdowaliście się warunkach! A jednak wszystkie inne części Polski zachowują się spokojnie, tylko w tem jedynem Królestwie Polskiem, gdzie Polakom było najlepiej, wybucha rewolucya! Pomyślcie tylko, jak wasz kraj kwitnął, ku zdumieniu obcych: ludność wzrastała, ciężary nie były nadmierne, rządiliście się sami, wszystkie gałęzie przemysłu świetnie się rozwijały, tak rolnictwo, jak i rękodzielnictwo, miasta też rosły, cała Polska wyglądała, jak jeden klejnot oko pieścićący. Zapewne jedna tkwiła tam bieda, mianowicie Wielki Książę Konstanty, który krzyżował zamiary cesarza, który sprawiał, iż indywidualnie słusznie miano w Polsce grawamina, który był powodem pewnego nieukontentowania. Było wam poczekać trochę. Postanowiono odwołać Wielkiego Księcia, już on tej wiosny miał za granicę wyjechać, aby już więcej do was nie wrócić. A wtedy chybaby już nie wam do szczęścia nie brakowało, stalibyście się krajem najszczęśliwszym w świecie. Czy pan się domyślasz jak złe wiadomości przywiozłeś? Zewsząd żdzierają godła cesarskie, usuwają cyfry, wrzeszczą, zbroją się, obwarowują Pragę. Przeciw komuż skierowane są owe wojenne przygotowania?

Ja: Raz zerwawszy się do rewolucyi, kogoż mamy się lękać, jeżeli nie cesarza Rosyi? oczywiście, bronić się chcemy przed nim.

General Benckendorff: A więc te wszystkie przygotowania wymierzone są przeciw cesarzowi, przeciw temu, który tylko szczęścia waszego pragnął! który wam złożył tyle dowodów swojej przychylności.

Tu generał wymienił koronację w Warszawie, wspomniął sejm, sprawiedliwość monarszą wobec wyroku Senatu i wbrew zdaniu Wielkiego Księcia, któremu nie uległ, dalej poparcie udzielone rękodzielniom, nawet z uszczerbkiem Rosyi, poszanowanie narodowości polskiej, stwierdzone datkami na odnowienie królewskiego zamku w Krakowie, na pomnik Sobieskiego w Warszawie, darem dział z pod Warny, opiekę zapewnioną sztukom pięknym i naukom, pomyslny stan finansów Królestwa Polskiego, oraz kredytu wpływającego z opieki Rosyi. I tak rzecz zakończył:

— A oto sejm wasz uznaje rewolucyę, jako narodową, składa dzięki tym, co ją zapoczątkowali. Alboż nie znalazł się nikt z posłów, któryby miał dość rozumu i lojalności, aby wspomnieć o cesarzu, jako waszym monarsze?

Odpowiedziałem to samo, co i marszałkowi, że żaden głos się nie podniósł przeciw cesarzowi, lecz żaden też i za nim.

General Benckendorff: Czy dużo było ludzi na galerji?

Na moją odpowiedź potakującą, generał rzekł dalej:

— Sejm tedy znalazł się pod wpływem galerji; szanse wojny nie są wam przychylne; choćbyście nawet pierwszą wygrali bitwę, dajmy na to wkroczyli na Litwę, zdobyli Wilno, wspomnijcie, że Francuzi dotarli do Moskwy, co nie przeszkodziło, iż wkrótce potem znaleźliśmy się w Paryżu. Wyrażnie Opatrzność czuwa nad losami Rosyi, że oto właśnie, gdy nasze wojska sposobiły się do kampanii i gromadziły na pograniczu, panowie Polacy tę obrali chwilę, aby zrobić rewolucyę. Cesarz mocno jest zbolący tą waszą rewolucyą, zwłaszcza postępowanie armii go obraziło, bo ją kochał. Jeszcze kiedyś się odzywał: — Czyż wojsko polskie zapomniało wyraz mojego oblicza? czy ten wyraz zdradza skłonność do ustępstw? — Cesarz tak bardzo na waszą liczył armię, że, acz świadom waszych z Francuzami stosunków, przeznaczał was do awangardy, wyprzedzającej idące na Francyę rosyjskie szeregi. Nie wątpię, że wojsko polskie byłoby walczyło doskonale.

Czy pan się domyślasz, że ja sam silnie tem wszystkim jestem skompromitowany? Niedawno jeszcze ręczyłem cesarzowi za wierność wojska polskiego. Mówiłem mu: Najjaśniejszy Panie, liczyć możesz na polską armię równie pewnie, jak na pułk Przeobrażeński. I oto właśnie armia, za którą dawałem poręczenie, zbuntowała się przeciwko swemu monarsze. Jakże Polacy przypuścić mogą, że cesarz wda się z nimi w targi i ustępstwa. Nie ma on do tego najmniejszej przyczyny, nic sobie wyrzucać wobec Polski nie może, jeżeli tam było co złego, to nie z jego winy, należało się stawić w je.

go położeniu; zresztą to wszystko było tylko przejściowem. A teraz, choćby nawet chciał zstąpić do jakiej koncesyi, nie może tego zrobić jako cesarz Wszechrosyi. Przecież nie może się posunąć do ustępstw wobec kraju, który był najszcześniejszym ze wszystkich prowincyi olbrzymiego państwa, który jedyny posiadał liberalną konstytucyę, a zerwał się do buntu. Coby na to rzekli inni jego poddani? byłoby to poniekąd zachętą, aby tak samo postąpili i naśladowali ten przykład. Widzicie tedy, iż niema podobieństwa układów lub ustępstw, gotowych skompromitować cesarza wobec poddanych. Wszakże wobec nich zarówno, jak i wobec państw ościennych, dowieść musi, iż jest dość silnym, aby domową opanować rozterkę, dość stanowczym, aby tego chcieć i dokonać. Jakiegoż wyobrażenia nabrałaby o nim Europa, gdyby się poddał pierwszemu lepszemu tumultowi w swoim Państwie. Może on tylko żądać bezwzględnego poddania się. Tak polityka cesarza, jak jego wola mu to narzuca, i jest to jedyna droga przed wami otwarta. Zresztą możecie liczyć na szlachetny i wspaniałomyślny charakter cesarza, iż nie nadużyje on waszego położenia. A tymczasem, jeżeli Polska będzie z bronią w ręku podbita, na co się zanosi, jeżeli zechce stawić wszystko na kartę walk, jak najgorzej na tem wyjdzie.

Odparłem, ile upatruję trudności w przeprowadzeniu zupełnej uległości cesarzowi; jak dalece, spaliwszy tyle za sobą mostów, Polacy pewien honor narodowy przywiązywali do narażenia się na wszystko, coby stąd wyniknąć mogło; że zapewne słaba tylko część narodu zapoczątkowała rewolucyę, ale teraz już ją cały naród uznał i usławił. Dodałem w końcu:

— Gdyby zaraz w pierwszej chwili wybuchu Wielki Książę umiał być ruch opanować, byłby potrafił zdać sobie sprawę, jak słabem było stronnictwo, które to hasło wydało, wszystko byłoby ucichło. Dziś atoli stronnictwo to urosło w siłę, niema jednego w Królestwie zakątka, gdzieby z zapalem białego nie rozwinięto sztandaru; sejm, armia, urzędnicy, przystali do ruchu i postanowili popierać powstanie. Ludzie rozważni i dalej patrzący, którzy boleją nad prawdopodobną klęską ojczyzny, albo ulegają wpływowi rewolucyjnego stronnictwa, albo też mniemają, że im honor od tamtych odłączyć się nie pozwala. Ci, co może pozostali wierni cesarzowi, nie zdołaliby opanować reszty; młodzież mówi głośno, porywa i zapala tłumy, w całym kraju niezmiernie panuje podniecenie, umysły pałają i trudnoby im dziś nadać inny kierunek. Nadto armia nasza poważnie przybiera rozmiary, a na prowincyi się zbroją.

Generał Benckendorff mi odpowiedział, że, mimo całej naszej waleczności, upaść musimy, bo dysproporcya jest zbyt wielka, a i woj-

sko rosyjskie bić się będzie zawzięcie, takie czuje oburzenie na polską rewolucyę i niewdzięczność.

Dodałem jeszcze, iż młodzież galicyjska przybywa z końmi i rynsztunkiem wojennym, że rząd austriacki nie stawia przeszkody, że świeżo tak młody książę Lubomirski przyprowadził z sobą 30 jeźdźców. Poznańskie nie inaczej działa. Z umysłu wspomniałem Galicyę, aby wszczepić nieufność do rządu austriackiego, a zresztą przywiedzione fakta były prawdziwe. Dodałem jeszcze, iż czas pokaże, ażali Francya i Belgia nie wywołały tajemną agitacyą i naszej rowolucyi, która aż nadto im była na rękę, a której zresztą przykład nam dały z prawdopodobieństwem powodzenia. Na to generał Benckendorff mi odpowiedział:

— Wskażę panu właściwe powody rewolucyi polskiej; zapewne wchodzi tu w grę naśladownictwo, wchodzi i zagraniczne wpływy. Następnie partya republikańska, rosnąca w Europie, puściła odnogi i pośród was; partya ta walczy z monarchizmem, pragnie znieść głowy ukoronowane, głosi niwelacyę powszechną, wyznaje demagogię, jakobinizm, i wszystko obrzydłe, co z temi zasadami idzie w parze. Co zaś najważniejsza, stronnictwo gałganów, wojujących z uczciwymi ludzmi, nędzników, którzy zawiszcza bogatszym dostatków i radziby w ich miejsce wstąpić, dla których wszystkie środki zarówno są dobre, byleby się pozbyć prawych obywateli i opanować wszystkie majątki i wszelkie urzędy, pod hasłem: „precz z wami! zróbcie nam miejsce!“, te to stronnictwo podnieca złe namiętności spospółstwa. Dobro kraju jest dla nich płaszczykiem, bo w gruncie rzeczy chodzi im tylko o przewrót, któryby dał im sposobność poprawienia własnego osobistego losu. W końcu przyznać należy, że Wielki Książę wywołał u wielu nieukontentowanie, dał niejednen powód rozgoryczenia, że Polska nie czuła się tak szczęśliwą, jak być mogła, dokuczał on osobnikom, niezręcznie i niepotrzebnie urażał pojęcia, słowem był pierwszą przyczyną ogólnego niezadowolenia i przysposobił grunt do idących przełomów.

Generał pytał mnie jeszcze o szczegóły rewolucyi, o ludzi, którzy w pierwszych dniach zginęli, o Chłopickiego, który ład przywrócił, o generała Krasieńskiego i sposób, w jaki go powitano w Warszawie i jego matkę. Poleciał mi nie wychodzić z mieszkania, nie pokazywać się na ulicy. Zaręczyłem, iż wychodzę wtedy tylko, kiedy mnie powołują. Prosiłem o upoważnienie zobaczenia się z generałem Grabowskim i hr. Jezierskim. Zezwolił na to, ale ich ostatecznie nie widziałem. Nareszcie generał Benckendorff pożegnał mnie łaskawie, okazując szczerą smutek z powodu nieszczęśliwych wypadków.

Wróciwszy do siebie, usłyszałem od przydanego sobie oficera, iż generał hrabia Czernyszew (minister wojny i szef sztabu generalnego armii rosyjskich) przysłał był feldjegra z uwiadomieniem, że za półgodziny pojazd jego po mnie przybędzie, i że tenże towarzyszący mi oficer ma mnie odstawić do ministryum. Miałem przecucie, iż jeżeli dotąd tylko o sprawie polskiej ze mną rozmawiano, teraz przyjdzie kolej na osobiste moje stanowisko. W istocie się nie omyliłem, znając zaś wielką przebiegłość hr. Czernyszewa, nienawiść, którą pałał jawnie wobec Polaków, zręczność, z jaką umiał przeprowadzać tego rodzaju śledztwa, spodziewałem się przykrzej rozmowy, zakończonem bodaj aresztowaniem mojej osoby; zabrałem tedy z sobą rulon stu dukatów, aby je mieć na wszelki przypadek, gdybym już nie miał do mieszkania wrócić. Niebawem z wielkim niepokojem udałem się do tego generała, zbrojąc się w ostrożność największą i pożądaną zimną krew.

Stanąwszy w pałacu sztabu generalnego, czekałem przez chwilę w salonie, ale niebawem nadszedł hr. Czernyszew, z wielką teką pod pachą; odesłał on mego towarzysza, kazał mi usiąść, i pozostaliśmy sam na sam. Zaczął od tego, iż mi oświadczył, jako cesarz przeczytał już mój wczorajszy referat (przyczem wydo był go z teki), i że okrom otrzymanych stąd szczegółów, żądał ich więcej jeszcze. Odpowiedziałem iż gotów jestem dostarczyć takowych, tembardziej, iż może Najjaśniejszy Pan nie mógł pisma mego odczytać. Zaręczył, iż przeciwnie, cesarz sam przeczytał wszystko i znalazł rzecz dobrze napisaną, zważywszy, iż lewą posługiwałem się ręką. Ale to było wstępne słowo, bo natychmiast dodał: Przychodzę z panem mówić o jego własnej sprawie, i proszę uważnie mnie posłuchać. Cesarz jedną tylko zna wierność, tę, którą mu jest winien każdy z jego poddanych, a zwłaszcza, do której każdy oficer wojsk jego jest zobowiązany w każdej okoliczności, z przynależnem poświęceniem. Wielki Książę Konstanty mógł odesłać wojska, które przy nim w pierwszych chwilach rewolucyi pozostawały, mógł nawet rozkazać, abyście go odstąpili i do zbuntowanej wrócili Warszawy; ale cesarz w to wszystko nie wchodzi i na nic z tego się nie zgadza. Wojsko polskie nie mniej zawiniło buntem wobec swego monarchy, i cesarz ma dziś za buntowników tych, którzy do tego wojska należeli. Zaczem i ty, panie, znajdujesz się w tej kagoterii, a przybywasz tu bez żadnego prawomocnego rozkazu; podjąłeś się misji z ramienia władzy, której cesarz nie uznaje; wszelako cesarz raczył wejść w twoje położenie i upoważnił mnie do oświadczenia, iż zostawia panu wybór, albo powrotu do Warszawy, albo pozostania w Petersburgu. Jeżeli chcesz wrócić i trwasz w tem

zyczeniu, odstawimy cię tam zaraz dzisiaj, ale cała przyszłość twoja przepadnie, cesarz więcej o tobie wiedzieć nie chce, i w tej chwili już w tobie upatrywać będzie jedynie oficera zbuntowanych szeregów. Jeżeli zostaniesz w Petersburgu, zrobić masz to, co uczynili wszyscy tu zostający Polacy, którzy odnowili przysięgę na wierność i poddanie. Wkrótce zobaczysz się ze swym dowódcą, generałem Wincentym Krasieńskim, od którego mamy wiadomość, że tu przybywa, a spotkać go niezawodnie będzie panu przyjemnie. Dobrze tu panu będzie, nie zapomną o panu. Proszę się zdecydować.

Zimny pot wystąpił na moje ciało; zmierzyłem straszne moje położenie, a tu wypadło od razu powziąć żądane postanowienie. Daję słowo honoru, iż wówczas przewidywałem najsmutniejsze naszej rewolucyi zakończenie, w przekonaniu, iż sprawa nasza upaść musi. W ciągu wojny bywały chwile, w których ludziłem się nadzieją zwycięstwa, przyznaję to szczerze; atoli ani w początkach, ani zwłaszcza w Petersburgu tej nadziei nie miałem. Rozumiałem dobrze, iż gdybym w Petersburgu pozostał, karyera moja byłaby zapewnioną, bo cesarz by mi tego nie zapomniał, zdobyłbym sobie świetne korzyści osobiste, wygrałbym niezawodnie proces, na którym cała moja fortuna się opierała. Proces ten miał przejść przez senat w Petersburgu. Ale wnet odrzuciłem od siebie wszystkie owe względy osobiste i myślałem tylko o uczciwym dopełnieniu powierzzonej sobie misyi szybkim powrotem do Warszawy, gdzie mnie wyglądano niecierpliwie; nie chciałem uchodzić wobec swoich za przeniwiercę, chciałem dzielić los mych rodaków w tym okresie klęski. Roztropność wszelako wskazywała, iż nie należało w Petersburgu obrażać monarchy, że gdybym w sposób nagłący do Warszawy chciał wrócić, jakby nie dbając o zdanie cesarza, zamiast się dostać do Warszawy, mógłbym do jakiej fortecy odstawionym zostać i zamkniętym. Zresztą wojna jeszcze nie była wypowiedzianą, część narodu spodziewała się jeszcze pokojowego zakończenia sprawy, generał Chłopicki, którego wysłańcem byłem, sam tego pragnął i wyglądał, nie było jeszcze mowy o zaprzeczeniu cesarzowi jego tytułu i władzy, był on jeszcze pod każdym względem naszym monarchą, sameż odebrane instrukcye zalecały uległość poddanego. Byłem tedy dalej, zwłaszcza w Petersburgu, cesarskim poddanym i oficerem, nie wypadło mi wśród obecnych okoliczności, w stolicy Rosyi i wobec monarchy przybierać butne i zaczepne stanowisko. Chcąc sobie dać czas do rozmysłu, odparłem, iż tylko mi wypada słuchać z uszanowaniem rozkazów monarchy, i że poddam się wszystkiemu, czego ode mnie zażąda.

General Czernyszew: Cesarz w tej chwili nic nie rozkazuje, pyta tylko, co pan robić zamysła. Cesarz polecił mi zaręczyć Jego słowem, że pana nigdy nie postawi w położeniu dla Polaka drażliwym, i że twoje zasady będą uszanowane.

Ja: Wdzięczny jestem nieskończeniu Jego Cesarskiej Mości, ale niech mi będzie wolno panu generałowi przypomnieć, iż tu zostałem przysłanym z Warszawy, że acz żadnego udziału w rewolucyi nie wzięłem, oczekują tam mego powrotu; że jeśli tam dobrowolnie nie wrócę, bodaj uchodzić będę za dezertera lub zdrajcę, czego oczywiście nie pragnę. Odwołuję się tedy do szlachetności Waszej Ekscelencyi, ażeby usłyszeć co mi czynić wypada.

General Czernyszew: Nie mnie panu radzić. Gdybym się znalazł na twojem miejscu, wiem jakbym sam postąpił. Tu tylko pytam: co chcesz wybrać? czy zostać w Petersburgu wiernym dawnym ślubowaniom, czy odjechać do Warszawy, obraziwszy monarchę?

Ja: Wyznaję szczerze Waszej Ekscelencyi, że pragnę wrócić do Warszawy, a jednak nie chciałbym się narazić cesarzowi. Nawet gdyby przyszło do wojny, co nie jest pewnem, dobrze widzisz generale, iż taki jak ja kaleka, nie może być ani pomocnym polskim szeregiem, ani groźnym rosyjskim.

General Czernyszew: Nie o to chodzi; pytam otwarcie i kategorycznie, co pan wolisz: tu pozostać, czy też powrócić?

Wierny na prędce ukutemu postanowieniu, wyjechać z Petersburga, nie naraziwszy się przez to Cesarzowi, coby mi niezawodnie zaszkodziło, a nawet zatrzymać mogło, chcąc sobie zapewnić powrót do Warszawy, odrzekłem:

— Dozwól mi, generale, przedstawić, że zostawiłem w Warszawie ciężko chorego i pozbawionego wszelkich środków utrzymania starego ojca (co było prawdą). Wyruszyłem tak pośpiesznie, że nie mogłem mu nic zapewnić w takiej chwili rewolucyjnej, pełnej niebezpieczeństwa. To też synowskie powinności nagle mnie do powrotu, zaręczam zaś, iż cokolwiek się dziać będzie w Warszawie, sam spokojnie się zachowam.

General Czernyszew: Oto nowa konsyderacya, którą Cesarzowi przedstawię. Napisz mi pan list, świadczący o uczuciach wierności dla Jego Cesarskiej Mości, a żądający upoważnienia do powrotu ze względu na zdrowie pańskiego ojca, a zaręczający, iż jakikolwiek obrót wezmą w Polsce wypadki, zachowasz się nadal jako wierny Cesarza poddany. Wróć pan tedy do siebie, napisz ów list,

a za półtóry godziny przysię po niego mego feldjegera, pismo pańskie Cesarzowi przedstawię, i zobaczymy, co on postanowić zechce.

Za powrotem do mego mieszkania siadłem natychmiast do pisania, a jeszcze list mój dokończony nie był, gdy już feldjeger o niego się dopominał.

Oto rzeczony pismo, w którym może wypadalo ostrożniej obietnice formułować, ale z jednej strony zalecono mi takowe, z drugiej zaś gotów byłem na wszystko, co chcieli, się pisać, byle czemprędzej wyjechać. Nadto trzeba mieć wzgląd i na to, że po raz pierwszy znalazłem się w tak ważnem i drażliwem położeniu, że nie mogłem niczyjej zasięgnąć rady, ani też nie zostawiono mi czasu do namysłu.

LIST DO GENERAŁA HR. CZERNYSZEWA.

Panie Hrabiol

Stosownie do pozwolenia, które mi Wasza Ekscelencya udzielić raczyła, abym wyraził na piśmie uczucia, któremi przejęty jestem wobec tego, co Najjaśniejszy Cesarz i Król powiedzieć mi rozkazał, ośmielam się niniejsze pismo przedstawić Waszej Ekscelencyi, ze szczerością wojskową w zaufaniu przedstawiając położenie, w jakim się znajduję. Od najmłodszych lat życia służę wojskowo, zawsze pozostałem wiernym moim przysięgom, i tuszę sobie, iż postępowanie moje zawsze było honorowem. Złożyłem przysięgę na wierność cesarzowi Mikołajowi, i dotrzymałem takowej, jak przystoi żołnierzowi i dobremu Polakowi. Znalazszy się w Warszawie bez mego generała (który otrzymał był dymisyę), pozostałem na razie bez zajęcia, jak prawie wszyscy inni adjutanci, którzy nie mieli nad sobą generałów. Generał Chłopicki tymczasowo chciał mnie mieć przy swojej osobie. Nie wiem, dla czego generał Chłopicki mnie właśnie wybrał, aby zawieźć depesze do Petersburga. Nie cofnąłem się przed tem poleceniem, owszem, pośpieszyłem do stolicy, zamieszkiwanej przez mego Monarchę, ze spokojnem sumieniem, iż, o ile mi się zdaje, nie przekroczyłem moich wobec niego zobowiązań.

Dziś Wasza Ekscelencya mi oświadczyła, iż Najjaśniejszy Pan raczył mi zostawić swobodę wyboru między pozostaniem w Petersburgu a powrotem do Warszawy, że jednak decyzya mego tam powrotu uważaną będzie, jako objaw uczuć moich dla tych, którzy tam bunt podnieśli, i że w takim razie Cesarz przestanie we mnie widzieć wiernego oficera; gdybym zaś, przeciwnie, w Petersburgu pozostał, postąpiłbym, jak przynależy każdemu dobremu Polakowi.

Gdyby tak było, panie hrabio, nie mam prawa wyboru, i tylko prosiłbym o pozostanie w Petersburgu, tem bardziej, iż Najjaśniejszy Pan raczył mi zawarować, iż mnie nigdy nie postawi na drażliwym dla Polaka stanowisku. Ale tymczasem wyglądają mego powrotu w Warszawie. I cóż sobie tam pomyślą, jeżeli nie wrócę? A następnie, niechaj mi wolno będzie Waszej Ekscelencyi wspomnieć, iż zostawiłem w Warszawie chorego, sędziwego ojca, którego obecnie jedyną jestem podporą, który płakał, żegnając mnie, jak gdyby mnie już więcej nie miał oglądać, że odjechałem moje interesa, nic zgoła nie zarządziwszy, nie zapewniwszy ojcu swojemu żadnych na razie środków utrzymania i t. d. Najjaśniejszy Pan raczy mieć wzgląd na powody, które mnie do powrotu nagliły. Uczynię wszystko, co Jego Cesarzowska Mość zechce mi rozkazać, z całą powinną uległością, i nigdy oręza przeciw Jego wojskom nie podniosę, gdyby armia polska to uczyniła, nigdy słabych moich sił nie obrócę przeciw dobru Jego Cesarzowskiej Mości. Pozostanę bezczynny w Warszawie, czy na wsi, i postaram się o środki potrzebne, aby ojca wywieźć do wód, bo i mnie kąpiele są potrzebne, ze względu na dawne rany, które mi znów dokuczają. Gdyby Najjaśniejszy Pan raczył widzieć w moim do Warszawy powrocie powyżej mianowicie przedstawione powody, nie odejmując mi jednakowoż tyle cennej swej przychylności, nie upatrując dla tego we mnie sprzeniewierzonego swym zobowiązaniom poddanego, gdybym otrzymał rękojmię, iż Jego Cesarzowska Mość nie widzi nic zdrożnego w mojem postępowaniu, prosiłbym o upoważnienie mnie do powrotu. Gdyby wszelako najmniejsze stąd zachmurzenie na czole Najjaśniejszego Pana wystąpiło, gdyby miał mi swą łaskawość odebrać i przestał we mnie widzieć wiernego poddanego,

wówczas nie pozostaje mi nic, jak prosić, aby mnie zatrzymano tam, gdzie Najjaśniejszy Pan rozstrzygnie.

Proszę Pana Hrabiego, abyś przyjąć raczył powinne uczucia moje.

Podp.

Tadeusz Wyleżyński,

pułkownik strzelców konnych
królewskiej polskiej gwardyi.

Petersburg, dnia 18/30 grudnia 1830 roku.

Pozostałem w mieszkaniu, targany największym niepokojem, aż do w pół do dziewiątej wieczorem, nie wiedząc zgoła, co mnie czeka, i jak Cesarz pismo moje przyjął. W końcu ten sam feldjeger przybył po mnie, żądając, abym mu towarzyszył do hr. Czernyszewa. Jednocześnie mi oświadczył, iż hrabia zamówił dla mnie konie, niewiadomo wszelako dokąd; zląkłem się, iż w inną, aniżeli polską, stronę pojedę, i łatwo sobie wystawić moje obawy. Tym razem zastałem hrabiego we własnem jego mieszkaniu. Rzekł on do mnie:

— Cesarz przeczytał list pański i ani się spodziewasz, co dla ciebie chce zrobić: pozwala na twój powrót do Warszawy, a jednocześnie mianuje cię swoim adjutantem.

O ile pierwsza wiadomość mnie ucieszyła, o tyle druga mnie przeraziła, odrazu bowiem zmierzyłem, w jak fałszywem stawiła mnie położeniu, jak dalece mnie to kompromitować później mogło, bądź w oczach polskich rewolucjonistów, bądź też w oczach Cesarza. Nie pozostało mi wszelako nic, jak tylko pokornie za tę łaskę dziękować, bo do czegoż byłoby to podobnem wtedy, kiedy jeszcze ani wojny, ani złożenia z tronu nie było, gdyby ten jedyny polski oficer, znajdujący się w Petersburgu, który tamże łaskawie przyjęty i zaszczycony podobnem odznaczeniem z rąk własnego Monarchy, próbował ową łaskę odrzucić, co zresztą byłoby go wyprawilo w kierunku, wręcz przeciwnym Warszawie. Jeśli to na tem miejscu wspominam, to dla tego, iż wiele osób mi później twierdziło, iż należało ów zaszczyt odrzucić. Alboż to było podobnem? Niechby się kto był znalazł na mojem miejscu, a ręczę, iż nie byłby inaczej, ani lepiej postąpił, co też stwierdziły następstwa: nietylko stąd żadnych nie odniosłem korzyści, ale jeszcze to pogorszyło moją sytuację. Nie zostawało mi nic, jak zamilknąć, udając zadowolenie. Oświadczyłem Hrabiemu,

iz w istocie nie mogłem spodziewać się tak wielkiej łaski od Najjaśniejszego Pana. Generał Czernyszew na to odparł:

— Oto jeszcze własnoręczne pismo Cesarza, które panu oddać polecił.

Pismo owo brzmiało, jak następuje:

„Znalazłem u p. Wyleżyńskiego uczucia dzielnego i lojalnego wojskowego, oraz dobrego Polaka. Dopełnił powinności, dopóki tylko mu to było podobnem, i polegam na jego słowie honoru, że pójdzie zawsze za głosem honoru i złożonej przysięgi. Aby mu dać tego dowód, mianuję go moim adjutantem i wręczam mu depesze, które do Warszawy odwiezie. Następnie może się zająć ojcem, a gdy zabezpieczy los tego starca, niech wróci do mnie, gdziekolwiek i kiedykolwiek mu to podobnem będzie. Proszę mu oddać ten list i załączoną depeszę“.

List ten, nakreślony własnoręcznie ołówkiem przez Cesarza, był niezawodnie nadzwyczaj łaskawym, i wyrzekałem na losy przeciwne, że mnie w innych, spokojniejszych i korzystniejszych warunkach nie udarzyły tym prawdziwym dla mnie zaszczytem. Generał Czernyszew rzekł do mnie jeszcze:

— Zapewne będzie panu przyjemnie teraz osobiste złożyć Cesarzowi podziękę za jego łaskę. Mój feldjeger odwiezie cię do pałacu, gdzie pan staniesz przed Monarchą.

Przybliżył się do biurka, napisał słów kilka, list zapieczętował, zaadresował do Cesarza, oddał feldjegerowi, rozkazując, aby mnie zawiózł do Cesarza. Dodał jeszcze:

— Przedstawiłem też Cesarzowi życzenie pańskie, aby wrócić do Warszawy, dokonawszy powierzonej sobie misji, ażeby w oczach rodaków za deztertera nie uchodzić. Cesarz ocenił pańskie w tej mierze przekonania. Widzisz pan, jaki on dobry, jaki szlachetny, jak go nie znają w Warszawie i nie umieją mu oddać sprawiedliwości. Jedźże pan teraz, rozmawiać będziesz ze swoim monarchą, a potem jeszcze do mnie wrócisz.

Przybyłem do cesarskiego pałacu, zwanego Anienkowskim, na perspektywie Newskiej, o w pół do 10-ej wieczorem. Wstąpiłem po marmurowych schodach, gdzie zaledwie dwie czuwały warty, w przedsiionku ujrzałem kilku feldjegrów i podrzędnych oficerów. Nie było nigdzie żadnego adjutanta, ani oficera służbowego. Zaprowadzono mnie

do salonu, polecając, abym tam poczekał, Cesarz bowiem nie wrócił był jeszcze z wieczery z Cesarzową. W tym salonie nie było nikogo, krom jednego kamerdynera, którego prosiłem o trochę wody kolońskiej, aby się ochłodzić, której mi też dostarczył. Tymczasem oddano list generała Czernyszewa, po chwili wszedł inny kamerdynier, oznajmując, że Cesarz mnie powołuje. Przeszedłem przez dwie komnaty, aż otworzył się przede mną gabinet Cesarza. Była to obszerna sala, otoczona szafami, pełnemi książek; w środku stół, zasłany papierami, mapami i książkami. Sześć świec płonęło na tym stole, przy którym, w niskiem krześle, siedział Cesarz. Na boku, pomiędzy oknami, paliła się lampa.

Cesarz jest wysokiego wzrostu, chłodnego obejścia, o rysach pięknych i obliczu pełnem wyrazu; twarz to piękna, wyniosła, ale surowa. Ubrany był w mundur pułku Przeobrażeńskiego. Za ledwie drzwi za mną zamknięto, aliści Cesarz się do mnie odezwał:

— Jak się masz, Wyleżyński?

Wstał z miejsca, postąpił ku mnie, za rękę mnie uściśnął, oparł się o krawędź stołu, podczas gdy przed nim stanąłem, i w tych słowach przemówił:

— Rad cię widzę, mianowałem cię moim adjutantem, bo jestem przekonany, że mi zawsze wiernym pozostaniesz, że nie przestaniesz być dobrym żołnierzem, dobrym Polakiem, wiernym złożonym ślubom, wiernym monarsze, a więc i ojczyźnie twojej.

Tu podziękowałem Cesarzowi za udzieloną mi łaskę, dodając, iż nie mniemałem, abym sobie obecnie na ten zaszczyt był zasłużył.

C e s a r z: Należysz do tego pułku strzelców kounych gwardyi, który tak dobrze spełnił powinność swoją w początkach; znalazłeś się w tym pułku, przy boku mego brata Konstantego w pierwszych chwilach rewolucyi, liczę na twój honor. Teraz zaś mówmy o Polsce. Widzisz, iż jestem spokojny, to więc, co wypowiem, nie będzie wynikiem żadnego uniesienia, lub namiętności. Alboż mogłem się spodziewać rewolucyi w Polsce? Przecież było wam dobrze! Zresztą, nie mam sobie nic do wyrzucenia, jako Król polski. Konstytucyę, którą zastałem u was, wstępując na tron, taką, jaką mi ją przekazał był brat mój, cesarz Aleksander, uszanowałem i zachowałem bez żadnej zmiany. Przybyłem do Warszawy na koronacyę, dopełniłem tyle dobrego, ile się dało, a pozostaję i nadal Królem polskim, prawowitym Monarchą, którym być nigdy nie przestanę. Może i znajdowały się pewne rzeczy, mniej dobre w Polsce, ale było to nie z mojej winy, należało się stać w mojem położeniu i mieć we mnie zaufanie; chciałem dobrze i byłbym to dobre całkowicie w końcu przeprowadził. Zresztą, nic nie

mogło uprawnić rewolucyi, usprawiedliwić ten czyn bezbożny, ten napad na dom mego brata, z morderczym zamiarem targnięcia się na jego życie.

J a : Ci, którzy napadli na Belweder w nocy dnia 29 listopada, zapewniają, iż nie mieli najmniejszego zamiaru dokonania zamachu na życie Wielkiego Księcia.

C e s a r z : Ho, ho! Kiedy garstka zbrojnych wpada, mordując po drodze kilku generałów i służących, jekże przypuścić, iż nie byliby i Wielkiego Księcia zabili, gdyby mieli ku temu sposobność. Chyba temu uwierzyć niepodobna. Co do generała Roźnieckiego, na którego tak powszechnie się uskarżają, znam go oddawna i nigdy nie miałem dla niego szacunku; wiem, że to jest łotr skończony, a jeśli został na tem stanowisku, należało wejść... (Tu Cesarz wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, iż było to z winy Wielkiego Księcia). Cokolwiek bądź, wasze dzienniki nadto wiele się rozpisują i, obyczajem dziennikarskim, przesadzają wiele, o ile mniemam.

Te słowa pozwoliły mi domyślić się, iż Cesarz musiał czytać gazety, które z sobą przywiozłem.

Następnie jał się dopytywać o szczegóły pierwszych dni rewolucyi, między innemi wspomniał, iż nie rozumie, jak wojsko mogło przystąpić do rebelii.

Odpowiedziałem, iż żaden wyższy dowódzca, żaden kapitan, niewiele nawet podrzędnych oficerów uczestniczyło w tajnych przedrewolucyjnych knowaniach, że po większej części zostali porwani przez swych podwładnych, przez młodzież, która, przykładając im pistolety do skroni, z całą egzaltacją tłumów, zmuszała ich do udziału w rewolucyi.

C e s a r z : Alboż przypuszczasz, iż nawet w 4-tym pułku piechoty nie było żadnego kapitana, któryby do spisku należał?

J a : Nawet w 4-tym pułku, co najwyżej jeden, lub dwóch przystąpiło do spisku, i jeszcze to zupełnie jest wątpliwe.

C e s a r z : A pierwszy pułkownik Chorzewski, dowodzący baterją artyleryi konnej w gwardyi, czyżby też nie miał być spiskowcem.

J a : Mogę ręczyć słowem honoru tak za niego, jak i za wszystkich oficerów tejże bateryi, która zresztą nie wyszła nawet z koszar, jak około północy. A i tu należałoby stawić się w jej położeniu: koszary te znajdują się w śródmieściu, blisko arsenału, właśnie w punkcie, gdzie nastąpił pierwszy wybuch rewolucyi. Stąd przywódcy ruchu zmusili ją do złączenia się z nimi. Zapewne tych ośm dział wielkiego kalibru rzezonej bateryi przyczyniły się do przeważenia szali,

ale nie mniej samaż baterya o udział w spisku pomawianą być nie może.

Cesarz: Sądzę jednak, iż gdyby mój brat Konstanty miał był w rękę ową artyleryę, byłby mógł stłumić rewolucyę w pierwszym jej zaczątku. Z innej jednak strony rad jestem, iż nie wysuwał na-przód wojska rosyjskiego, coby zaraz sprawę zaostrzyło nienawiścią plemienną. Tym zaś sposobem Rosyanie mają czyste ręce, żaden z nich do Polaków nie strzelał.

Ja: Zapewne, Wielki Książę do działania nie przystąpił, a może pierwszej nocy mógł był opanować miasto, tembardziej, iż oprócz gwardyi rosyjskiej, miał przy sobie 4,000 polskiego żołnierza. Ale potrzeba było odrazu pierwszej nocy energicznie wystąpić.

Cesarz: Zapewne, i gdybym się tam był znalazł, ręczę, iż rzeczy inny byłyby obrót wzięły. W takich okolicznościach trzeba przeciw pospółstwu użyć kartaczy; jest to przykra i smutna konieczność, jedyna, która zapobiega większym w następstwie klęskom. Wiem, co to jest rewolucya, startem się z nią tutaj i odrazu opanowałem. Wszystko wnet do ładu wróciło, bo po większej części byli to niieszczęśliwi, omamieni przez podżegaczy. Nawet część moich gwardyi, na które tak liczę, obróciła się przeciw mnie, lecz było to przelotne obłąkanie i rychło na drogę powinności wróciło. Nigdy bo żołnierze nie są w takich razach winnymi; widzisz warty, czuwające nad mojem bezpieczeństwem, może i one były wówczas przeciwko mnie, a dziś mnie strzegą. Inna rzecz co do oficerów, to też mogą być tylko zdumionym i bardzo niezadowolonym z tych wszystkich polskich generałów i dowódców, co się dali onieśmielić i porwać przez swoich podwładnych, lub agitatorów, aż do zupełnego zaniedbania własnych obowiązków, aż do połączenia się z buntownikami i stawania na ich czele. Szembek naprzykład, którego tak lubię, nie tylko że się z rebelizantami połączył, ale swem wejściem do stolicy na czele swego pułku, pierwszy z dowódców, konsystujących na prowincyi, zdecydował poniekąd dalszym rozwojem rewolucyi, dał przykład całej armii, pociągnął za sobą szeregi, dotąd wierne, zbrałał się z buntownikami i zmusił mego brata do usunięcia się, i to ten sam Szembek, który był przyrzekł Wielkiemu Księżciu nie wchodzić do Warszawy i czekać dalszych jego rozkazów.

Ja: Wkroczenie generała Szembeka do Warszawy w istocie było zwycięstwem zbuntowanych, a przykład jego po części resztę wojska pociągnął za sobą, jest bowiem bardzo lubionym i ogólnie w armii szanowanym. Ale nie miał on tego zamiaru, nie należał do spisku i sam mi zaręczał, iż miał szczerą wolę pozostania wiernie pod rozkazami Wielkiego Księcia; atoli pśpieszywszy do swego pułku,

zastał go już w drodze, ożywionego największym dla rewolucyi zapalem; mówił mi, iż z twarzy swych żołnierzy wyczytał, że za najmniejszy opór byliby go rozstrzelali.

C e s a r z: Należało się na to wystawić — oto co powinien był zrobić. Trzeba mu było dać się zabić, jak Hauke, jak Trębicki, z którym tak ściśle się przyjaźnił. Czemuż inaczej postąpił? Na cóż mu było rozpatrywać się w twarzach swych żołnierzy? Powiedz mu, iż się dziwię, że on jeszcze żyje, i że się po nim tej sromoty nie spodziewałem.

Cesarz, domawiając tych słów, zapalał się po trochu; następnie, już spokojniej, jał mnie dopytywać się o akademików. Odpowiedziałem, iż się zorganizowali w batalion, że pozostają na straży przy generale Chłopickim, i że wypada im oddać tę sprawiedliwość, iż przyczynili się najwięcej do zamknięcia klubów, powstrzymania gwałtów i uspokojenia stolicy.

C e s a r z: Bo widzisz, są to ludzie, którzy otrzymali wyższe wychowanie, którzy są światlejsi, a więc widzą niebezpieczeństwo gwałtów, i posiadają podnioslejszą od podchorążych moralność. Zresztą ta szkoła podchorążych była szkodliwą instytucją. U siebie już ją oddawna zniósłem, a zawsze jej byłem przeciwny. Zamykać tak na kilka lat do pięciuset młodych ludzi, a nie uczyć ich niczego, musiało spowodować jak najgorsze skutki.

Zapytał mnie jeszcze Cesarz, jakie to polskie oddziały znajdowały się przy Wielkim Księciu w pierwszych chwilach rewolucyi. Wymieniłem takowe, wspominając i szkołę podchorążych konnych.

C e s a r z: Rzecz dziwna, szkoła podchorążych pieszych tak się źle zachowuje, a szkoła jazdy tak dobrze; winni byli przecież działać za wspólnem porozumieniem. Co do pułku strzelców konnych gwardyi, który bodaj sam jeden walczył owej nocy i tak chlubnie dopełnił powinności, nie umiem dość mu wyrazić uznania. Dowiedziawszy się o pięknem postępowaniu tego pułku, myślałem o szerokich dla niego nagrodach, że przechodził do rangi starej gwardyi, że każdy oficer otrzymałby odznaczenie nowym orderem, i pełno jeszcze innych rzeczy. Sądziłem, iż pułk ten nie odstąpi już mego brata; później dowiedziałem się, iż poszedł za innymi, że wrócił do Warszawy; rozkazałem tedy wstrzymać wynagrodzenia. Teraz zapewne pułk ten robi to, co i reszta armii polskiej, a jednak nigdy mu nie zapomnę, że był przy moim bracie w owych pierwszych chwilach.

J a: Pułk ten w istocie dużo zniósł obelg ze strony ludu za swym do Warszawy powrotem.

C e s a r z: Ale skądinąd jak w sumieniu własnem odczuwać musieli zaspokojenie dochowanej wierności! Serca ich musiały rosnąć do-

pełnieniem obowiązku! Któż to dowodzi owym pułkiem? gdzie on się znajduje? bo już nic zgoła nie wiem.

J a: Jest to zawsze pułkownik Jagmin (adjutant Cesarza), obecnie zaś do Pułtuszka wrócił.

Następnie spytał mnie, azali pułkownik Zielonka (inny adjutant cesarski w tym samym pułku) znajdował się tamże? czy który z oficerów nie poległ, nie został rannym? Nareszcie dodał:

— W powrocie pojedziesz na Pułtusk, aby pozdrowić ode mnie Jagmina i Zielonkę, a Jagminowi powiesz, iż jeżeli on może polegać na swym pułku, powinienby przesłać o tem raport memu bratu, Konstantemu.

Na to się zdumiałem i ośmieliłem się zapytać, jak to Jego Cesarska Mość rozumiała.

C e s a r z: Jako sytuację pułku, nic więcej.

Widząc atoli, iż rzecz ta mi się niepodobną zdaje, Cesarz dodał:

— Mówię to tylko w razie, gdyby rzecz była możliwą, ale w każdym razie powiedz Jagminowi i Zielonce, że oni eskortować mnie będą, gdy wejdę do Warszawy. Oto, czego pragnę, i co wkrótce uczynię, boć jestem Królem polskim, prawowitym Monarchą, i nim zawsze pozostanę, wbij sobie to dobrze w głowę i powtórz w Warszawie. Nie chciałbym użyć srogości, ufam, że stronnictwo rozsądniejsze w narodzie zwycięży, że uzna swą winę i na drogę obowiązku powróci. Ale żądam zupełnego, bezwarunkowego poddania się, bo nie chcę, ani mogę dać nic więcej. Pamiętaj tedy, że jestem Królem polskim, Królem prawowitym, i nim zawsze pozostanę. Zaufać mi można. Powtórz to w Warszawie, a ze swojej strony postępuj też, jak przynależy.

J a: Nie pozostaje mi nic, jak oplakiwać nieszczęścia, nad moją ojczyzną zawisłe.

C e s a r z: Łez tu nie trzeba, ale usiłowań, aby przekonać Polaków i do nich rozsądnie przemówić. Co do mnie, miłuję moich poddanych i żadna ofiara nie jest mi ciężką, gdy o ich uszczęśliwienie chodzi.

Tu sądziłem, iż mogę wsunąć słówko holdu, zresztą szczerego, i wtrąciłem:

— Dała tego Wasza Cesarska Mość najjawniejszy dowód, udając się do Moskwy w czasie cholery...

Cesarz przerwał mi żywo...

— Nic nie dowiodłem, spełniłem tylko najprostszą powinność. O ile miłuję mych poddanych, o tyle, dla własnego ich dobra, potrafię dać uszanować mą władzę i stłumić rebelię. Lękam się, aby opróżnienie prowincyi, pozostałych bez załogi wojskowej, nie wywołało w nich

zamieszek, skoro mówisz, iż nawet żandarmów wycofano, aby ich w pułki organizować. Sądzę, iż lepiej ich było zostawić w miejscu dla policyi i spokoju wewnętrznego. Co o tem myślisz?

J a: Ponieważ rodzaj gwardyi narodowej wszędzie się organizuje, a składa się z obywateli, którym najbardziej idzie o utrzymanie porządku, sądzą, iż na razie to wystarczy.

C e s a r z: Ale czy do tej gwardyi istotnie obywatele wstąpili, czy dobór zrobiono roztropny?

Tu Cesarz zaczął i o generałów pytać. Powiedziałem mu, że generał Stanisław Potocki został przypadkiem zabitym, bo go nie poznano.

Cesarz rzekł na to:

— Ten dobry, ten kochany Staś! żałuję go niezmiernie, i tego dobrodusznego Nowickiego, i Trębickiego, ten umarł śmiercią walecznych zaiste!

J a: Po bohatersku skończył.

C e s a r z: Gdzież ciebie rewolucya zaskoczyła?

J a: Znajdowałem się u księżnej Jabłonowskiej.

C e s a r z: U tej ślicznej księżnej Teresy?

Spytał jeszcze, czy nie otrzymał rany, czy nie byłem wystawiony na jakie niebezpieczeństwo. Pochwalił generała Chłopickiego za rozdzielenie batalionu saperów, z których dwie kompanie wysłał do Zamościa, jedną do Modlina, jedną na Pragę; pochwalił i za odesłanie z Warszawy (podobno do Stanisławowa) czwartego pułku piechoty. Mówił raz jeszcze o konieczności naszego oddania się, kładł nacisk na własny charakter, który go zawsze utrzyma na polskim tronie, bo, jako Monarcha, nie miał sobie nic do wyrzucenia, a czuje się zdolnym garstkę buntowników pomiarkować. Dodał jeszcze:

— Zresztą, powiedz Polakom, iż rad przypuszczam, że obce, zagraniczne wpływy wywołały tę rewolucję; moi rosyjscy poddani bardzo są podrażnieni i źli na was, chcieliby wam jak najwięcej złego zrobić, z trudnością przychodzi mi ich pohamować. Ale, dopóki ja panuję, potrafię wolę moją przeprowadzić, zmusić, aby ją uszanowano i jej ulegano, zaczem Polacy mogą być w tym względzie zupełnie spokojni.

Następnie Cesarz mówił jeszcze o generale Chłopickim, i dodał:

— Żałuję, iż nie został czynnie użytym w wojsku polskiem, ale za wstąpieniem mojem na tron, już go zastałem wycofanym z czynnej służby. Ze wszystkiego, co widzę, przekonałem się, iż nie należał do spisku rewolucyjnego, a dziś jednak na czele rewolucyi się znalazł. Nie mam żalu do niego, że się ogłosił wodzem bez mego przyzwolenia, tem bowiem przywrócił w kraju ład pożądany. Zachodzi atoli py-

tanie: co dalej uczynić, i zupełnie nie wiem, co o tem trzymać. Czy generał Chłopiński nic ci nie zlecił dla mnie?

J a: Nic, Najjaśniejszy Panie. Powiedział mi tylko przy wyjeździe, iż gdyby Wasza Cesarska Mość raczyła ze mną rozmawiać, mam odpowiadać z całą szczerością i uległością, przynależną Monarsze.

C e s a r z: Rozumiem, że w obecnych okolicznościach nie mógł ci powierzyć żadnego poufnego do mnie pisma, ale czy ci nie dał jakiego ustnego zlecenia, nie kazał powtórzyć, co mam o nim trzymać, jak dalece na niego rachować?

J a: Nie, Najjaśniejszy Panie, nic zgola mi nie zlecił.

C e s a r z (wpatrując się we mnie badawczo): Jakto, nic, ani słowa więcej? Żadnego nie dał dla mnie objaśnienia co do swych dalszych zamiarów?

J a: Nic zgola, inaczej byłbym już miał zaszczyt zwierzyć to Waszej Cesarskiej Mości.

C e s a r z (nieco zniecierpliwiony): To rzecz dziwna! Otóż ma on przed sobą piękne posłannictwo, pytanie: jak się z niego wywiąże. Obecne jego postępowanie nie będzie karygodnem, jeżeli się dobrze zakończy. Może on wrócić pomyślność ojczyźnie swojej, może jej oszczędzić klęsk wiele, może zdobyć sobie sławę i wdzięczność narodu swego i Monarchy, byle szedł dobrą drogą, drogą honoru. Zobaczmy, co dalej zrobi i czy sobie nie da przewrócić w głowie.

Cesarz jeszcze żądał ode mnie szczegółów co do organizacyjnych sił zbrojnych w Polsce, a gdym wspomniał nowy pułk jazdy, szyftowany kosztem hr. Zamoyskiego, spytał mnie: „którego?“. Odparłem, że najstarszego syna prezesa Senatu, na co potrząsnął głową. Dodał następnie, iż bardzo jest kontent z generała Wincentego Krasieńskiego, pytał o generała Kurnatowskiego; na wiadomość, że spokojnie siedzi w Warszawie, rzekł do mnie:

— Pozdrów go w mojem imieniu; powiedz, że nie przyjmuję jego dymisji, że go i nadal uważam, jako pozostałego w czynnej służbie.

Pytał jeszcze i o innych generałów i dowódców korpusowych i zmarszczył brwi, gdym odpowiedział, iż wszyscy stoją na czele swych dywizji, brygad, pułków, wyglądając rozkazów Dyktatora.

Na to Cesarz:

— Ufam, że się opamiętają. Naznaczyłem Płock, jako punkt zborny dla całej armii polskiej. Sądzę, że jest to punkt najlepszy, bo nie od strony Rosyi, a dalej od Warszawy i od wichrzycieli; miejsce trafnie dobrane, aby przyspieszyć powrót do ładu wewnętrznego.

Jakże mniemasz, czy mój manifest do narodu polskiego znajdzie posłuch? Czy wszyscy zwrócą się na drogę powinności i porządku, jak tego pragnę, i to bez użycia gwałtownych środków?

Zrazu odparłem, iż tego wiedzieć nie mogę. Na to Cesarz rzekł:

— Powiedz mi tedy, co sam o tem mniemasz, własne zwierz mi zdanie.

J a: Skoro Wasza Cesarska Mość żąda zupełnej szczerości, sądzę, iż manifest nie uzyska posłuchu. Do tej pory zblizka na wypadki patrzyłem, widziałem, jak daleko rzeczy zaszły, jak wielką jest egzaltacya w Warszawie, jak to nawet stronnictwo, które w gruncie chciałoby się poddać, znajduje się pod wpływem przeciwnej partyi, zmierzylem uczucia, ożywiające większą część Polaków, i przypuszczam, że pozostaną głuchymi na głos Waszej Cesarskiej Mości. Mogę się w tem mylić, pragnę tego nawet, ale na razie sam przeczuwam klęski dla mej nieszczęsnej ojczyzny.

C e s a r z: A zatem, jeśli mniemasz, że się oni dobrowolnie poddać nie zechcą, nic nie pozostaje, jak jeden środek, którego użyć będę przyniewolony, i jako Cesarz Wszechrosyi, i jako Król Polski. Niech padnie jeden strzał z waszej strony, a za nic już nie odpowiadam. Powiedz to w Warszawie. Ale, znowu mi się myśl narzuca. Mianowałem cię moim adjutantem z prawdziwą przyjemnością; teraz lękam się, aby cię to nie wystawiło na jakie w Warszawie niebezpieczeństwa? Cóż o tem sądzisz? Czy łaska moja nie mogłaby się tobie stać powodem jakich dokuczliwości? Byłoby mi to prawdziwie przykrem.

Wyznaję, iż owe słowa Cesarza, wymówione głosem, pełnym życzliwości i zasmucenia, do żywego mnie tknęły, i odpowiedziałem, iż nie sądzę, aby stąd dla mnie wywiązały się niebezpieczeństwa, lecz że choćby i takowe znaleźć się miały, gotów jestem na nie się narażić.

Cesarz mnie uściskał i dodał:

— Żegnam cię, pozdrów ode mnie swego ojca, powinszuj mu w moim imieniu, iż ma tak dobrego syna. Żegnam cię, mój drogi, życząc ci szczęśliwej podróży.

Ścisnął mi dłoń, ucałowałem jego rękę, raz więcej całą wyraziłem wdzięczność i opuściłem komnatę cesarską.

Rozmowa ta z Cesarzem trwała przeszło dwie godziny. Minęła już była 11-ta wieczorem, kiedy wyszedłem z pałacu. Powtórzyłem, co było najważniejszego, co mi najlepiej w pamięci utkwiło z całej tej rozmowy. Cesarz dużo stawiał mi pytań, o wiele potrzącał kwestyi, nie wspominał tylko ani Sejmu, ani żadnego cywilnego z Polaków. Raz po raz się zapalał, ale zawsze pewien majestat pobrzmiwał

w jego głosie, w całym przeświecał obejściu. Przytem coś uprzejmego i szczerego zarazem, mimo surowości oblicza, ośmielało mnie wobec niego. Zdawał się więcej zmartwiony, aniżeli rozgniewany, nie spodziewał się zresztą wówczas późniejszego obrotu wypadków, nie przeczuwał długotrwałej walki, nie dowierzał moim słowom co do udziału całego narodu w powstaniu. Może go i umyślnie łudzono na tym punkcie, powtarzano, iż łatwo przyjdzie zdusić rewolucję, i że tego tylko większa część polskiego narodu pragnęła. Powtórzono Cesarzowi każde słowo, które powiedziałem był Dybiczowi, lub Benckendorffowi. Wszystko, co należało, im wyraziłem. Z Cesarzem zaś wypadało mi tylko odpowiadać na jego pytania, nie śmiałem swobodniej z nim mówić. Nie wahałem się wszelako trzymać się ściśle prawdy i szczerze wyjawić myśl moją, gdy się nadarzyła sposobność ku temu, acz nie byłem parlamentarzem, ani wysłańcem narodu, i nie mogłem sobie nadawać tonów jednego, lub drugiego. Wszystko, com wówczas powiedział Cesarzowi, Dybiczowi, lub Benckendorffowi, lub napisałem w przedstawionej mu notatce, tak było ściśle prawdziwem, że w rok później, kiedy już wszystko się dla Polski skończyło, kiedy Cesarz objawić mi polecił swe najżywsze niezadowolenie w piśmie urzędowem, warującym mi, jako jedyną łaskę, całkowite o mnie zapomnienie, znalazło się jednak słowo uznania: „dla ścisłości i prawdziwości szczegółów, których wówczas o stanie kraju dostarczyłem“. Cesarz przypuszczał, że mam jakie ustne polecenie od Chłopickiego, a zresztą spodziewał się dowiedzieć jakich nieznanych sobie szczegółów, a nie chcąc widzieć oficera wojsk zbuntowanych, któregooby tylko mógł traktować surowo, mianował mię swym adjutantem, aby swobodniej ze mną mógł się rozmówić. Może i sądził, że to zrobi dobre wrażenie: gdyby tak było, nie spełniłem pod tym względem jego życzenia, nie mniej zachowałem wdzięczność za łaskawość, z jaką mnie przyjął, oraz za pozwolenie powrotu do Warszawy w podobnej chwili.

Wróciłem do hr. Czernyszewa. Ten mówił mi jeszcze o generale Szembeku (który był wówczas gubernatorem Warszawy), którego postępowanie znajdował okropnem. Pytał mnie też, co zacz jest generał Woyczyński, który komenderował strażą bezpieczeństwa w całym kraju, pytał o wdowy zabitych w pierwszym dniu rewolucyi generałów, — panie Stasiową Potocką, Trębicką, Siemiątkowską. Powtórzył mi jeszcze, że chyba musiałem się przekonać o dobroci i wspaniałomyślności Cesarza, że Cesarz pragnął tylko, aby wszystko szło według prawa, że świeżo jeszcze, z okazji aresztowania kilku podchorążych i akademików, podejrzanych o sianie zamętu, Cesarz polecił mu stanowczo napisanie do Wielkiego Księcia i do Rady Ad-

ministracyjnej Królestwa Polskiego, iż śledztwo ma być przeprowadzone wedle praw konstytucyjnych polskich. Czernyszew dodał jeszcze, iż kredyt, jakiego Polska zażywa, jest wynikiem opieki Rosyi, wspomniał, jak dalece w Warszawie się na Cesarzu nie poznano, ile sam winien jestem wdzięczności Cesarzowi. Polecił mi nadto nie wiele się w Warszawie pokazywać, mieć się na ostrożności w dal szem postępowaniu. Gdybym zaś chciał później dać o sobie wiadomości, lub rozkazów zasięgnąć, winien jestem wprost do niego się udać. Wręczył mi depesze dla hr. Sobolewskiego, prezesa Rządu Królestwa Polskiego, oraz rozkaz otwarty przepuszczenia mnie przez granicę. Polecił mi natychmiast Petersburg opuścić, dodając, iż feldjeger będzie mi towarzyszył aż do rogatek miasta. Pozwolił mi widzieć przez chwilę hr. Zamoyskiego, który zamieszkiwał ten sam hotel, lecz zabronił jakiegokolwiek od niego zabrać listy. Tak więc, krom hr. Zamoyskiego, nikogo w Petersburgu nie widziałem, żadnego mianowicie Polaka.

O w pół do drugiej po północy, dnia 31 grudnia, opuściłem Petersburg z tą samą eskortą, która mnie tam była przywiozła, i w tym samym porządku: ja z oficerami naprzód w saneczkach, za nami w drugich podoficer z moim służącym.

Sunąłem szybko po śniegu. Sanna doskonała ułatwiła podróż do Rygi, gdzie byliśmy zmuszeni zanocować, Dżwina bowiem niedostatecznie zamarzła, a mostu na niej nie było. Mogę tylko chwalić sobie eskortę, która mi okazywała nietylko grzeczność, ale prawdziwe względy, zwłaszcza w podróży powrotnej. W Rydze oficer mię prosił, abym mu pozwolił matkę odwiedzić i uścisnąć ją przed idącą wojną. W Mitawie podoficer przyprowadził mi swego młodszego brata, aby mi go przedstawić. Z Rygi do Kowna mieliśmy czas bardzo przykry. Staaliśmy w Kownie dnia 3 stycznia 1831 roku wieczorem. Generał Pahlen I był już w Kownie z tym samym 4-tym pułkiem marynarki, który spotkałem był w Szawlach po drodze do Petersburga, a do którego należała moja eskorta. Cały pierwszy korpus już się był ku Grodnu posunął. Nie widziałem hr. Pahlena, pożegnałem mego oficera, a dnia 4-go zrana przebyłem łódką Niemen i na polskiej stanąłem ziemi.

Dyrektor naszej komory celnej uradował się moim powrotem, słyszał bowiem, że mnie okuto w kajdany, rzucono w sanki i wywieziono wprost na Sybir. Co do mnie, byłem uszczęśliwiony, iż się znów

w Polsce znajduję, oddycham swobodniej, bo mimo nowej godności i tytułu, drzałem wciąż w Rosyi, aby mi nie zagrodzono drogi do powrotu. Szybko teraz pędziłem, jedno tylko mi zawadzało, oto że na każdej stacyi pocztowej chciano mnie wypytywać o moją podróż, o słowa cesarza, o przygotowania wojenne Rosyi, o widoki pokoju czy wojny.

Obywatele niecierpliwie wyczekiwali mego powrotu, nadbiegali na stacye, skoro tylko usłyszeli trąbkę pocztową, zobowiązywali pocztmistrza, aby ich o moim przejeździe uprzedził, chociażby w nocy, gotowi mi ofiarować wszystko, co mieli, byłem na nich czekał. O ile nie wypadało mi powtarzać, com widział i słyszał, o tyle też byłoby mi to dużo zabrało czasu. Nie mniej musiałem być grzecznym w odmowie, co się zresztą zgadza z mojami zasadami i zwyczajem, a przytem owi poczciwi wieśniacy pytali o to, co ich najbliżej obchodziło, to jest o blizkie wkroczenie wojsk nieprzyjacielskich, o wojnę która, miała cały ich byt zmienić. Wszyscy jeszcze się łudzili nadzieją, że się rzecz polubownie da zakończyć, a przyznać należy, iż mało kto, zwłaszcza po prawym Wisły brzegu, rad był z rewolucyi.

W miasteczkach jeszcze więcej stosunkowo było zapału, oraz warcholów, którzy, za przykładem Warszawy, wmawiali w siebie i drugich rzeczy najnadzwyczajniejsze. Naprzykład to, że cesarz umarł, że wielka rewolucya wybuchnęła w Petersburgu, że cesarz był zmuszony opuścić stolicę, to znów, że korpus litewski podniósł rokosz i spieszy z Polakami się złączyć, że korpus Pahlena po krwawej walce z litewskim został rozbitym, itp. Wszyscy lękali się następstw wojny, tym tedy sposobem próbowali się ukołysać gadkami bez żadnej podstawy i oddalić rzekomo burzę, która miała niebawem nadejść, trwając w zaślepieniem powątpiewaniu o jej blizkości.

Za przyjazdem do Suwałk, wieczorem, zastałem na poczcie dość dużo zebranych osób, które, nie wiedząc kim jestem i skąd przybywam, pytały, azali nie jadę z okolicy Kowna. Na moją odpowiedź potakującą spytali, mrugając, co tam słychać o cesarzu; odparłem, że zdrów i spokojnie w Petersburgu zostaje. Na to odpowiedzieli mi, że snadź jestem źle poinformowany, mają bowiem najpewniejszą wiadomość, że widział się zmuszonym opuścić stolicę, i ledwie z życiem uszedł do Prus, wraz z rodziną; wyrzucali mi, iż studzę zaprzeczeniem tych wieści zapał dla narodowej sprawy. Natenczas odpowiedziałem, iż raczej oni to się mylą, ja zaś mówię prawdę, tembardziej, iż przed czterema dniami mówiłem sam z cesarzem w Petersburgu. Spojrzeli jak osłupieni, pytając, czym nie jest pułkownikiem Wyleżyńskim. Na potakującą odpowiedź moją nuż mnie otaczać, zapraszać, ugaszczać i pytać. Mówiłem ostrożnie, wiedząc, że w każdym,

a zwłaszcza wojewódzkim, jak Suwałki, mieście, nie brakowało emi-saryuszów, przybywających z Warszawy, z ramienia klubu patryo-tycznego, a raczej rewolucyjnego, który, acz zamknięty na rozkaz Dyktatora, potajemnie działał na umysły.

W Łomży ujrzałem już nowe oddziały jazdy. Formowano tamże kawaleryę Augustowską, a pułkownik Jankowski przysłał oficerów i podoficerów z II-go pułku strzelców konnych, którzy tam mieli słu-żyć za instruktorów. Maszty smołowe, czyli wici, dobrze były utrzy-mane. Spotkałem też wielu chłopów zbrojnych w kosy, którzy szli od Augustowa, bardziej wystawionego na pierwsze wkroczenie armii rosyjskiej, aby ich głębiej w kraju ćwiczyć i organizować w oddziały piechoty. Przed Różaną spotkałem regularne wojsko, z pierwszego i trzeciego pułku strzelców konnych, zachowujące się już jako w cza-sie wojennym, rozstawiając fortpoczty na koniu.

W Różanie spotkałem pułkownika Jankowskiego, oraz genera-ła Przebendowskiego, u którego byłem na obiedzie. Rozmawiałem dłużej ze znanym mi oddawna pułkownikiem Jankowskim. Był on jednym z najwybitniejszych wojskowych w dawnym pułku ułanów polskich gwardyi Napoleona. Zgadaliśmy się w poglądach na smu-tne nasze położenie, widzieliśmy, iż wojna stała się nieuniknioną. Po-wtórzył mi, iż w Warszawie opowiadano o mniemanej w Petersburgu rewolucyi, zaczęł mój powrót przykre rozczarowanie tam przynie-sie. Umysły dotąd były mocno zagrzone; powiedział mi on nadto, że wojsko ma być inaczej zorganizowane, że generał Przebendowski utraci dowództwo, on zaś, Jankowski, stanie na czele tejże dywizyi, złożonej z pierwszego i trzeciego pułku strzelców konnych, oraz od-działów jazdy augustowskiej i Płockiej, które sam już sztyftował; że owa dywizya miała być wysuniętą na pierwszą linię, pomiędzy Kow-no i Białystok. Dodał, że cesarz postawił mnie w drażliwym położe-niu, ale że postąpiłem, jak honor nakazywał, wracając do swoich wśród tak ciężkich okoliczności.

Dodał, iż co do swojej osoby, już sobie postanowił stanowczo, iż nie będzie się mieszać ani do polityki, ani do spraw wewnętrznych kraju, ale, że pójdzie z armią, walczyć będzie do końca z zapalem i poświęceniem, cokolwiek się stać może; mówił, iż obecnie czuje się zdrów zupełnie, i będzie mógł rozwinąć całą pożądaną czynność, że interesa swoje ułożył, testament napisał. Przypuszczał, iż w tej wojnie polegnie, ale chyba przewidywać nie mógł, że padnie pod razami stronnictwa, obwiniającego go w ślepej wściekłości swojej o zdradę, że zginie na ulicach Warszawy z rąk przerażonego, obłąkanego po-spółstwa, przywiedzionego do tak haniebnego czynu podżeganiem kil-ku zbrodniarzy, wmawiających w lud, iż tym sposobem ojczyznę

ocali, a tymczasem upadek sprawy przyśpieszyli. Jankowski mógł popełnić faktyczne błędy wojskowe, ale w nich zdrady nie było i z pewnością nie spodziewał się podobnego końca, ani sobie nań nie zasłużył. Powtarzam to tutaj z najgłębszym przekonaniem.

Dalej, w Pułtuskach spotkałem pułkownika Jagmina, dowódcę strzelców kounnych gwardyi. Zwierzyłem mu poufnie, co mi cesarz rozkazał jemu poufnie powiedzieć, nie namawiając go do niczego. Odpowiedział, że tak on, jak i jego żołnierze, cokolwiek nastąpi, oddani są całkowicie sprawie narodowej, owszem, prosił, abym o tem zapewnił Dyktatora,

W Zegrzu na Narwi, ujrzałem już regularną piechotę 8-go pułku liniowego, pod wodzą pułkownika Skrzyneckiego. Nie chciano mnie przez most przepuścić, była to bowiem noc, ale skorom tylko się nazwał, z pośpiechem podniesiono baryerę, powszechnie bowiem wiadano o mojej podróży do Petersburga i oczekiwano niecierpliwie mego powrotu, spodziewając się, iż przywiozę rozstrzygające wiadomości. To samo zastałem i u warszawskich rogatek. I w istocie przynosiłem ze sobą wyraz silnej woli cesarza, który układów nie chciał, ustępstw nie obiecywał żadnych, lecz wymagał całkowitego poddania się.

Wojska rosyjskie miały wkroczyć niebawem, pośpiesznie na pograniczu się gromadząc, aby rozpocząć wojnę na pierwszy objaw oporu, stawionego z naszej strony. Wiadomości, które przywoziłem były tedy wojenne. Hr. Jezierski w tydzień później, już urzędowo tę wiadomość potwierdził, podczas, gdy ja ją raczej ustnie odebrałem i odnosiłem temu, który mnie był wysłał, a więc Dyktatorowi. W depezach, które wiozłem dla hr. Sobolewskiego, wspomiano, iż niebawem hr. Jezierski na piśmie przywiezie ostateczne postanowienie. Moje depeze jakoś dojsć nie mogły do właściwych adresantów, bo list do ks. Lubeckiego w Petersburgu został rozpieczętowany przez cesarza, pismo zaś do Sobolewskiego otworzył w Warszawie na pełnej Radzie Chłopiicki.

Dnia 6 stycznia 1831 r. o 3-iej z rana przybyłem do Warszawy, skąd przed szesnastu dniami wyruszyłem. Dyktator zamieszkiwał wówczas pałac namiestnikowski, kompania z 1-go pułku strzelców pieszych pełniła służbę w dziedzińcu, adjutantami dyżurnymi, którzy nocowali w salonie, byli: kapitan Leski, porucznik Leon Rzewuski, podoficer gwidów Maurycy Potocki, oraz dwóch akademików. Obudzono Dyktatora, któremu zdałem sprawę z całego mego poselstwa.

Własność ziemska w Królestwie Polskiem.

Za punkt wyjścia kształtowania się własności ziemskiej uważamy wprowadzenie kodeksu Napoleona do b. Księstwa Warszawskiego, z którego ulepione zostało Królestwo Polskie w dzisiejszych swych granicach. Konstytucya Księstwa Warszawskiego i kodeks Napoleona, dotąd obowiązujący, uwolniły z poddaństwa chłopą i uczyniły go wolnym, równouprawnionym obywatelem kraju, ale ziemię, przez niego uprawianą, uznały za własność dziedzica odnośnego folwarku, jego zaś za faktycznego ziemi tej dzierzawcę ¹⁾. Nowy ten, ze stosunku poddańczego wylaniający się dzierzawca, posiadaną przez siebie zabudowaną osadę obrabiał bydłem i narzędziami dziedzica, miał sobie zwykle udzielone pewne używalności pastwiskowe i leśne na obszarach dworskich, a w zamian za to wszystko uiszcział czynsz dzierzawny nie pieniędzmi, lecz, wbrew zasadniczemu pojęciu kodeksu, wypełnianiem pewnych osobistych posług, na ustnej umowie, lub wyczaju opartych, z potrzebami gospodarstwa rolnego folwarku związanych. Nadto, uiszcział on zwykle pewne daniny w naturze, jak gotowe zboże, drób, przędza, miód, jaja, grzyby i t. p.

¹⁾ Porównaj dekret króla saskiego z dnia 21 grudnia 1807 roku. Dziennik praw Księstwa Warszawskiego, tom pierwszy strona 10.

Rozumie się samo przez się, że stosunki te, jako datujące z epoki poddaństwa, a tem samem z epoki ogromnej przewagi i uprawnienia dziedzica i moralnej jego nad ciemnym chłopem wyższości, musiały się okazać w wielu razach zbyt dla włościanina dzierżawy uciążliwemi. Le-karstwem na tego rodzaju uciążliwość był wprawdzie świeżo zapro-wadzony kodeks, nadający każdej ze stron prawo taki stosunek roz-wiązać, albo za obopólną zgodą zmodyfikować go w sposób, więcej pojęciom słuszności odpowiadający, co też we wzajemnym interesie stron leżeć mogło i często leżało. Zupełne jednak ubóstwo i bezzarad-ność chłopca, gdy mu przyszło opuszczać osadę wraz z rodziną, nie poz-walały mu często korzystać z przysługującej mu swobody i zmusiły go nieraz do poddania się zbyt uciążliwym warunkom, przez niedość wyrozumiałego dziedzica podyktowanym.

Odnosnie do położenia ekonomicznego własności ziemskiej w epo-ce Księstwa Warszawskiego, należy zaznaczyć:

że za czasów pruskich ceny produktów rolnych, a za nimi i ce-ny majątków ziemskich, do niebywalej doszły wysokości;

że wskutek tego i wobec łatwego rządowego i prywatnego kre-dytu, właściciele ziemscy korzystali z niego nieopatrzenie i bez ko-niecznej potrzeby, i

że gdy nadeszły czasy Księstwa Warszawskiego, i w skutek za-prowadzenia t. zw. systemu kontynentalnego, tak ceny produktów rol-nych, jak ceny sprzedażne własności ziemskiej, do minimalnego obni-żyły się poziomu, własność ziemska folwarczna w niesłychanie trud-nem znalazła się położeniu. Z jednej bowiem strony dochodowość ma-jątku, wskutek wielkiej taniości produktów rolnych, obniżyła się do minimum, gdy z drugiej znowu strony należało płacić procenta od nieopatrzenie zaciągniętych długów, i wystarczyć na wszelkiego ro-dzaju ofiary, jakich wojna i uczucia patryotyczne wymagały.

Gdy po upadku Napoleona i zniknięciu Księstwa Warszawskie-go nastąpiła era Królestwa Kongresowego, nowy rząd tego Króle-stwa zastał kraj wojnami wyludniony i do ostateczności wyczerpany z zasobów materialnych, a własność ziemską upadającą pod ciężarem wymagalnych długów. Mając na widoku przedewszystkiem potrzeby ogółu kraju, własność ziemską ratował tymczasowo moratoryami, i rozwinął rozsądną i uznania godną pracę we wszystkich kierunkach państwowej działalności. W piętnastoletnim zaledwie terminie swego istnienia, rząd ten doprowadził kraj pod względem urządzeń admini-stracyi, organizacyi sądownictwa, ulepszenia środków komunikacyi, reorganizacyi armii, wytworzenia zasobów skarbowych i zainicyowa-nia pracy w kierunku przemysłowym do isticie zadziwiających rezul-

tatów. Dopiero w 1825 roku można było przystąpić do racjonalnej pomocy dyszącej ciągle pod ciężarem długów własności ziemskiej. Położenie tej własności było tu rzeczywiście rozpaczliwe, Obok odłużenia, które w wielu razach wypełniało, lub przewyższało o wiele racjonalną wartość majątku, bezcennieść wszelkiego rodzaju zboża dochodziła do tego, że cena korca pszenicy przedstawiała w różnych okolicach kraju i w różnych porach roku, od 9 do 16 złp., cena korca żyta od 3 złp. gr. 15 do 9 złp., jęczmienia od 3 do 9, owsa od $2\frac{1}{2}$ do $5\frac{1}{2}$ złp. Za bezcennieścią zboża poszła i bezcennieść majątków ziemskich, na które nie było nabywców. Sprzedaż przymusowa przeto majątków odłużonych mogła mieć ten skutek, że i właściciel sekwestrowanego, acz mało odłużonego majątku, i kapitalista, którego wierzytelność mieściła się zupełnie wygodnie w wartości majątku, wskutek bezcennieści ziemi, mogli, przy przymusowej sprzedaży, stracić całe swoje mienie. Ustanowione przeto w 1825 roku Towarzystwo Kred. Ziem., celem ratowania od bankructwa tych majątków ziemskich, które uratowane być mogły, musiało przedewszystkiem ustanowić ich kredytowy szacunek niższy od ich rzeczywistej wartości, opartej na dochodach, jakie one przynoszą, i tym sposobem wpoić zaufanie ich nabywcom. Najprostszą, a nawet jedyną drogą, do tego celu wiodącą, było oparcie się na tak nazwanym podatku ofiary, który właściciele ziemscy, w czasie czteroletniego sejmu, sami ustanowili i zobowiązali się płacić, i który miał przedstawiać jedną dziesiątą część ich czystego dochodu. Rozumie się samo przez się, że takie samoopodatkowanie nie mogło być ściśle, bo zależało od większego, lub mniejszego naprężenia patryotycznego opodatkowanego, i wysokość podatku ofiary mogła przedstawiać albo dziesiątą, albo piątą, albo nawet dwudziestą część jego czystego dochodu. Ze względu przeto na tę okoliczność i na nader niskie ceny zboża, przyjęto zasadę, że odpłacany podatek ofiary, pomnożony przez cyfrę 5, przedstawia czysty dochód majątku, a dochód ten pomnożony przez cyfrę 20—jego kredytowy szacunek. Trzy piąte zaś szacunku stanowiło maksymalną cyfrę pożyczki, na dobra ziemskie prywatne udzielić się mogącej. Pomimo tej zasady, władzom Towarzystwa służyło prawo, tam, gdzie bezpieczeństwo pożyczki na to pozwalało, mnożnik czystego dochodu majątku zwiększyć z 20 do 25, lub, gdy ostrożność tego wymagała, zmniejszyć go do 19 i niżej. Takie przyjąwszy zasady szacowania majątków ziemskich i wysokości kredytu, na nie udzielać się mogącego; Towarzystwo kredytowe ziemskie, na wzajemnej odpowiedzialności wszystkich zastawionych sobie majątków oparte i na pierwsze swe potrzeby kredytem skarbu państwa zaopatrzone, ustanowione zostało

na lat 28, w którym to przeciągu czasu pożyczki własności ziemskiej, na pierwszy numer hipoteki udzielane w listach zastawowych Towarzystwa, umarzały się w zupełności przy opłacie przez dłużnika półrocznie 2% na procent, płacony przez Towarzystwo posiadaczowi listy zastawnej i 1% na umorzenie długu. Zastrzeżono przytem, że wierzyciel hipoteczny, który domagał się zwrotu swej wierzytelności, obowiązany był przyjąć listy al pari. Papier ten, oddawna za granicą znany, cieszył się tamże wysokim kursem: u nas, pojawiwszy się po raz pierwszy, nie zdobył sobie zaufania, i kurs jego ujawnił się na giełdzie w cyfrze 74½ za 100. Rząd krajowy czynił wprawdzie wszystko, co było w jego mocy, aby ten kurs podnieść, i aby dać przykład swego doń zaufania, przyjmował listy zastawne 100 za 100 w zapłacie za sprzedane osobom prywatnym dobra rządowe; ale kurs taki, narzucony wierzycielom hipotecznym, usprawiedliwiany względami konieczności i lichwiarskimi procentami, pobieranymi od dłużników, ze stanowiska teoretycznego nie da się usprawiedliwić.

Z tego, co wyżej powiedziano, jasnym jest, że rząd nowego Królestwa wysiłał całą swą niespożytą i rozumną energię, aby przyprowadzić organizację we wszystkich kierunkach państwowej działalności doszczętnie zniszczonego i zdeorganizowanego kraju. Z drugiej znów strony, własność ziemska, tylko co uratowana pożyczkami Towarzystwa od grożącego jej bankructwa, i gnębiona ciągle bezcennością produktów rolniczych, z trudnością tylko mogła uiszczać przynależne od niej podatki skarbowe i raty Towarzystwa kredytowego, i potrzebowała pewnego wypoczynku, celem umocnienia swego chwiejnego położenia.

Wobec takiego stanu rzeczy, ani rząd krajowy, ani sejm nie mógł myśleć o rozwiązaniu kwestyi agrarnej drogą oczyszczania i uwłaszczenia włościan, kwestyi, wymagającej poprzednich studyów statystycznych, znacznych ofiar i nakładów ze strony właścicieli ziemskich, i roztropnych, na gruntownej znajomości stosunów miejscowych opartych, rozporządzeń prawodawczych. Sprawa ta przeto, w sąsiednich Prusiech w tej epoce podjęta i racjonalnie przeprowadzona ¹⁾, musiała być do lepszych odłożona czasów. Zaraz po ukończeniu wojen napoleońskich i gdy nastąpiła era głębokiego pokoju, na Zachodzie Europy, a mianowicie w Anglii i w Prusach, gdzie stosun-

¹⁾ Porównaj w tej materji ciekawą pracę d-ra B. Marchlewskiego w miesięczniku „Przegląd Polski“ z dnia 3/15 lipca 1902 roku i w następnym.

ki agrarne, własności ziemskiej dotyczące, były już uregulowane, musiało z natury rzeczy postawić się pytanie, jak na większej, lub mniejszej przestrzeni własnej ziemi, stanowiącej samoistną jednostkę gospodarską, należy gospodarować, aby z niej możliwie wysoki wyciągnąć czysty dochód, po potrąceniu wydatków na zaprowadzenie potrzebnych inwentarzy pociągowych, użytkowych, maszyn i narzędzi rolniczych, oraz wydatków na zapłatę parobków i najemników, do różnych prac, przy gospodarstwie używanych. W odpowiedzi na takie pytanie musiano z konieczności rozpocząć ściśle naukowe badania nad przyrodzoną urodzajnością różnych gatunków ziemi, nad warunkami wyczerpywania tej urodzajności i sposobami jej wzmacniania, nad fizjologią uprawianych roślin, nad racjonalnym wychowem i pożywieniem zwierząt pociągowych i tak nazwanych użytkowych, słowem, na tem wszystkim, co stanowi obecnie całość nauki rolnictwa. Zadaniem temi zajęli się uczeni agronomowie angielscy, a na ich czele Saintclair, a za nim Albrecht Thaer w Möglinie pod Berlinem, twórca sławnej teorii próchnicznej, która okazała się następnie błędną. Usiłowania te żywo zainteresowały pewną część naszego rolniczego społeczeństwa, ale ogół rolników odniósł się do nich biernie. Racjonalne bowiem gospodarstwo, prowadzone na samoistnych jednostkach gospodarskich, mogło zapewnić wyższe plony i przynosić względnie wyższy czysty dochód z ziemi, ale wymagało wiele pracy i znacznych nakładów kapitału i wiedzy, których niedostawało. Przeciwnie, tutejszy właściciel ziemski, posługując się darmą pracą pańszczyźnianego chłopca, poczynawszy od uprawy roli, aż do żniwa, omłotu zboża i wywiezienia go na targ, gorzej uprawiał swą rolę, niższe zbierał z niej plony i dochód jego ze sprzedaży zboża był szczupły. Ale wzamian za to koszta administracyi były prawie żadne, dochód z gospodarstwa rolnego, zwiększany ciągłym przyływem świeżego grosza z propinacyi, to jest z wyłącznego prawa sprzedaży wódki i piwa włościanom, w obrębie posiadłości właściciela folwarku osiadłym, wystarczał oszczędnemu i nieprzeciążonemu długami właścicielowi folwarku na zaspokojenie skromnych potrzeb życia na wsi, na opłatę niskich podatków i rat od pożyczki Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Jedyny zaś przemysł, związany z prawem propinacyi, jaki obiecywał pewne zyski właścicielowi majątku, ale zgubnie wpływał na moralność i dobrobyt włościan, ujawniał się w staranniejszej uprawie kartofli i jęczmienia, i w zakładaniu, chociażby w najbardziej prymitywny sposób urządzanych, gorzelni i browarów.

W takim położeniu własności ziemskiej i w bujnym rozkwicie stosunków państwowych Królestwa, wybuchło niespodziewanie po-

wstanie listopadowe w 1830 roku, które zmieniło doszczętnie warunki bytu kraju, tak pod politycznym, jak ekonomicznym i moralnym względem. Po upadku blisko rok trwającej, krwawej, a niedołążnie prowadzonej wojny, ustawę konstytucyjną zastąpił formalnie tak zwany statut organiczny, faktycznie zaś rządy stanu wojennego, które, stosownie do okoliczności, obostrzone, lub łagodzone, trwały aż do śmierci cesarza Mikołaja. Wojna wyczerpała wszystkie zasoby pieniężne prywatne i skarbowe, a kraj, oprócz ofiar w ludziach, jakie wojna zabrała, stracił kilkanaście tysięcy, w znacznej części młodych i zdolnych wojskowych, i skompromitowanych działaczy politycznych, którzy wyszli za granicę i nie chcieli, lub nie mogli korzystać z udzielonej im przez cesarza amnestyi. Jak po każdej wielkiej klęsce publicznej, tak i po tej przegranej wojnie, kraj popadł w stan chwilowego osłupienia, po którym nastąpiła konieczna rezygnacya dostosowania się do nowych warunków bytu. Ale pewna część emigracyi w ówczesnych Niemczech, w Anglii i we Francyi sympatycznie i życzliwie przyjęta, nie dała za wygraną. Nie znając, lub lekceważąc i nowe warunki bytu, w jakich się kraj zwyciężony znajdował, i położenie, oraz usposobienie ludu wiejskiego, a oszołomieni teoryami rewolucyjnymi, ludzie ci zapragnęli rządzić u stóp zwycięscy leżącym krajem z Paryża, i wskrzesić w nim nową wojnę ludową. Wysyłani w tym celu emisaryusze, rzucili się w najlepszej wierze i z największym poświęceniem w te szalone przedsięwzięcia, wciągając do nich gorętszą i niedoświadczoną młodzież, i kompromitując roztropnych obywateli ziemskich i ojców rodziny, którym uczucie honoru nie pozwalało odmówić ludziom tym gościnności, a tem mniej wydawać ich w ręce władzy policyjnej. Naturalnem takiego stanu następstwem było silne obostrzenie stanu wojennego, demoralizujący rozrost policyi tajnej, śledztwa, sądy wojenne i nieszczęście całych rodzin. Jednem słowem, zapanowała w kraju ta straszna, duszna atmosfera, w której życie stało się nieznośnym ciężarem, rodzącym apatyę przeciwną wszelkiej produkcyjnej pracy.

W tych warunkach własność ziemska, której pewna część, wskutek niekorzystania przez emigrantów z udzielonej amnestyi, przeszła na własność skarbu, ciągnęła dalej swój, na pańszczyźnie oparty, leniwy żywot, a dotkliwe rany, jakie jej zadała wojna, zablizniała nowymi pożyczkami tak nazwanego drugiego okresu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, które w 1838 roku ukazem cesarskim znowu na lat dwadzieścia ośm zostało przedłużone.

W tej właśnie epoce popowstaniowej rząd krajowy zajął się na seryo racjonalnie obmyślanem oczyszczaniem włościan, w majątkach

skarbowych, dotąd wydzierżawionych osobom prywatnym, a następnie w przeważnej liczbie rozdanych rosyjskim zasłużonym wojskowym i cywilnym dygnitarzom. Oczynszowania te, dokonywane z wielką ścisłością po umiarkowanych stawkach czynszowych, z morgi ustanawianych, na podstawie przeciętnych cen żyta, zaczerpniętych z foraliów najbliższych miasteczek, i przy odpowiednem wynagrodzeniu ziemią za przysługujące im dogodności leśne i pastwiskowe w lasach skarbowych, wywołały odpowiedny ruch umysłowy w sferach ziemiańskiej inteligencji. Ruch ten ujawnił się w licznych pracach literackich, jak „Poranki karlsbadzkie“ Tomasza Potockiego, artykuły Ludwika Górskiego w „Bibliotece Warszawskiej“, książka Seweryna Uruskiego i „Roczniki gospodarstwa krajowego“, wydawane przez Spółkę światłych ziemian pod redakcją Garbińskiego, a po jego śmierci pod redakcją hr. Andrzeja Zamoyskiego. Idąc, czy to za przykładem rządu, czy za rozbudzonym w tym kierunku prądem, pewna liczba inteligentniejszych i zamożniejszych właścicieli ziemskich, mianowicie zaś w dystryktach popruskich zamieszkałych, czynszowała włościan wieczyście na zasadach rządowych, lub wypuszczała w długoletnią dzierżawę pożądaną przez nich osady i grunta, i przechodziła na gospodarstwa, tak zwane parobczane. Ale pomiędzy tymi ostatnimi właścicielami znajdowali się i tacy, którzy, przechodząc na gospodarstwo parobczane, rugowali doszczętnie włościan z posiadanych przez nich gruntów i wcielali je do obszarów folwarcznych, do czego im też najzupełniejsze formalne służyło prawo... Praktykiem tym położył koniec ukaz zd. 26 maja (7 czerw.) 1846 r., ogłoszony uroczyście we wszystkich gminach Królestwa 20 sierpnia (1 września) tegoż roku. Treścią onego było: 1-o zakaz samowolnego nakładania nowych powinności na rolników po miastach i wsiach zamieszkałych, i przynajmniej trzy morgi nowopolskie ziemi obrabiających, i zachowanie wszelkich przysługujących im dogodności, dopóki oni obowiązki, do nich przywiązane, należycie wykonywać będą; 2-o zniesienie wszelkiego rodzaju wymaganych od rolników tak zwanych danin i tym podobnych powinności, niemających tytułu prawnego, i 3-o zapewnienie pomocy rządu tym właścicielom majątków, którzyby chcieli wejść w układy z włościanami o oczynszowanie za pośrednictwem i pod kontrolą władzy, jaką rada administracyjna w tym celu ustanowi. Ukaz ten, wydany i ogłoszony bezpośrednio po rzeziach właścicieli ziemskich, jakie w Galicyi zachodniej w lutym tegoż 1846 roku miały miejsce, miał jeszcze ten uboczny, ale moralny cel i skutek, że łącznie z innymi rozumnie policyjno-administracyjnymi zarządzeniami, zapobiegł przedostaniu się do Królestwa zarazy gali-

cyjskiej, której symptomata dostrzegać się już dawały w powiatach, z Galicyą graniczących,

Postanowienia ukazu z 1846 roku zapobiegły samowolnemu rugowaniu włościan, a uformowane tak zwane tabele prestacyjne unormowały wprawdzie jasny stosunek wzajemnych pomiędzy dworem i włościanami obowiązków; ale pańszczyzny, która przybrała charakter stosunku przechodniego, usunąć na razie nie mogły. Przemiana onego na stosunek czynszowy wymagała przedewszystkiem wzajemnego porozumienia się stron, odnośnego do zamiany gruntu włościańskiego na inny, jeżeli zamiana taka okazała się konieczną ze względów ekonomicznych, ze względu na jakość i względną wartość jego, na wysokość czynszu, opłacać się mającego z morgi, przy ewentualnem zastrzeżeniu sobie przez dziedzica pewnych dodatkowych dni roboczych przy żniwie, lub sianokosach, ze względu na bonifikację włościanina za utratę przysługujących mu dogodności leśnych, lub pastwiskowych, ze względu wreszcie na udział dziedzica w kosztach przeniesienia budowli włościanina na nową, przez niego przyjętą osadę i na wszelkie inne, umowie towarzyszyć mogące szczegóły. Umowa o czynszowanie wymagała nadto zatwierdzenia władzy, nieposiadającej dostatecznych do tego instrukcyi. Dokładna w tej materyi instrukcyja ukazała się dopiero w postanowieniu rady administracyjnej z dnia 4/16 stycznia 1858 roku. Instrukcyja ta jednak, spełniona zbyt uciążliwych formalności, okazała się raczej utrudnieniem, niż ułatwieniem postępu oczynszowania. Wreszcie oczynszowanie włościan związane było z koniecznością przemienienia gospodarstwa pańszczyźnianego na gospodarstwo parobczane, i wymagało pewnego, i to znacznego, ze strony właściciela nakładu kapitału na kupno inwentarzy pociągowych, narzędzi rolniczych i urzędzenia mieszkań dla parobków, jako stałej służby folwarcznej. Do przyczyn tych, powodujących pewien konieczny zastój w zastosowaniu się do wymagań ukazu z roku 1846, życzliwie zresztą przez opinię publiczną przyjętego, dołączyły się jeszcze groźne ruchy rewolucyjne, jakie nawiedziły zachodnią Europę w 1848 roku i następujące po nich wojny, które zwróciły myśl w inną stronę i wywołały w społeczeństwie naszym odruchy, surowo tłumione i przywracające na nowo tę duszną polityczną atmosferę, o jakiej wyżej była mowa.

Stan ten zastoju w oczynszowaniu włościan, o ile powodowany był trudnem położeniem finansowem właścicieli majątków. uległ zmianie na lepsze wskutek znacznego podwyższenia się cen zboża i wskutek ukazu z dnia 8/20 kwietnia 1853 roku. Ukaz ten bowiem,

mając na celu polepszenie stanu gospodarstw właścicieli ziemskich drogą ułatwienia przeprowadzenia w ich dobrach czynszowania włościan, zezwolił na ponowne przedłużenie istnienia Towarzystwa kredytowego ziemskiego na lat dwadzieścia ośm, a tem samem wtedy upoważnił Towarzystwo do przyznawania nowych i odnowionych pożyczek trzeciego okresu, których ostateczne umorzenie nastąpić miało w 1881 roku.

Zanim jednak ukaz ten mógł wejść w praktyczne zastosowanie, nastąpiły ważne wypadki polityczne, jak wojna krymska, śmierć cesarza Mikołaja, wstąpienie na tron cesarza Aleksandra II i pokój paryski. Wypadki te dziejowej doniosłości żywo zainteresowały umysły społeczeństwa i rozbudziły jego nadzieje przedewszystkiem w kierunku przemiany dotychczasowych rządów wojennych na rządy normalne.

Cesarz Aleksander życzliwie był dla tych nadziei usposobiony, i za pierwszą swą w 1858 roku bytnością w Warszawie zapewnił, że gotów powrócić krajowi instytucye, przez jego ojca mu nadane. Zanim jednak zamiary jego mogły być urzeczywistnione, to jest zanim instytucye, przez cesarza Mikołaja krajowi nadane, a przez dwadzieścia pięć lat rządami wojskowemi zastępowane, mogły być w życie wprowadzone, należało je poprzednio na nowo rozpatrzyć i do zmienionych stosunków położenia dostosować.

Niezależnie jednak od tak przedstawiającej się kwestyi politycznej, rząd nowego panowania ani na chwilę nie stracił z oczu sprawy podstawowej społecznej, to jest unormowania stosunków agrarnych na podstawie ukazu z dnia 26 maja (7 czerwca) 1846 roku, sądząc zupełnie zasadnie, że samoistna, od wszelkich ograniczeń wyswobodzona własność ziemska, większa i mała, jest pierwszym warunkiem owocnego rozkwitu i produkcji rolniczej.

Pierwszym wyrazem dążności zaopiekowania się rolnictwem krajowem było powołanie do życia Towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskiem przez potwierdzenie przez cesarza jego ustawy w dniu 12/24 listopada 1857 roku, na mocy której Towarzystwo to zorganizowało się i rozpoczęło swą działalność 4/16 stycznia 1858 roku, a z przyjściem do władzy margrabiego Wielopolskiego, w dniu 16 kwietnia 1861 roku zostało rozwiązane. Drugim aktem, do przyspieszenia czynszowania włościan dążącym, było postanowienie Rady administracyjnej z dnia 16/28 grudnia 1858 roku, o którym już wyżej wspomnieliśmy. Za trzeci ważny krok, do tego celu wiodący, na-

leży uznać odezwę dyrektora Komisji rządowej spraw wewnętrznych z dnia 31 października 1859 roku, zawiadamiającą prezesa Towarzystwa rolniczego, że cesarz, na przedstawienie księcia namiestnika, dozwolił raczył Towarzystwu rolniczemu roztrząsać na swych posiedzeniach i ogłaszać w swym organie uwagi swoje względem środków, mogących posłużyć do postępu oczynszowania włościan na postawionych przez rząd zasadach. Dalej, zawsze w kierunku żywszego postępu oczynszowania włościan, należy przytoczyć Ukaz z dnia 10/22 maja 1860 roku, upoważniający Towarzystwo kredytowe ziemskie do przyznawania podwyższonych pożyczek trzeciego okresu drugiej seiry, umarzających się w 1881 roku, jak również dwudziestolecie pożyczek krótkoterminowych o niskim procencie z tak nazwanego funduszu użyteczności ogólnej ¹⁾, tym obywatelom ziemskim, którzy w dobach swych przeprowadzają oczynszowanie włościan.

Ponieważ, czy to wskutek zawilych formalności, jakie postanowienie Rady administracyjnej z 16/28 grud. r. 1858 zmuszało wypełniać przy zawieraniu układów o oczynszowanie włościan, czy to wskutek rozgorączkowania politycznego umysłów, postęp w biegu oczynszowania okazał się słabym; Książę Namiestnik postanowieniem swem z d. 20 marca (1 kwietnia) 1861 r. zarządził opracowanie projektu do prawa o oczynszowaniu z urzędu. Do pracy tej powołano 13-tu najwybitniejszych obywateli kraju, pomiędzy którymi znajdujemy Zygmunta, najstarszego syna Margrabiego Wielopolskiego. Obszerna ta, wyczerpująca i sumienna praca, pod nagłówkiem „Myśli i uwagi w przedmiocie Projektu do prawa o oczynszowaniu z urzędu“, opatrzona motywami, przeszła przez krytykę, zmiany, uwagi i dodatki najrozmaitszych władz centralnych, i stała się ostatecznie podstawą do „Prawa o oczynszowaniu z urzędu włościan w Królestwie Polskiem“ z dnia 24 maja (5 czerwca) 1862 r. Zanim jednak uwagi, zmiany i przeróbki, o jakich mowa, do tego doprowadziły rezultatu, pojawił się stanowczy i do oczynszowania niejako zmuszający Ukaz z d. 2/14 maja 1861 r., stanowiący: 1-o że począwszy od dnia 19 września (1 października) tegoż roku, każdemu włościaninowi, podpadającemu pod Ukaz z d. 26 maja (7 czerwca) 1846 r., służy prawo zamienić odrabianą przez siebie pańszczyznę na t. zw. okup prawny, którego wysokość w różnych okolicach kraju, względnie do

1) Porównaj prawo z 8/20 kwietnia 1850 roku i prawo z 10/22 maja 1860 roku.

stniejących warunków ekonomicznych, roztropnie została ustanowiona; i 2-o że dobrowolne umowy o czynszowanie włościan, przed ogłoszeniem postanowienia Rady administracyjnej z d. 16/28 grudnia 1858 r. zawarte, a dotąd przez Komisję rządową spraw wewnętrznych nie zatwierdzone, jeżeli są bezspornie przez strony wykonywane, zachowują się w swej mocy i nie potrzebują zatwierdzenia.

Charakterystyką dopiero co wspomnianego „Prawa o czynszowaniu z urzędu włościan w Królestwie Pol.“ z dnia 24 maja (5 czerwca) 1862 r. jest, że ono w uszanowaniu zasady, że osady włościańskie są niezaprzeczną własnością dziedzicą, zachowuje co do nich dla dziedzica prawa, wypływające z pojęcia „dominii directi“, jak prawo propinacyi, polowania, rybołówstwa i własności tego, co się znajduje wewnątrz ziemi, a pozostawia włościaninowi, posiadającemu „dominium utile“, prawo własności i użytkowania ze wszystkiego, co się znajduje na jej powierzchni. Niezależnie od tej podzielności praw własności, prawo, o jakim mowa, w 1-szej swej części, wypełni uszanowało przepisy Ukazu z d. 26 maja (7 czerwca) 1846 r., co do rozległości praw własności, rozgraniczenia gruntów włościańskich od dworskich, uprzątnięcia, za wynagrodzeniem, wszelkich wspólności użytków lub służebności, i wogóle ścisłego unormowania wzajemnych stosunków prawnych, zapobiegającego wszelkim w przyszłości nieporozumieniom. W drugiej swej części prawo to ustanowiło osobne ad hoc urzędy wykonawcze i obmyśliło odpowiedłą procedurę, zapewniającą możliwie szybkie i sprawiedliwe wykonanie oczynszowania z urzędu.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach cały szereg usiłowań, jakie w pierwszych latach wstąpienia na tron Cesarza Aleksandra II rząd krajowy i rozum ówczesnego społeczeństwa z siebie wyłoniły, by nareszcie unormować długo oczekującą rozwiązania sprawę agrarno-społeczną, będącą nieodzownym warunkiem dalszego ekonomicznego i społecznego rozkwitu ¹⁾.

Przytoczywszy cały szereg usiłowań, tak ze strony rządu, jak i ze strony społeczeństwa ziemiańskiego doprowadzenia do skutku

¹⁾ Dla dopełnienia obrazu objaśnić tu jeszcze należy, że obok prawa o czynszowaniu z urzędu, na wniosek hr. Tomasza Potockiego, ostatnie ogólne zebranie członków Towarzystwa rolniczego, oświadczyło się za możliwie szybkim doprowadzeniem włościan do własności posiadanych przez nich osad, i że wskutek tego oświadczenia opracowany został projekt Ustawy instytucyi Kredytowej, skup czynszów na celu mającej.

tyle pożądanej reformy agrarnej, nie możemy przemilczeć o równoległej, wręcz w przeciwnym kierunku działającej akcji.

Akcją tą były, już w r. 1858 rozpoczęte, zrazu nieważne demonstracye polityczne, przez rząd krajowy ignorowane lub lekceważone, które też szybko szerokie i wyraźniejsze przybierały rozmiary. Ostatecznym celem onych było wywołanie zbrojnego przeciw Rosyi powstania, pośrednim zaś niedopuszczenie do zamierzonego oczynszowania włościan. Koryfeusze powstania bowiem ludzili się tem przekonaniem, że gdy wybuchnie powstanie, a oni ogłoszą uwłaszczenie posiadanych przez włościan gruntów, uwłaszczeni porwą za kosy i widły, aby bronić nadanej im własności.

Nie do nas należy zastanawiać się nad przyczynami zamierzonego powstania, ani badać, jakie rządy i w jakich widokach podtrzymywały agitację powstańczą, celem niedopuszczenia spokojnego rozwoju nowych w kraju stosunków pomiędzy Polską i Rosyą. Wyjaśni to kiedyś trzeźwy historyk, z położeniem oraz z tajnikami ówczesnej dyplomacyi obeznany.

My, stojąc na gruncie samych faktów, zaznaczamy, że w walce o lepsze dwóch dopiero przytoczonych prądów reformy włościańskiej dotyczącej, ówczesny rząd krajowy poniósł prawdziwą klęskę wskutek zniechęcia sobie duchowieństwa, które z natury rzeczy dzierży w swych rękach przekonania i sumienia ludu, i przez rozwiązanie towarzystwa rolniczego, przedstawiającego zachowawczą i karną grupę właścicieli ziemskich, z kilku tysięcy osób złożoną, o którą, jak o niezłomną skałę, rozbijały się wzrastające rewolucyjne fale. Naturalnem tych faktów następstwem było, że i duchowieństwo, i rozbitki Towarzystwa rolniczego rzucone zostały na pastwę zręcznej i z każdej sposobności umiejącej korzystać agitacyi rewolucyjnej, i że rząd krajowy pozostał osamotniony i coraz to więcej przez postępy idei powstańczej prześcigany. Położenia tego nie naprawiły, ani rozumne prawa organiczne, przez rząd inicjowane, ani zdobywane coraz to szersze koncesye polityczne, ani nawet nadanie Królestwu autonomii narodowej, z bratem Monarchy, W. Księciem Konstantym, jako Namiestnikiem królewskim na czele, i Jego pomocnikiem, Margrabią Wielopolskim, jako naczelnikiem rządu cywilnego.

Pozostawał—jak się zdaje—jeden niezawodny środek zapobieżenia zamierzonemu powstaniu przez uwłaszczenie włościan tymczasowo na podstawie już wyżej przywiedzionego Ukazu o okupie pańszczyzny, odkładając na później bliższe tego stosunku uregulowanie. Wyprzedzeni w ten sposób przez rząd w uwłaszczeniu włościan, koryfeusze

powstania straciliby od razu całą podstawę porwania za sobą wiejskiego ludu.

Rząd tego środka nie użył i stało się co się stać musiało. Wybuchło w styczniu 1863 r. zbrojne powstanie, zwyciężone ostatecznie w jesieni, zniweczyło kilkoletnią i owocną pracę społeczeństwa i stało się przyczyną radykalnego przeistoczenia politycznych i społecznych urządzeń Królestwa. Po upadku Margrabiego i opuszczeniu Warszawy przez W. Księcia Namiestnika, Królestwo polskie pod względem politycznym stało się pojęciem geograficznym, stanowiącem część integralną Cesarstwa z dążnością możliwego zjednoczenia się z całością pod względem administracyjnym, sądowniczym i wychowawczym, zachowując wszakże te cechy odrębności, jakie są koniecznym następstwem różnicy obowiązującego prawodawstwa, wierzeń, przyrodzonych przymiotów i tradycyi miejscowej ludności i położenia geograficznego.

Pod względem społecznym i ekonomicznym prawo o oczynszowaniu z urzędu z 24 maja (5 czerwca) 1862 r. zastąpione zostało trzema Najwyższemi Ukazami z 19 lutego (2 marca) 1864 r. Pierwszy z nich, rozszerzając pojęcia i zakres Ukazu z 26 maja (7 czerwca) 1846 r., uznał za rolników wszystkich nie tylko rolników wsi i miasteczek, którzy odrabiali pańszczyznę, opłacali za nią okup lub czynsz, z posiadanych przez siebie gruntów bez względu na ich rozległość, ale zaliczył nad to do tej kategorii służących folwarcznych, posiadających ogrody dworskie i mieszkających w osobnych izbach, poza obrębem zabudowań folwarcznych leżących¹⁾. Wszystkim tym rolnikom nadał on pełną własność posiadanej przez nich ziemi wraz z budynkami, nie tylko własność powierzchni ziemi, ale i własność wnętrza onej, jak również prawo propinacyi, polowania i rybołówstwa, to jest prawo tych wszystkich przywilejów, które dotąd przysługiwały posiadaczom tak zwanego dominii directi. Oprócz tego rzeczony Ukaz pozostawił wszystkim tak uwłaszczonym dziedzinom w znaczeniu prawnem służebności prawo używalności pastwiska na polach, lub łąkach, oraz prawo zbieraniny, lub wyrębu w lasach dziedzica, z jakiego oni dotąd korzystali, pozostawiając stronom na drodze dobrowolnego porozumienia możność ułożenia się o zamianę tych służebności na

¹⁾ Z pod dobrodziejstwa tego wyjęci zostali parobcy folwarczni, za mieszkali w większych domach, tak nazwanych koszarach, w obrębie zabudowań położonych,

wynagrodzenie ziemią, lub lasem, do czasu, w którym nastąpi zlikwidowanie ich z urzędu.

Drugi tej kategorii ukaz, uchylając ustrój i zakres dotychczasowej gminy, polecił ustanowić nowy podział powiatów na większe okręgi, czyli gminy. Nowe te gminy, obdarzone autonomią, wybierały z pośród członków, posiadających własność ziemską, zarządy gminne, stanowiące ostatnie ogniwo administracji powiatu. Wybierały nadto sędziów, rozstrzygających w granicach nadanych im atrybucyi cywilne i karne sprawy, zaszłe pomiędzy mieszkańcami gminy, i wreszcie zawiadywały własnością i sprawami ekonomicznymi gminy.

Trzeci wreszcie z pomienionych Ukazów ustanowił sposób i zakres wynagrodzenia właścicieli ziemskich za odjęte im grunta. Wynagrodzenie to odbyło się z funduszów skarbowych, wzmoconych jedynie czasowo dochodami z propinacyi, jakie osiągnięte zostaną z gruntów uwłaszczonych, w ten mianowicie sposób, że wypuszczono odpowiednią potrzebie ilość listów, tak zw. likwidacyjnych, przynoszących 4% prowizyi i umarzających się w ciągu lat pięćdziesięciu dwóch, i listami temi zapłacono dziedzicom przypadające im należności. Otóż jeżeli pominiemy wielkie wprowadzie ekonomiczne i moralne szkody, jakie spowodowało szybkie i bezwzględne, pod naciskiem politycznych względów zastosowane, uwłaszczenie, jak również pozostawienie niezlikwidowanych służebności; to przyznać trzeba, że dopiero przytoczone Ukazy, regulujące radykalnie długo oczekujące uzdrowienia stosunki agrarno-społeczne, uznać należy za dobroczynne. Włościanie bowiem w Królestwie Polskiem, stanowiący najluźniejszą klasę społeczeństwa, stali się pełnymi właścicielami posiadanych gruntów. Obdarzeni nadto służebnościami na obszarach dworskich i wyswobodzeni z pod zależności dziedzica, stali się pełnymi obywatelami kraju, wybierającymi członków zarządu gminy i sędziów gminnych, i zawiadującymi interesami gminy autonomicznej.

Położenie też włościanina w Królestwie Polskiem jest o wiele korzystniejszym od położenia włościanina wielkorosyjskiego. Przyczyną tego jest i różnica reformy agrarnej z mocy Ukazu z dnia 19 lutego (2 marca) 1861 roku, i różnica obowiązujących praw, oraz ustroju społecznego, jakie istnieją pomiędzy Cesarstwem i Królestwem Polskiem,

I tak reforma agrarna z roku 1861 wyswobodziła przedewszystkiem włościanina wielkorosyjskiego z poddaństwa i zrobiła z niego wolnego obywatela kraju, uposażając go pełną własnością jednej

desiatyny ogrodu wraz z zajmowaną przezeń osadą, ale nie przyznała mu żadnych na obszarach dworskich służebności. Reszta posiadanej przez niego przed reformą ziemi pozostała wprawdzie własnością dziedzica, ale włościanin mógł się z nim porozumieć co do oddania mu jej w używalność za pewną ilość dni powinności, odrabianych na jego polach. Jeżeli porozumienie nie przyszło do skutku, wkraczał tak zwany pośrednik polubowny, który, wedle norm, ustanowionych dla różnych miejscowości, oznaczał ilość dni roboczych, jakie włościanin winien był odrabiać albo z całości byłego gospodarstwa włościańskiego, albo z części onego, jeżeli właściciel życzył sobie zachować dla siebie tak zwane odcinki, o których posiadanie mógł się osobno układać.

Stan taki trwał do 1881 roku, w którym dziedzice, wzamian za powinności pańszczyźniane, otrzymali, wedle ustanowionych dla różnych miejscowości norm, tak zwane świadectwa wykupowe, które włościanie umarzają, opłacając z początku 5%, a obecnie 4% na procent i $\frac{1}{2}\%$ na umorzenie. Wyszwobodzony w ten sposób od zależności od dziedzica włościanin wielkorosyjski, wskutek istniejącej tam wspólności władania ziemią, pozostaje w większej bodaj jeszcze zależności od gromady, która za życia dysponuje do pewnego stopnia jego osobą, a po śmierci rozciąga bardzo wpływową opiekę nad jego małoletnimi dziećmi, wdowami i majątkami.

Odnosnie do kwestyi rozdziału własności ziemskiej na różne kategorie i różnych właścicieli, posiadamy niektóre statystyczne daty, sięgające tylko po rok 1899 włącznie:

I. Własność ziemska w Królestwie Polskiem w roku 1894, według danych warszawskiego Komitetu statystycznego, tom XV, wynosiła:

Grunta włościańskie . . .	9,505,352 morgów	
Dworskie	8,956,300	„ ¹⁾
Drobnej szlachty	1,308,817	„
Skarbowe	1,307,284	„
Miejskich	209,615	„
Osad dawnych miasteczek .	565,697	„
Innych właścicieli	98,699	„
Ogółem	22,041,864 morgi	

¹⁾ W tej cyfrze 757,200 morgów, należących do dóbr donacyjnych, czyli majoratów.

II. Wedle książki generała Anuczyna było w roku 1873 osad i gruntów włościańskich ukazowych:

Osad do 3 morg. rozległości	Zawierających przestrzeni mor.	Osad od 3 do 15 przes.	Zawierających przestrzeni mor.	Osad rozległ. od 15 m. przestrz.	Zawierających przestrzeni mor.	Wszystkich osad razem	W nich ziemi morgów
214,705	307,058	280,141	2,521,269	205,224	5,869,804	69,070	8,698,131

III. Wedle zaś Komitetu statystycznego warszawskiego było w roku 1899 takichże osad i gruntów włościańskich:

Osad do 3 morg. rozległości	Zawierających przestrzeni mor.	Osad od 3 do 15 przes.	Zawierających przestrzeni mor.	Osad rozległ. od 15 m. przestrz.	Zawierających przestrzeni mor.	Wszystkich osad razem	W nich ziemi morgów
107,574	161,061	319,097	2,871,873	290,586	5,824,611	717,257	8,857,543

Ogółem zaś osad włościańskich było w 1899 roku 782,803, zawierających morgów 9,817,168.

Z porównania powyższych danych wypadaloby, że w roku 1899 włącznie,

1-o	Własność mała Ukazowa wynosiła morgów	8,857,545
	a ponieważ w r. 1873 wynosiła 8,698,131 morgi	
	zwiększyła się o 159,414 m., które pochodzą	
	muszą z wynagrodzenia za służebności.	
2-o	Z zestawienia cyfr 9,817,168 m. z cyfrą	
	8,698,131 wypada, że własność mała	
	nieukazowa wynosi m.	959,023
	gdy do tego dodamy zaznaczoną w r.	
	1894.	98,699
	Własność mała nieukazowa wyniesie	1,058,322
3-o	Własność drobnej szlachty wynosiła w r.	
	1894.	1,308,917

4-o Grunta dworskie wykazane w 1894 w ilości	8,956,300
odjąwszy od tego odpadłe	
za służebności m.	159,414
odprzedane włościanom.	959,623
i majorackie (donacyjne)	757,200
razem	1,176,237
Pozostałoby po rok 1899 obszaru	
większej własności prywatnej	7,840,063
Czyli razem własności prywatnej morgów	19,064,077

Czyli, że już w r. 1899 własność drobna przeważa własność większą o 3,384,721 morgów.

Rozpatrując się bliżej w tym materyale właściciele ziemskich w Królestwie Polskiem pod względem przymiotów moralnych, położenia ekonomicznego i biorąc na uwagę najliczniejszych drobnych właściciele, jako to: włościan, drobną szlachtę i mieszczan rolników jesteśmy zdania, że wspólną cechą całej tej rzeszy była i jest, po części i dotąd, ciemnota, niezaradność i opieszałość, obok żywej wiary i instynktowego poczucia sprawiedliwości z wyłączeniem wszakże jasnego pojęcia o tem, „co moje, a co twoje“. Jedną z głównych przyczyn tego moralnego kalectwa jest długi stosunek patryarchalny, w którym dziedzic w swym własnym interesie używał włościanom swych narzędzi rolniczych, a pozwalając im korzystać z swego lasu, pastwiska i łąk, zatarł mimowolnie w ich umysłach pojęci odrębności prawnej swojej własności. Pomiedzy temi trzema kategoriami drobnych właściciele ta jeszcze jednak istnieje różnica, że drobny szlachcic posiada najwięcej, mieszczanin nieco mniej, włościanin najmniej poczucia swej godności osobistej, wrażliwości i samowiedzy swej narodowej odrębności, która w jego umyśle miesza się z odrębnością wyznaniową.

W zamian za to włościanin od chwili, gdy został pełnym właścicielem ziemi i równouprawnionym obywatelem kraju, pojął użyteczność posiadania realnej wiedzy i przyjmuje ją chętnie z każdego źródła, byleby mu była podana w przystępnej dla niego formie.

Przedewszystkiem jednak jest on żądnym rozszerzenia lub przynajmniej utrzymania posiadanej przez siebie ziemi, a żądza ta ma dwójakie skutki: 1-o, że włościanin, celem zdobycia jej jaknajwięcej, przecenia, mianowicie w ostatnich czasach, wartość przysługujących mu służebności, a tem samem utrudnia porozumienie się z dziedzicem o ich zamianę, i 2-o, że tak nazwane oszczędności, skierowane na ku-

pno tyle pożądanej ziemi, doprowadziły do iście zdumiewających rezultatów. I tak:

W roku 1883 było — jak z powyższego wiadomo, osad ukaszowych, od 1—3 morgów rozległych, w cyfrze okrągłej 204,000, zawierających 307,058 morgów. W r. 1899 pozostało już tylko tych osad 107,574, zawierających 161,051 morgów. Z tego wynika, że 144,600 morgów nabyte zostały przez właścicieli większych osad, jeżeli zaś przyjmujemy, że morga wraz z budynkami, ewentualnie z zasiewami, warta jest w tych warunkach po 120 rubli, to nabywcy zapłacili sprzedającym rubli	17,352,600
Po tenże rok 1899 włącznie, włościanie nabyli od nie włościan, a więc od właścicieli folwarków m. 959,623 ziemi bez budynków i zasiewów, po przeciętnej cenie Banku włościańskiego, 70 r. za morgę. Z tego obszaru kupili przy pomocy Banku 374,756 m. dopłacili Bankowi r. . .	8,306,256
Za resztujące zaś 584,867 morgów, zapłacili bez pomocy Banku rubli	40,940,630
Na zagospodarowanie kupionych 959,623 m., bez budynków i zasiewów, przedstawiających 65,546 osad, licząc po 150 rubli, musieli wydać co najmniej	10,916,750
Wydali więc na kupno sumę r.	77,515,090

Co najmniej drugą taką sumę musieli wydać włościanie uwłaszczeni z powodu, że osady ukaszowe nie mogą być dzielone w naturze na części mniejsze niż sześć morgów. Wskutek tego do osad niedzielnych należą wszystkie osady od 1—3 morgów; osad tych było w 1899 r. 107574, zawierających 161061 morgów. Z drugiej kategorii osad, obejmujących od 3—15 morgów przestrzeni, do niedzielnych zaliczamy te, które nie mają przynajmniej 12 morgów przestrzeni, przypuszczając, że tych właśnie osad będzie przynajmniej połowa ogólnej ich liczby. Kategorii tej było w 1899 r. osad 319,097, zawierających 2,871,873 mor. Osady przeto niedzielne zawierać będą w pierwszej kategorii m. 161,061 + z drugiej kategorii **2,871,873** = 1,435,936, czyli razem 1,596,997 m.

Jeżeli przyjmiemy wartość tych przestrzeni, licząc po 100 rubli za morgę, na 159,696,700 rubli, jak również, że w ciągu lat 38 osady niedzielne wskutek śmierci zmieniły raz tylko jeden właściciela, i że utrzymujący się przy własności sukcesorowie musieli spłacić, każdy jednego tylko współsukcesora, to spłacili **159,699,700 = 79,849,850** rubli.

Stawia się tutaj samo przez się pytanie, z jakich źródeł włościanie mogli zapłacić tak olbrzymie sumy. Jeżeli bowiem rozpatrzemy się w ogólnym stanie gospodarstw włościańskich w różnych okolicach kraju, to będziemy musieli przyznać, że stan ten jest lichey, tak pod względem uprawy ziemi, jak pod względem osiąganego plonów, jak pod względem stanu roboczych i użytkowanych inwentarzy, a tem samem, że oszczędności, z gospodarstw włościańskich osiągnane, są albo żadne, albo mało znaczące. Oszczędzać może tylko, względnie mówiąc, niewielka ilość włościan posiadających większe w dobrej ziemi i łąkach położone osady, którzy dobrze gospodarują a oprócz tego, używając sami w kasach gminnych obszernego kredytu, zasilają nim uboższych, pobierając od nich, jak się samo przez się rozumie, lichwiarskie procenty ¹⁾.

Dwa przeto tylko mogą być źródła, z których włościanie mogli czerpać, aby wypłacić dwie ogromne sumy, o jakich dopiero była mowa. Jednym z nich są sumy, jakie emigranci, głównie z Ameryki północnej, a częściowo i z południowej i z Niemiec przysyłają corocznie do kraju, jako oszczędności zarabianych tam pieniędzy. O ile wnieść można z wiadomości, czerpanych u niektórych bankierów, sumy te dochodzą do 4 milionów rubli corocznie. Drugim zaś źródłem mogą być tylko pożyczki, przez włościan na wysoki zaciągane procent. Nie posiadamy żadnych poważnych danych pod względem odłożenia włościan, ale mamy pewne w tej materji wskazówki, a mianowicie: p. Makiejewa z gub. Radomskiej i p. Leonarda Zaleskiego, byłego regenta w Kole. Ten ostatni przyszedł do wniosku, że włościanie powiatu Kolskiego, mają długów 2,000,000 rubli, od których opłacają procentów 200,000 rubli rocznie ²⁾. Domniemywać się przeto można, że

¹⁾ Z ogólnych sprawozdań jest wiadomo, że po rok 1899 rzeczywiste oszczędności włościan wynosiły 12,678,600 rubli, złożone jako wkłady w 1320 kasach gminnych. Samo przez się rozumie się, że nie możemy mieć żadnych wiadomości, czy i ile może być złożonych pieniędzy w kasach oszczędności, lub ile dawnym zwyczajem może być przechowywanych pieniędzy w garnkach, butelkach itp.

²⁾ Porównaj „Przegląd Polski“, r. 1902, za miesiąc październik „Sily i srodki ludu naszego“ str. 3 i 9.

odłużenie drobnej własności, a przede wszystkim właściwie ukazowej, musi być znaczne.

Z tego, co dotąd o drobnej własności powiedziano i niezależnie od ogólnych warunków ekonomicznych, w jakich rolnictwo tego kraju bytnie, widocznem jest, że własność ta, pomimo swej ciągle rosnącej terytoryalnie przewagi, daleką jeszcze jest od zajęcia tego silnego ekonomicznego stanowiska w kraju, do jakiego zdaje się być przez samą naturę rzeczy powołaną. Przyczyny takiego stanu rzeczy są zdaniem naszym rozliczne i należałoby je, o ile się da, szybko usunąć. I tak drobne, z uwłaszczenia wytworzone, działki, nie posiadające ekonomicznych warunków bytu, bywają i muszą być z czasem pochłonięte przez właścicieli większych osad. Do tej kategorii zaliczamy w znacznej części 65,546 osad pozostałych z kupna 959,623 morgów, od niewłóścian, czyli od właścicieli folwarków i nie posiadających również żadnych warunków samoistnego bytu. Dalej osady ukazowe i nieukazowe wiejskie i drobnej szlachty, bytujące w trójpolówce i składające się często z drobnych działków, do jednego i tego samego właściciela należących, domagają się gwałtownie segregacyi i komasacyi, chociażby przymusowo przeprowadzonych. Operacya taka przedstawia niezawodnie pewne trudności i nie mogłaby być przeprowadzona bez pewnych niezadowolnień, a nawet drobnych niesprawiedliwości. I dlatego musiałaby być powierzona ludziom trzeźwym, sprawiedliwym i doskonale obeznanym z warunkami i potrzebami rolnictwa, i wyszłaby niewątpliwie na wielką korzyść i produkcji krajowej i samych właścicieli osad.

Poza sprawą terytoryalnej reorganizacyi, drobna własność oczekuje nadto takiej reorganizacyi kas gminnych, aby kredyt osobisty stał się dostępnym, nie tylko zamożnym włościanom, ale i uboższym właścicielom ziemi, domów, rzemieślnikom i przemysłowcom, zamieszkałym w gminie i przedstawiającym odpowiednie materyalne lub nawet moralne tylko gwarancye, i bez względu, czy potrzebujący kredytu jest włościaninem, czy też pochodzi z mieszczan lub drobnej szlachty. Pojęcie takie byłoby zgodnem z zasadniczą myślą obowiązującego w kraju kodeksu.

Dalej oczekuje ona obowiązującego urzędzenia hipotek powiatowych całej, bez wyjątku, drobnej własności i instytucyi kredytowej, udzielającej kredytu hipotecznego długoterminowego i umarzającego się do wysokości połowy szacunkowej wartości osady. Kredyt taki mógłby służyć dla włościan i nie włościan rolników na spłaty współsukcesorów przez utrzymującego się przy osadzie, z tem praktycz-

nem zastrzeżeniem, że wysokość spłaty winnaby być oznaczoną nie na podstawie sprzedażnej wartości osady, lecz na podstawie czystego dochodu, jaki ona w danych warunkach przynosić powinna w dle zdania bezstronnych biegłych.

Wreszcie, zdaniem naszym, wielce pożądanem jest ułatwić drobnym właścicielom ziemi nabycie oświaty w ogólności, a realnej wiedzy rolniczej w szczególności, podawanych im w przystępnej dla nich formie, jak również zachęcić ich do zawiązywania drobnych stowarzyszeń rolniczych i syndykatów, w którychby się nauczyli ciągnąć korzyści, z podobnych stowarzyszeń płynące ¹⁾.

Przechodzimy w końcu do rozpatrzenia się w położeniu obecnem tak zwanej większej własności ziemskiej, przedstawiającej się w formie folwarków, lub w kompleksie onych. Już z tego, co wyżej powiedziano, widocznem jest, że ona poniosła wszystkie koszty tak radykalnie przeprowadzonej reformy agrarnej, a indemnizacja, wypłacana w listach likwidacyjnych, w malej tylko części mogła je pokryć, już to z powodu nizko przyjętej wartości ziemi, już to z powodu bardzo niskiego początkowego listów tych kursu giełdowego.

Zmuszona do natychmiastowej kosztownej reorganizacji swych gospodarstw, dotąd przeważnie pańszczyźnianych, na gospodarstwa parobczane, własność ziemska znalazła się w niesłychanie trudnem położeniu. Wypłacalność rat Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu tak osłabła, że Towarzystwo to, zastępując niedobory swym funduszem rezerwowym, wyczerpało go w zupełności i stanęło nad brzegiem bankructwa, od którego uratowało je Najwyższe upoważnienie wypuszczenia na półtora miliona rubli obligacyi, które też niebawem, wraz z procentami, spłaciło. Następne kilka lat urodzajnych i popłatnych złagodziły to położenie do pewnego przynajmniej stopnia, czemu dopomogło też nowe prawo, czyli nowa Ustawa z 1869 roku Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

Borykając się z gniotącemi ją służebnościami, własność ziemska spotkała się z kolei z latami mniej urodzajnymi i zno-

¹⁾ Wobec tych wszystkich najpilniejszych, organizmy malej własności uzdrawiających, potrzeb, szerzenie pomiędzy włościanami drobnego domowego przemysłu, w zasadzie swej racjonalnego, nie wydaje się nam sprawą nagłą, tem bardziej, że nie mamy żadnych danych, czy przemysł taki, wobec przemysłu fabrycznego, zdołałby się rozwinąć w warunkach, w jakich się w tej chwili jeszcze mała własność znajduje.

wu w bardzo trudnem znalazła się położeniu. Towarzystwo kredytowe ziemskie przyszło jej ponownie z pomocą, wyjednawszy nową skodyfikowaną ustawę z 1888 roku przy równoczesnem podwyższeniu skali pożyczek drogą zmoderowania wpływu na takse dóbr tak zwanego podatku gruntowego. Ale ożywione tym sposobem rolnictwo spotkało się w tej właśnie epoce z ogólnem przesileniem rolniczem, całą ogarniającem Europę, którego istotą była nadprodukcya zboża, produkowanego na dziewiczych ziemiach Ameryki, Australii i Indyi wschodnich, i przesylenie niem rynków europejskich, a tem samem ogromny i raptowny upadek cen onego poniżej rzeczywistych kosztów produkcji. Ponieważ przesilenie przybrało charakter chroniczny, logicznem i koniecznem następstwem onego być musiało, że państwa, potrzebujące pewnego dopływu obcego zboża na wyżywienie swej ludności, w obronie swego rolnictwa poczęły się odgradzać coraz wyższemi cłami zbożowemi od nadmiernego onego dopływu, gdy tymczasem państwa, których produkcya przewyższa potrzeby i które wywożą przewyżkę tę za granicę, znalazły się w tem trudniejszym położeniu. Do tych ostatnich należy państwo rosyjskie, którego produkcya rolnicza stanowi bardzo poważną gałąź handlu zagranicznego wywozowego.

Sprzeczność interesów Rosyi, jako państwa wywozowego z sąsiadującymi państwami Zachodu, ochraniającemi swe rolnictwo za pomocą ceł, doprowadziła do krótkiej wojny celnej, zakończonej traktatem handlowym z 1894 roku, mocą którego Rosya zgodziła się opłacać wysokie cło od zboża, a dosyć umiarkowane cła od wszelkiego rodzaju zwierząt domowych, do Niemiec i Austrii wprowadzanych. Zdawało się przeto, że gdy Królestwo Polskie dopełni brak swej produkcji zbożowej zbożem z Cesarstwa, po taryfach normalnych sprowadzanem, nie będzie potrzebowało wywozić swego zboża za granicę, z wyjątkiem pszenicy, której produkuje za wiele, i że ceny zboża w Królestwie ułożą się normalnie i odpowiednio do warunków miejscowych, oraz kosztów produkcji i większego, lub mniejszego urodzaju. Oprócz tego Królestwo, nie mogąc konkurować z bytłem stepowem rosyjskiem, będzie mogło rozwinąć na szeroką skalę przemysł opasania wszelkiego rodzaju zwierząt domowych, i pomimo opłacanych od nich ceł, sprzedawać je za granicę z rzeczywistą dla rolnictwa korzyścią.

Przewidywania te nietylko nie ziściły się, ale przeobraziły się w tak niesłychanie trudne ekonomiczne warunki bytu naszego rolnictwa, w jakich—o ile nasza wiedza sięga—nie znajduje się żadna inna,

gdziekolwiek bądź położona prowincya. Przyczyna takiego położenia spoczywa w taryfach różniczkowych dróg żelaznych rosyjskich, i w fakcie, że dla wywozu naszego bydła i owiec, granice, niemiecka i austryacka, wbrew traktatowi handlowemu z roku 1894, hermetycznie pozostają zamknięte, z wyjątkiem nierogacizny, którą Niemcy, gdy tego odczuwają potrzebę, w pewnych epokach chętnie do siebie wpuszczają.

Taryfy różniczkowe dróg żelaznych rosyjskich są dwojakie: wywozowe i wewnętrzne. Pierwsze, nieco wyższe od drugich, obniżają się w miarę wzrastających odległości w nierównym stosunku aż do odległości 540 wiorst, w którym to punkcie są między sobą identycznie równe. Począwszy od tej odległości, biegną już ciągle równo, obniżając się coraz silniej w miarę zwiększającej się odległości. Jasnem jest, że tak działające taryfy różniczkowe zmniejszają sztucznie naturalne geograficzne odległości i identyfikują do pewnego stopnia warunki ekonomiczne okolic, na dalekim położonych Wschodzie, z warunkami tutejszego kraju, bez względu na różnicę cen ziemi, kosztów produkcji i opłacanych z ziemi podatków. I tak, jeżeli naprzykład żyto, wyprodukowane o 3,000 wiorst od Warszawy, warte jest na miejscu po 20 kopiejek za pud, a w Warszawie pud onego kosztuje 60 kopiejek, koszta zaś transportu jednego puda żyta do Warszawy wynoszą 37 i pół kopiejki, to w interesie producentów, o 3,000 wiorst mieszkających, leżeć musi, żyta swoje do Warszawy wyprawić i zarobić $60 - (20 + 37\frac{1}{2} = 57\frac{1}{2})$ po $2\frac{1}{2}$ kopiejki na każdym pudzie. Zbytecznem byłoby dowodzić, jaki jest zalew naszych rynków zbożem rosyjskiem, na dalekim produkowanym Wschodzie, i jak on ujemnie oddziaływać musi na rynki zbożowe Królestwa. Dodać tu jeszcze należy, że jeżeli kupiec rosyjski wyprawił wagon żyta do stacyi pogranicznej, Aleksandrów, odległej o 3,000 wiorst, i zapłacił wedle taryfy wywozowej za odległość tę rubli 281.25, służy mu prawo żyto to zatrzymać naprzykład w Warszawie, odległej o 200 wiorst od Aleksandrowa, i stosownie do przedstawiającej się kalkulacyi, albo je sprzedać w Warszawie, albo wyprawić za granicę. W tym ostatnim wypadku transport z Warszawy do Aleksandrowa kosztował go 15 rubli z kopiejkami, gdy tymczasem producent, lub kupiec miejscowy, zapłaci za taki sam wagon żyta rubli 56 kop. 40. Nadto, ponieważ zboże, do Rosyi prowadzone, nie opłaca cła, zdarza się często, iż producent pruski sprzedaje swoje zboże do Królestwa, a ponieważ otrzymuje zwrot całego cła, jakie rząd od zboża zagranicznego pobiera, robi dobry interes, ale rynki krajowe zalewa zbożem zagranicznym. Większą bodaj jeszcze szko-

dę wyrządzają tutejszemu rolnictwu i młynarstwu taryfy dróg żelaznych rosyjskich, mocą których mąka olbrzymich młynów nadwołżańskich zalewa tutejsze rynki po tych samych, co surowe zboże, sprowadzane taryfowych stawkach.

Zestawiając z sobą te stosunki, niepodobna nie przyznać, że rolnictwo w Królestwie Polskiem, mając od strony południa, zachodu i północy zamkniętą granicę, już to wysokimi cłami zbożowymi, już to samowolnym zakazem przepuszczania zwierząt domowych pod pozorem względów sanitarnych, a z drugiej strony zalewane na dalekim wschodzie tanio produkowanymi i po różniczkowanych taryfach sprowadzonymi zbożem i mąką, i zasilane nadto bydłem na stepowych trawach tuczonem, w wyjątkowo trudnych ekonomicznych znajduje się warunkach, dusząc się w swym własnym tłuszczu.

Do uzupełnienia tego położenia dodać jeszcze należy obciążające własność większą służebności włościańskie. Z 263,738 osad, którym w 1864 r. nadane zostały służebności pastwiskowe, pozostało po dzień 1 Stycznia 1900 r. nieulożonych jeszcze służebności 41.24% osad, z leśnych zaś przyznanych 278,645 osadom pozostało po tę samą datę nieulożonych 33 4%, przy wzrastających ciągle ze strony włościan żądaniach coraz wyższego za zamianę służebności wynagrodzenia. Zdaje się że obecnie i władza państwowa podziela w zupełności opinię publiczną pod względem szkodliwości służebności i potrzeby ostatecznego stosunku tego sprawiedliwie, ale bez wywołania ze strony włościan wstrząśnięć, uregulowania. Otóż o ile nam się zdaje, tutejsze komitety gubernialne, z obawy właśnie takich wstrząśnięć, wyraziły opinię, że uregulowanie służebności należy nadal pozostawić dobrowolnemu porozumieniu się stron, przy zmianie pewnych form proceduralnych, porozumienie ułatwiającej. Opinii tej nie podzielamy, raz dlatego, że więcej, niż wątpliwem jest, aby na drodze tej obalamuceni włościanie szybko wytrzeźwieli, a drugi raz dlatego, że jesteśmy przekonani, iż załatwienie kwestyi służebnościowej, we względnie krótkim przeciągu czasu i bez obawy wstrząśnięć ze strony włościan jest i możliwe, i łatwe.

Niema najmniejszej wątpliwości, że niechęć zawieraniu umów o zamianę służebności lub nadmierne ze strony włościan wymagania z jednej, a mogące się wydarzyć niedostateczne zaofiarowanie za nie wynagrodzenia ze strony właściciela obciążonego służebnością

majątku, pochodzi przede wszystkim z błędnego¹⁾ pojęcia wartości służebności i nieznanomości przepisów obowiązującego prawa, które objaśnia dokładnie istotę, rozmiary i stosowanie praw służebnościowych. Fakt zaś, że w ciągu lat 38 służebności nie zawsze były obowiązującym prawem rządzone, twierdzenia tego bynajmniej nie osłabia. Tak wytłumaczona chwiejność i niechęć włościan do zawierania dobrowolnych umów, spotęgowaną została—jak się to samo przez się rozumie,—podszeptami pokątnych doradców, nadmiernymi wynagrodzeniami, przyznaniem przez tych właścicieli, którzy z tych lub innych powodów zmuszeni zostali ułożyć się o zamianę służebności za jaką bądź cenę, a często także błędnymi pojęciami i panów komisarzy włościańskich.

Jeżeli się obawiamy wstrząśnięć ze strony chłopów przy zamianie służebności z urzędu, dlatego że chłop ten błędnie ma o swych prawach pojęcie; to najpierwszym obowiązkiem władzy powinno być pojęcie te wyprostować. Zaniechanie bowiem tego obowiązku, uleganie błędnym pojęciom i przyjęcie ich za punkt wyjścia przy uregulowaniu danej palącej kwestyi społecznej, byłoby słabością, mogącą doprowadzić do bardzo niepożądanych rezultatów. Taką słabością wydają nam się opinie, przedstawione w komitetach gubernialnych, doradzające usunięcie służebności pozostawić nadal dobrowolnym umowom, przy zmianie niektórych proceduralnych formalności.

Obowiązującym, bo żadnym ukazem nie odwołanem prawem w kwestyi służebnościowej, jest art. 690 kodeksu, oraz objaśniające

1) Do jakiego stopnia może dojść obłąd włościan w kwestyi służebnościowej, służyć może następujący prawdziwy i znany nam dobrze fakt. W pięknych i znanych dobrach na Podlasiu, gdzie stosunek włościan z dworem jest najserdeczniejszy, mogący służyć za przykład dla całego kraju, właściciel znacznymi ofiarami ułożył się o służebności leśne ze wszystkimi wsiami, z wyjątkiem jednej, która układać się nie chciała. Aby zakończyć ostatecznie tę sprawę, właściciel zwołał włościan odpornej wsi i ofiarował o wiele wyższe wynagrodzenie, niż to, za jakie ułożył się z innymi wsiami, a mianowicie po 10 morgów dobrego lasu na osadę. Chłopi ucałowali jego rękę, ale oświadczyli: „Chociażby Jaśnie Pan dał i po 15 morgów, to my i tak nie przyjmujemy.“ Rezultatem tego było; że komisya siedlecka oddzieliła osobny kawał lasu, na którym włościanie ci wykonywają swoje służebności.

go prawo sejmowe z dnia 16/28 czerwca 1830 r. (D. P. Tom XIII str. 111). Prawo to wyczerpujące i jasne we wszystkich szczegółach, przystępnem jest do pojęcia każdego zdrowego na umyśle włościanina.

Otóż jesteśmy głęboko przekonani, że gdyby władza drogą licznych plakatów prawo to w gminach kraju do wiadomości włościan i zastosowania się podała, opatrzywszy równocześnie p. komisarzy włościańskich w odpowiednie potrzebom instrukcye, i gdyby ogłosiła, że się pozostawia dwa lata czasu do zawierania dobrowolnych umów o zamianę służebności, i że po upływie tego czasu służebności, na żądanie każdej strony, będą na podstawie tego prawa z urzędu zniesione; to niezawodnym rezultatem tego byłoby, że chłop wytrzeźwiał-by, pokątni doradcy zamilkliby i służebności bez żadnych ze strony włościan wstrząśnień, zostałyby w krótkim uregulowane czasie.

Zaprowadzone od lat paru stowarzyszenia rolnicze gubernialne i syndykaty są niezawodnie cennymi instytucjami, mogącemi pod wielu względami przyjść z pomocą rolnictwu krajowemu; ale wobec więcej niż trudnych warunków ekonomicznych, o jakich dopiero co była mowa, są bezsilne. Pozostają więc jedynie t. n. komitety rolnicze gubernialne, na których ciąży obowiązek rządu zwracać uwagę na gniotące rolnictwo krajowe stosunki.

Walcząca z temi stosunkami większa, do upadku chyląca się, własność ziemska, na domiar złego, nawiedzona została w dwóch przedostatnich latach klęską ogólnego nieurodzaju, który, pomimo szeroko zastosowanych ulg w odroczeniu należności podatkowych i rozkładzie rat, T-wo kredytowemu przynależnych, wyczerpał i wszelkie zapasy, i wszelki kredyt prywatny najliczniejszych i już znacznie odłuzonych właścicieli ziemskich. Z tym groźnym faktem zbiegła się pozornie dziwna, a jednak naturalna okoliczność, że wartość sprzedażna ziemi w ostatnich czasach podniosła się w cenie. Podniosła się znacznie w okolicach, w których parcelacya folwarków dworskich, przy pomocy banku włościańskiego, wielkie przybrała rozmiary, o wiele zaś mniej w okolicach, w których włościanie o ziemię nie konkurują. Nieznaczna zaś ta podwyżka tłómaczy się znów obfitością luźnych kapitałów, które, wskutek upadku przemysłu, bojąc się lokować w nim pieniądze, wolą je lokować bezpiecznie w ziemi, zadawalniając się chociażby najniższym procentem.

W obec groźnego już położenia większej własności ziemskiej, T-wo kredytowe ziemskie uczuło się w konieczności ratować ją od

upadku dwoma sposobami. Opierając się na zwiększeniu się cen ziemi rozszerzyć, skalę pożyczek drogą dość znacznego podwyższenia cen taryfowych użytków rolnych oraz cen drzewa w lasach, nie przekraczając wszakże wysokości pożyczek poza połowę szacunku kredytowego majątków. Celem zaś jedynie w obecnych ekonomicznych warunkach możliwego podniesienia dochodowości majątków na drodze zwiększenia plonów, osiąganym z gospodarstwa rolnego, T-wo postanowiło zająć się zaprojektowaniem Ustawy, mającej na celu zapewnienie stowarzyszonim rolnikom możliwości otrzymania osobnego kredytu melioracyjnego na drenowanie wadliwych ziem, osuszanie i nawodnianie błot, oraz wadliwych łąk i pastwisk, i przerobienie ich tym sposobem na urodzajne łąki.

Opracowany w jesieni roku zeszłego projekt nowych przepisów taksowych będzie niebawem ministrowi finansów do uznania i zatwierdzenia przedstawiony. W możliwie szybkim następstwie opracowany i przedstawiony ma być projekt ustawy, kredytu melioracyjnego dotyczący.

Być może, że praktyczne względy wymagałyby, aby kwestya kredytu melioracyjnego poprzedzała kwestyę rozszerzenia skali pożyczek, a przynajmniej, aby obie te sprawy, jako ściśle z sobą związane, równocześnie były przedstawione; groźne jednak położenie własności ziemskiej, szybkiego potrzebującej ratunku, zmusiło władze Towarzystwa do przyjęcia innego porządku.

Jeżeli oba projekta, silnie wymotywowane, zyskają — jak się spodziewać należy — życzliwe przyjęcie i zatwierdzenie pana ministra finansów, niema najmniejszej wątpliwości, że położenie większej własności ziemskiej znacznie się ożywi i poprawi. Czy taka poprawa zdołałaby się utrwalić, jest kwestyą, której przesądzać nie śmiemy.

Faktem jest, że potęga ogromnych kapitałów, szukających procentowania, zdołała wytworzyć nowy ustrój handlowy, ogarniający wytwórczość towarów całego świata, i zniżywszy koszt transportu do możliwego minimum, usunąć do pewnego stopnia odległości geograficzne. Taki ustrój olbrzymiego handlu, wymiennego i usunięcie odległości musiały w odpowiedniej mierze zubożyć różnice kosztów produkcji, zależne od miejscowych warunków ekonomicznych i obniżyć cenę światową wszystkich towarów, przedewszystkiem zaś surowych, do których należy zboże. Tem też tłómaczy się wielka obniżka cen niokej produkcji europejskiej zboża wobec olbrzymiej produkcji onego na dziewiczych przestrzeniach Ameryki, Australii, Afryki

i Indyi wschodnich, przestrzeni, których część zaledwie mogła być poddaną rabunkowemu rolnemu gospodarstwu ¹⁾).

Tak uzasadnione ogólne europejskie rolnicze przesilenie, o charakterze chronicznym, własność ziemską do coraz to wyższego odłuzenia zmuszające i rolnictwo do koniecznego upadku wiodące, spotęgowane zostało w Królestwie Polskiem taryfami różniczkowemi, o jakich wyżej była już mowa.

Na takim trzeźwym i realnym gruncie przekonań stojąc, uważamy za logiczne przewidywanie, że z pomiędzy majątków ziemskich, ogólnem prawem krajowem rządzonych, pewne warunki trwałości posiadac będą:

- a) latyfundiya,
- b) majątki, które główny swój dochód czerpią ze sprzedaży porębów leśnych;
- c) majątki, posiadające względnie obszerne łąki, obfite i dobre wydające siano;
- d) majątki, w bardzo dobrej i urodzajnej położone glebie, lub rozumnie przeprowadzoną melioracją doprowadzone do wysokiej urodzajności, i
- e) majątki, zasobne w rozporządzalny kapitał, które posiadają zdrowy, na względnie szeroką skalę rozwinięty, przemysł, z rolnictwem złączony.

Do niego zaliczamy mleczarstwo, ogrodnictwo i sadownictwo, uprawiane w folwarkach, położonych w bliskości większego zbioru ludności miejskiej, lub fabrycznej. Dalej gorzelnictwo, produkcję buraków cukrowych i ich nasienia, produkcję cykoryi, produkcję nasienia koniczyn i wszelkich traw pastewnych, i wreszcie produkcję wszelkiego rodzaju inwentarzy rozplodowych, jak bydła, owiec, nierogacizny, koni i t. p.

Folwarki, do powyższej kategorii nienależące, oparte jedynie na produkcji ziarna i mniej więcej odłuzone, nie będą mogły znieść kosztów chociażby najoszczędniejszej administracji, utrzymania rodziny i kosztów opłaty podatków, i rychlej, czy później, będą musiały uleść parcelacji. Ewolucya w tym kierunku postępuje swoim trybem: własność większa coraz to więcej topnieje, a mała w tym samym stosunku rośnie. I wypełni się biegiem wypadków i ręką Opatrzności nakreślone przeznaczenie, że posiadacze małej własności ziemskiej staną się słupem pacierzowym naszego społeczeństwa. Potomkowie upadłych właścicieli ziemskich, w największej liczbie pocho-

¹⁾ Porównaj wyborną pracę: „Sprawa rolna“ S. Kempnera. „Badania szkice ekonomiczne“. Warszawa, 1902.

dzenia szlacheckiego, rozpląną się w różnych zawodach społeczeństwa, wnosząc do niego te dodatnie przymioty, jakie wynieśli z rodzicielskiego domu, a na topniejącej, ale utrzymującej się na powierzchni większej własności ziemskiej pozostanie zawsze zadanie wypełniania obowiązków, przez pana Ludwika Górskiego wskazanych.

ALEKSANDER KLOBUKOWSKI.

O Bohdanie Zaleskim.¹⁾

V.

Kiedy Bohdan Zaleski powiada, iż trzeciej strunie teorbanu jego na imię: „Słowiaństwo“, to nie należy imienia tego mieszać z nazwą „Słowiańszczyzna“. W ten tylko bowiem sposób uchwycić można dźwięk struny tej czysty i niesfałszowany.

Jakoż rozróżnienie to nie jest przygodnem, ani fantastycznym; ono wynika wprost i bezpośrednio z żywego czucia istotnych, głębokich różnic między jednym a drugim pojęciem, tak co do samej pojęć tych natury, jak i wzajemnego stosunku ich do siebie.

Słowiańszczyzna—to przedewszystkiem określenie różnorodności w jednym plemienu zawartej, a zaważonej przebiegiem krótszych lub dłuższych dróg dziejowych i w ślad za tem idących przeobrażeń, innoplemiennych domieszek, tudzież poszczególnych cech i właściwości w drogach tych nabytych, lub wypracowanych. To pojęcie historycznego zróżniczkowania się ludów, z jednego pnia idących, ich terytoryalnego rozmieszczenia, rozbieżności zadań i celów, które niezależnie od wytycznego plemiennego prądu, a nawet wbrew prądowi temu, powstawać mogły w różnych okresach dziejowego istnienia.

Słowiaństwo—to abstrakcja i synteza Słowiańszczyzny. To jej posłannictwo dziejowe. To pojęcie jej ideałów najwyższych, jej pra-

¹⁾ Patrz zeszyt listopadowy, 1902, str. 292.

dów najgłębszych, jej celów i zadań ostatecznych, bez względu na to, czy w danym momencie historycznym znajdują one w Słowiańszczyźnie urzeczywistnienie swoje, czy go nie znajdują, jak również bez względu na to, czy ludy słowiańskie dopełniają ich świadomie, czy też nieświadomie, a nawet—czy je uznają, czy ich nie uznają.

Słowiaństwo to Duch Słowiańszczyzny. Duch, który przez Słowiańszczyznę samą zgwałcony może być i zaparty, zaprzędany i zdradzony, ale który zabity w niej być nie może.

Ludy Słowiańszczyzny mogą być sobie bliskie lub dalekie, bratnie lub wrogie; te wszakże, które zachowały w pewnym stopniu czystość swą plemienną, nie mogą odpaść od Ducha Słowiaństwa.

Kiedy Bohdan Zaleski chce znaleźć dla ducha tego najściślejsze i najbezpośredniejsze określenie, szuka go w samym ognisku pracy i nadziei, szuka go—w młodości.

— „Słowiaństwo—mówi—rodzaj na wieki młodzieńczy“.

To znaczy rodzaj wolny od zestarzeń duszy w negacyi, w pesymizmie, w beźmiłości i w gnuśnym bezruchu.

Rodzaj tych, którzy są obrócenii ku jutrzennym blaskom dni przysłych, którzy idą ku ideałowi. Tych, którzy śpiewają pieśń życia i pieśń zapalu. Tych, których dech unosi się zawsze i wszędzie ku wielkiej wiośnie ludzkości, ku pokojowi i pogodzie świata.

„Rodzaj na wieki młodzieńczy“, to pełnia siły, pełnia woli życia. To pożądanie światła, to wzmożone tętno myśli, to gotowość do ofiar, to heroizm serca.

Ale za czasów poety już Słowiańszczyzna była od ducha Słowiaństwa daleko. Była tak daleko, że najbliższe pola życia zgoła związku dwu tych pojęć nie obejmowały. Że okazało się wprost niepodobieństwem tłómaczyć je na język współczesnych wrażeń i osobistych doświadczeń, które, zebrane w burzliwej dobie walki i klęski, stawały się związku tego zaprzeczeniem jaskrawem, bolesnem. Gdy wszakże, mimo to, struna owa drżała na sercu poety i chciała dźwięk swój wydać, gdy marzenia przeciwstawne otaczającej go rzeczywistości poczęły go nawiedzać i duszę mu pożądaniem stroić, cofnął się poeta ku prastarym źródłom historycznego bytu Słowiańszczyzny, kiedy ta pełną jeszcze była ducha słowiaństwa. cofnął się na „Jug“, o którym mówi, że jest w Słowiańszczyźnie, jako dziecię. Ale i tu zaszedłszy, musiał od zmaczonego ciekłu ostatnich czasów iść wstecz, ku pierwotnym krynicom świeżości i siły, het, precz, aż do zatajonych świętych uroczysk, z których pieśń wyszła była niegdyś na lirach dziadów srebrnych, homerycznych Rapsodów Słowiaństwa,

a teraz oto podawała, przez Wuka Karadzieza wywołane echa, na oczarowanie i dziw nietylko pokrewnych, ale i obcych ludów ¹⁾.

Te echa uderzają w samą pierś Bohdana. Wnet cały jest porwany i rzucony ku nim. Wnet przypomina sobie długie warszawskie rozmowy z Brodzińskim o nadzwyczajnej pieśni tych piękności; wnet chce ten „Rodzaj na wieki młodzieńczy“, z którego ducha pieśni one biją, podnieść do jakichś mistycznych wyżyn, do rodowodów ziemskich.

Słowo przed wieki było na początku:
Słowianie — z tego bożego my wątku.“

Już mu za mała jest sława, karci tych, którzy z niej nazwę „Słowian“ wywodzą, Zygmunrowskim wiekiem się zastawia w którym pisano i mówiono: „Słoweńce“. A jeśli ród idzie po słowie oczywiście, że i pieśń pośledniejszego pochodzenia nie jest.

„Pieśń po słowiańsku słowo, słowo boże,
Niby wieść z nieba...“

Więc kiedy się ta pieśń wskrzeszoną uznała i narodziła uszy Europy przesłodkim i męskim swym dźwiękiem, kiedy za pieśnią zaczęto odkopywać gruzem wieków zasypaną przeszłość pobratymczych plemion, Bohdan Zaleski nietylko „Lubuje bardzo w słowiańskim tym gwarze“; ale z uniesieniem „klaska od mogił wkrąg na rozgraniczu“, ku tym, którzy ducha Słowiaństwa i pieśń jego dźwignęli z prochu zapomnienia i woła:

— „Tak, Szafarzyku! Tak, tak, Kopitarze! Pieśni hej dawaj, Wuku Karadziezu!“

I nie czekając, aż Wuk Karadziez w całości je poda, odkrywa w sobie, — jak pisze do Grabowskiego Michała— „szczerosłowiański talent i tłumaczy pyszne ułamki serbskiej epopei, tak cudnie a prosto, jakoby je Serbowie i współplemienni Polanie, razem przed wie-

¹⁾ Zebrane przez Wuka Karadzieza pieśni serbskie, tłómaczone były na język angielski, francuski, niemiecki i inne.

kami wyśpiewali byli, zaś rozszedłszy się zapomnieli wspólnej pieśni, a teraz nagle, za powianiem jakowychś tchów bożych, pieśń ową przybaczyli tak żywo, że śpiewać ją mogą zgodnym chórem, każdy w swoim słowie. Tak stały się własnością naszą one przedziwne „Rapsody Gęślarskie,“ jak je Bohdan Zaleski nazywa, one pieśni o Carze Łazarzu i o Kossowskim boju“, przelane w śpiz polskiej mowy, pod miarą i wagą tak ścisłą, iż zdaje się, że niema tam jednej zgłoski użytej zastępczo i w przybliżeniu tylko, na miejscu której stałby mogła inna jakaś zgłoska. To też wiatr czasu, który zazwyczaj na takie pokłady jednej mowy, przysypujące pokłady mowy innej, z borealną surowością wieje, z tego,—dla jego ogromnej zawartości i wagi, nie zdołał dotąd odwiać nic, w stronę lekkiej i nieważnej plewy.

Rozbrzmiał nam tedy donośnie, szeroko, gwar owych czasów i ludzi, kiedy w królewskim Pryzrenie Car Duszan sławnie panował, a z wojewody swymi do stołów biesiadnych i do rady siadał.

I błysnęły nam w oczy pióra i kołpaki junaków, łowcze sokoły, szczerozłote czasy, i twarze niewieście rąbkami zawite a cudne.

A tuż zahuczał łomot głazów ciosanych na fundamenty Rawanicy kościoła, kościoła, o którym lud świadczy w pieśni, że go „zbudował król o własnym chlebie, o własnem mieniu, tak, że nie było w nim lży jednej sieroczej“.

I rozległy się ojcowskie słowa Cara Duszana, i mądre, ważne słowa sędziwego Juga, i bystre, chytne mowy Miłosza wojewody, i głos słodki Milicy dziewicy, zaswatanej Łazarzowi, według ksiąg wróżebnych.

Bo szły już czasy poślednie, a „Roki Boże“ pogrzmiewały już groźnie nad światem. I zachlustał, zaszumiał Dunaj—rzeka, od kopyt wojsk sułtana Muradowych, i od strzał tureckich zachlustał. A sułtan Murad drobne listy pisze. Na bój cara Łazarza wyzywa. Na bój, albo na haracz, na śmierć, lub na niewolę, wedle tego, co Łazarz wybierze.

I obiera car Łazarz i obrał. Bój obrał, choć wie, że poleże. Cyt to jest bowiem Słowiaństwa prawy, a duch nieustraszony i ofiarujący się ofiarą całopalną w nim mieszka.

I rozległo się, rozeszło Kosowe pole, rozeszło się równiną śmierci.

A przed Kosowem ostatnia biesiada w królewskim Kruszewcu. Car Łazarz wznosi ostatni raz czarę, i probuje przezdrowiem i słowem wojewody swoje, który zdradzi a który nie zdradzi.

A przed Kosowem ostatni sen, nadranny sen wróżeby.

„Obieraj, Carze Łazarzu, królowanie ziemskie, albolu niebieskie.“

I obiera Car Łazarz i obrał. I dał stawić ołtarz na Kosowem i wojskom swoim kazał się kajać grzechów, a mieć się ku śmierci. Bo ze śmierci żywot wykwita, żywot ziemi, gdzie legną pobici.

I rozgrzmiało Kosowe bojem. Bojem sławnym i bojem śmiertelnym.

I trzasnęły o siebie dwie moce, i zniosły się, jak się znoszą dwa gromy.

I legły tysiące po tej stronie, i tysiące legły po tamtej, po każdej stronie legły dziesiątki tysięcy,

„Całe wojsko dostojne i święte“

I odsieczona jest Łazarza głowa, głowa króla-wodza bohatera, i zatopiona w jasnych zdrojach kosowskiej krynicy.

I stoi w jasnych zdrojach krynicy pół wieku, i świeci ze dna miesięcznem światłem, świeci cudem nadziei ludowi.

A kiedy tak za Wukiem Karadziezem śpiewa Bohdan, duch Słowiaństwa, duch męskiej woli, zapalu, ofiary, wyjawia mu się ogromną wizją praplemienną. Jest u źródeł świętych poezyi. Poezyi słowa i czynu. Jest u źródeł siły życia i natchnienia życia.

Dobrał się też jakiejś wielkiej kopalni języka. „Gdzie nie spojrzeć srebrna żyła, samorodna złota bryła. Skarb ogromny a nietknięty, na ołtarze, na korony“.

A po skarbnicy onej słaniają się dwa wielkie cienie.

Jeden to Nestor, mnich, „latopisiec surowy“. Drugi, to „słowik zamierzchłych lat“, to wieszczę Bojan słowiaństwa.

I zamieszkiwa tam zaraz poeta duchem, jak w domu ojcowym, i poufali się z owym światem przedziwnej świeżości i krasy.

I śni mu się jakieś wielkie „Jaro“ Słowiaństwa, i woła w zachwycie: „Zaprawdę! Nigdy my nie będziemy starzy!“

Bo oto przed oczyma jego czynią się jakieś rzeczy proste a wieczne.

Coś się dźwiga, zakwita, buduje i wznosi; coś przyszłość w tej pracy poślubia. Jakaś moc przemaga cząstkę i jej cele na rzecz całości, na rzecz dobra wszystkich.

A kiedy najwyższe dobro całości tej jest zagrożone, „Rodzaj na wieki młodzieńczy“ idzie świadczyć młodości swojej i wierze,

idzie poledz na Kosowem, idzie dać żywot za sprawę, którą w sercu swem rozsądził, iż warta żywota.

A gdy poległ jako był rozsądził, stanęła na bojowisku Pieśń, i nieśmiertelne palce na strunach wiatrzanych kładzie i wznosi życia śpiew. Na polu śmierci śpiew życia wznosi, aż życie z mogił wybuchnie.

Ten ci jest krąg opieśnionego bohaterstwa. Bayardowski krąg sławy i śmierci, uwity z kwiecica i żelaza, o którym sprawiedliwie powiedziano, iż stokroć cudniejszy jest, niżeli krwawy pierścień Nibelungów. Ten ci jest krąg i opisanie trzykroć święte, do którego dotarł czuciem poeta, i w którym Duch Słowiaństwa wyjawiał mu się głębokiami, niezniszczalnymi rysami ideału, ofiary, nadziei.

.

VI.

Najwyższy blask, najgłębszy ton, najczystsze i najrozleglejsze brzmienie ma na Bohdanowej lirze struna Ukrainy. Od pierwszego jej drgnięcia poznać można, że jest to struna magistralna tej liry. Że panuje nie tylko nad innymi jej strunami, ale i nad sercem lirnika.

Na innych musi on palce kłaść, aby z nich dźwięki dobyć. Palce człowiecze, zawodne, które podczas pomylić się, splątać, lub osłabnąć mogą. Ta jedna dźwięczy, jakoby sama z siebie, od potrącenia bijącego serca, a dźwięczy tak szeroko, roznośnie, zalewnie, że którąkolwiek strunę teorbenu swego poruszy pieśniarz, wnet struna Ukrainy brzmieniem swem ją głuży.

Chce poeta do Boga? Zaraz czuje, że:

„Z Ukrainy najbliższa doń droga“.

Chce do świata? Aliści zawraca w step, „w suche swe morze“, gdzie fale mogił się piętrzą i gdzie mu z pod mogił szepcą świata dzieje wielcy to miecza, to gęśli piastuni.

I niema na to rady „dla duszy kozaczej“, chyba że w innym jakimś słowiczym żywocie „sam Bóg inaczej wewnątrz mu ostruni“.

Teraz — Ukraina jest ogniskiem, z którego wybucha żywy płomień jego pieśni; jest ogniskiem czucia i natchnienia. Natelnienie to wyjawia się w sposób dwojaki: pieśnią swobody i pieśnią zadumy. Pieśń swobody jest śpiewem młodości i stepu. Szumi step bujny, szeroki, i młodość szumi bujna, skrzydlata.

Gdzie puścić wzrok, morze zieleni i barwnego kwiecica. Gdzie puścić słuch, pogwar burzanów i poświsty ptasie. „Skroś okolicą jarzącą się, siną, Boże śpiewaki ciągną w różne strony“. Ślicznych i świeżych dźwięków w powietrzu gra tysiące, a dźwięk każdy szumem wieje, „na wiatr czary swe rozwiewa“.

Wiosna idzie stepem. Czarodziejka mocna i upajająca. I sercem idzie wiosna, młoda, swawolna, rozkochana, śpiewna.

W powietrzu rozbrzęk gęślany, co nie wiedzieć skąd, wynika, a w piersi „srebrne i złote, lejące się tony“, co nie wiedzieć, gdzie lecą, gdzie płyną.

Czasem — niewypowiedziane rzeczy! — „słowik zawodzi, wietrzyk chucha wonią z kwieci, aż dusza omdlewa“; a tam, jakaś wietrznicza wiośniara „pływa, nuci na Tychyni“, wabi, mruga na Bohdana, przyśpiewywać sobie każe

„Na ten głos ptasi, to na ten głos ptasi!“.

A gdy już utrafił w one ptasie głosy, znów przygaduje, i znowu kaprysi:

„Inaczej! Milej! Miłośniej-no jeszcze!“.

I stroi mu duszę na najpięciwsze tony majowego ranka.

A tam, pod gajem, dziewczęce słyhać śmiechy. Czarują. Ani chybi, że czarować muszą, bo „po Rusalkach każda czarownica“.

„Żebyż podejść je z ostrożna,
Żebyż to co wiedzieć można!“.

Bo co jest ciekawe, że choć poeta czarów boi się niby, lgnie przecież do czarownic bez ratunku zgoła.

Ha, cóż! Wie, że „będą czary, psoty, ale będą i pieszczoty“ Zresztą musi wziąć „oczarowanie na pieśniarne życie“. Jakoż bierze je, to oczarowanie, ale na swój sposób. Te kręgi, które dokoła niego

w „Rusałkach“ zatacza lekka, taneczna Zoryna, to jest nieprzestępiony i zamknięty pierścień poetyckiego żywota: troiste koło miłości, guślarstwa i pieśni, pełnia pieśnianej i gęślarskiej doli.

Każdy inny brałby inicjację taką od geniusza, od muzy, o ile nie wypróbowiłby go sam z siebie. Bohdan bierze ją od swawolnej ukrainnej dziewy. I nietylko ją bierze, ale odrazu ulega czarowi z zupełnem oddaniem się jego czyniąjącemu działaniu. Gdzie go postawią — stoi; na co mu patrzeć nie każą — nie patrzy, na co chcą przysięgi — przysięga; słowem, raz jeszcze stwierdza zupełną bierność w tem wszystkim, co mu na duszę czarem Ukrainy pada. A kiedy Zoryna przegraża swawolnie: „No, zobaczysz!“ — on, już cały w głos jej do bezwoli, do bezpamięci wsłuchany, echem powtarza: „No, zobaczę!“.

I widzi. Dziw widzi, cud, przemienienie zupełne rzeczywistości na ów „sen na kwiatach“, którego odtąd nigdy już nie prześni. Nie dziewczęta widzi, nie czarnobrewy płochy, wiejące w powietrzu mglistą bielą szatek, ale Rusałki, tajemnicze boginki stepowe, odprawujące taniec swój wróżebny. Widzi objawienie sił przyrody stepowej, widzi samo wcielenie czarów Ukrainy.

I natychmiast jakaś niespodzianość, jakaś nieobliczalność wchodzi w jego życie duchowe, jako czynnik nowy i wskroś fantastyczny, a świat mu się mieni w oczach tak, że tych kilku, śmigających po zroszonej trawie tanecznie policzyć nie jest w stanie. „...Trzy, pięć, siedem, do dziesięciu“. Ile właściwie, tego nikt nie zgadnie. Bo już czar działa. Już ogarnął oczarowanego ten przedziwny, prawdziwie poetycki zawrót głowy, który mu nietylko rzeczywistość zdmuchuje z przed oczu, jak żart i jak fraszkę, ale który nawet samej wizji ustalić się, jako zjawisku, nie daje, zacierając kontury, liczbę, osobowość, w jakiejś czarownej fantasmagorii splatających się i rozplatających kół tanecznych, tak, że zjawisko staje się jednym wrażeniem ruchu, rytmu, lotu.

Jakoż całość tej rusałczanej impresji jest w najwyższym stopniu muzyczna, a tak rozwiewna, że nie zostawia w duszy konkretnego obrazu, tylko niepochwytne, goniące się echa. Ona sama jest echem wiosennej pieśni stepu. Pieśń nie w duszy poety się poczęła, ale w wielkiej duszy stepu. Poeta zaklął ją do życia, i nie on odkląć ją jest władny. Stał na drodze jej, kiedy przewiewała pomiędzy ziemią a niebem, i oto wziął ją w siebie, jak harfa, i dźwicyz nią sam, jak ruszona struna.

Odtąd muzyczność stepu przeważy w pocie plastykę stepu. Odtąd nie będzie nam Bohdan malował Ukrainy, ale będzie ją śpiewał, a raczej będzie współśpiewał z jej stepem.

I wleczą „Szumki“ jego ruszałczanym śladem lekko, tanecznie, i zakrażą nad burzanami polotnym, fantastycznym rejem.

I urodzą się, i rozśpiewają owe „Wiośnianki“, owe prześwieże „Allegra“, o niebywałych rytmach, przygrywkach, przyśpiewkach, podszeptywanych przez tańczące „po młodziku“ rusalki, które płożyć go będą, jak słowika, w niespane, krótkie noce wiosenne, do miłości, do pieśni, do lotu.

Urodzi się ta poezya majowego ranka, ta niefrasobliwa pieśń swobody i radości życia, jakiej przedtem nie bywało u nas.

I zatęczaż w niej mocne blaski i kolory wiosny, i rozwinie się do pełni kwiat nowy, bujny, prawie że ogzotyczny, przez swoją zupełną inność od naszego kwiecica. I nagle, bez żadnego hasła i obwołania, bez żadnej teoryi, bez żadnego sporu, bez opowiedzenia się pierwszym strażom poetyckich obozów, zapachną, zakraśnią te wonne, te młode i szumne pieśni, ani się nie troszcząc, jak przyjęte będą.

Z jakąś naiwną samowolą, z jakimś rozigraniem dziecięcym, zaściela, zakwieca ziemię, jak barwinek, umają, jak ruta, i uczynią sobą w naszej poezyi, ogromnie żywą wiosnę.

A nie będą to pieśni miłosne, ale w najwyższym stopniu rozkochane. I nie będą to pieśni namiętne, ale swawolne, a czyste. I nie będą to pieśni na tę, lub na ową nutę, ale na wszystkie głosy i westchnienia, na wszystkie echa i poszumy, na wszystkie rytmy i tętna majowej, słowiczej nocy.

I nie będą opiewały pieśni te uroków stepu; ale sam step zajarzy w nich sobą i wyjawi się w nich całym swym urokiem, całym czarem bezbrzeżnej swobody. To będą pieśni, z oczarowania duszy wprost idące i miejące czarem; pieśni, ukąpane w lubystkach na miesięcznym nowiu; pieśni, które „co zechcą, to z nami zrobią“. To będą pieśni „czarnoksiężskie“, pieśni — ruszałczane.

Przy całej swojej lekkości i pustocie, pochwyca one głęboką, prastarą wiedzę ludową; a choć zabujają lotnie, wysoko, ciężkie będą miodem mądrości ludowej, ważnej, a słodkiej nawet w swych gorzkościach.

Uwielbią i na jaw wywiodą pierwiastek żeński w naturze, w guslarstwie, w miłości. Uwielbią w nim przewagę lekkiego, bachicznego, a przecież śmiertelnego piękna. Przewagę płomienia, wichru, fali, nad ciężką grudą żywota.

Uwielbią jakieś spiknięcie się, zszepianie pierwiastku tego z mocami przyrody; jakieś wiedzenie ważne a osobne rzeczy zakrytych, wyrocnych; jakieś głębokie, tajemnicze porozumienie z siłami życia i śmierci, rodem z matek na córki idące. Porozumienie, które nie będzie miało w sobie nic ponurego, nic zbrodniczego, ale się oprze

na jakiejś żywiolowej, więc prawie że bezwinniej demoniczności istot lekkich, wdzięcznych, nieodpowiedzialnych, a mających moc „zrobić, co zechcą“. I zaroją się te pieśni rusalczanem pogłowiem swawolnych wietrznic, pływaczek, rybaczek, tanecznic, „hasających na urodę porosie“, latawic, czarnoksiężnic, kąpanych w mleku „na młodziku“, wabiących, urokliwych, pustych, z których każda „czarów umie bez liku“.

I odda im się poeta duszą i ciałem, i wyczy się, wypatrzy nie-mało z ich mocy.

I będzie „dla pustoty, dla igraszki, puszczał dumki, jako ptaszki“. I będzie śpiewał, „co mu się śni, i co nie śni, na zieloność wieczną pieśni“, na wieczną jej wiosnę, która teraz jeszcze tchnie na nas swe czary, swe wonie.

A tam, w dali, w oddali, rozdźwięczą śmiechy i głosy wyroczone:

„Ty rusałkowy!.. Nasz!... O, tylko nasz!“.

I będzie w tych głosach i śmiechach akcent tryumfalny, zwycięski, zdobywczy, prawie że okrutny w swej wyłączności i niepodzielnem władztwie.

A tak zamknie się dokoła oczarowanego taneczny, lekki, śmiertelnie urokliwy krąg rusalczanych mocy na całą wiosnę Bohdanowej pieśni.

VII.

Ale step nie zawsze stoi w kwiecie, a wiosna życia przemija. Rusalczane czary ulatują razem z puchem okwitłych bodziaków, „orumeniona obrzaskiem woda Limanu“ ugasa w pełnym dnia świetle.

Miłość i jej uroki nie wyczerpały w młodym sercu całej rozkoszy życia, całego pożądania swobody, całego pędu i polotu ku niej.

Pieśń majowa wyspiewana, czara wiosennych upojeń dopita. Inne żary chcą być ugaszone, inny ton życia chce głosu.

Więc kiedy słońce się wzbiło, a rusalczane, mgliste rąbki opadły nad Rosią, Rasawą, oczarowany widzi, że poza „kwietnym ługiem“ i poza „konwaliowym brzegiem“ jest jeszcze jakiś świat inny, szeroki, daleki i zgoła nieznany dotąd. Czuje, że pierścień czarów

i uroków pęka, rozmyka się u jego piersi, że mu nad słodkie pęta rąk Zoryny miłsza jest dzika i junacza „wola“. On już nie wzdycha, nie przemyśla nad tem,

„Żeby coś widzieć, coś wiedzieć można“.

Widział już. Już wie, co chciał wiedzieć. Przelatał — latawiec śpiewny — zaczarowane kraje dziwów i zachwyków.

„Sokół, chart i koń“ nęcą go teraz więcej, niż podpatrywanie pomiesięcznych, wietrzanych tanecznic. Żywił fantastyczności pierzcha przed butną fantazyą szumnej, młodej siły.

I oto otwiera się przed nim jakaś przestrzenność, nieobjęta, ogromna, bezkresna, wołająca w siebie na wichrowe, szalone, nieokielznane pędy. Ukazują mu się jakieś niezmierne, świetne dale, jakieś olśniewające perspektywy zamżone słonecznym pyłem „młodociej“ sławy.

Spostrzega nowe cele, nowe do nich drogi; uczuwa nowe siły, nowe pożądania.

Jakaś ognistość, dzielność, jakaś męska pogarda miękkości i rozkoszy wypiera z wysoko bijącego serca dawną tkliwość, dawne rozkochanie. Wszystko się teraz żarzy, iskrzy, płomienieje. Jakaś stal wypala się i hartuje w ognisku duszy. Świat nowy krzyczy i rwie się do życia. Świat wolny, bujny, bogaty. Wola jest jego hasłem. Wola jest berłem i koroną życia.

Umilknął słowik w wiśniowym sadzie futuru, a nad stepem, nad szerokim, zakrakał brat-orzeł, brat-sokół. Sen ziele uwiędło, opadło; wysniła się z niego buńczuczna i orężna jawa.

Żywot uczynił się bojem. Występuje przewaga męskiego pierwiastku nad usidlającym uroków rusałczanych czarem. Same Rusalki nawet odczarowały się w stepowe krasawice. Nie chcą już przyśpiewek „na ten głos ptasi, to na ten głos ptasi“. Chcą tylko „sławnego junaka“. Wiośniany pęk róży, Zoryna, wykwitła w kwiat pełny, stepowy, w hetmańską czarnobrewę, która, zabaczywszy czarów, całym po ludzku

„Piękne oczy łzami mroczy,
Załamuje dłoń“.

Żadne uroki, żadne lubystki, nie zatrzymują w pędzie tej bujnej, męskiej młodości, rwącej ku rozmnożeniu się, ku spotężnieniu, ku poczuciu pełni swobody i siły. Życie stoi za mało, sława stoi za wszystko. Sława i zdobycz.

Przemożny instynkt rozszerzenia się, instynkt zaboru, tryumfu, trzyma na kulbace, na czajce, cały ród męski kozaczy. Zaciasno sercu w piersiach, zaciasno junakowi w domu. Tu, owdzie, wzdycha jeszcze i grucha jakiś rozkochany „Zołotarenko“, ale i ten się przegraża, iż rzuci niewdzięczne amory dla konia i szabli.

Napięcie młodych mięśni i młodych dusz junaczych nie da długo wytrwać w bezczynnie. Mięśnie prężą się, chcą zapasów, chcą walki, chcą wroga. Nie miłość, ale nienawiść szuka sobie ujścia. Dusza chce szerokiego oddechu, chce burzy, chce gromu, wybuchu. Świsł wicheru jest teraz jej rytmem, jej strojem. Wyrazem życia jest siła. Jest żądza wywarcia się siły.

Dawny rozbrzęk gęślany w powietrzu wzmaga się, rośnie, męźnieje, przybiera tonów i mocy.

Aż zbudził się step ze snu, który mu zadało czar-ziele, i rozbrzmiał, roztętnił się przyplływem wezbranego życia.

I rozwinęła się, zaszumiała, zachrzęściła nad stepem hetmańska chorągiew, na której Michał Archanioł, na koniu i w zbroi, zabija wroga - smoka.

A za chorągwią powiało tysiące krasnych czapek, „kit i chorągiewek“, tysiące rucianych, barwinkowych wianków, zatkniętych na spisy, zafurczało wstęgami na wietrze. Zagrały trąbki, zagrzmiały janczarki; hukiem, rozhukiem wleciały echa gromkie. I uczyniło się jakieś ogromnie junacze „powitanie stepu“, pławiącego się w słońcu i kurzawie, kipiącego życiem i bojową pieśnią, upojonego męską siłą i swobodą. I buchnął step szczękiem i brzękiem orężnym, buchnął grzmotem okrzyków, wiwatów, wystrzałów, trąb, kołtów, piszczałek i litaurów szumnych. I urodziła się pieśń nowa, pieśń stępowej swobody, junacza pieśń — „dumka“.

Rytm jej, to bicie stalowych kopyt po stepowym szlaku; to pogwar rozwitych na wietrze proporców, to zanoszenie się tysiąca męskich, rozgorzałych głosów. Rytm jej, to „szturm do Stawiszcz“, grzmot moździerzy, granie haubic. To ten zgrzyt, jaki Czarniecki, „nasrożywszy lice, czyni na popłoch żołnierstwu“. To okrzyk pomsty i trzaskanie w szable, gdy ginie kochanek i hohater Ukrainy — Daszko. To przeraźliwe rzenie konia, wpadającego między obozowe ognie samoluz, z pustym siodłem, z którego wichler bitwy zmiótł Bielnawskiego Janusza. To nadewszystko muzyczny tętent „wronego“, na którym hetman Kosiński w cwał leci do pułków, do żony, aż echa grają od Piatyhor i od Pawołoczy.

Rytm jej, to plusk czajek kozackich na Dnieprze; to bicie wiosel w zmaczone wody Limanu; to szum i huk walącej w pianach Taśminy, w którą junaki skaczą wpław i do Wyłowskiego, atamana, śpieszą.

To grzmiące echa okrzyków od Chortycy do Tawani: „Niechaj żyje niech hetmani, Konaszewicz, nasz koszowy!“. To znów nadewszystko ów junaczy a śmiertelny wybuch głosów: „Ura — ho!.. Ura — ho!..“, który, gdy zagrzmi, blednie i drży Synopa, a nad Bosforem pożarne luny się palą.

Wrzawa bojowa, huk, szczęk jest w tym rytmie. Jest w nim pęd, polot wichrowy. Jest rozpętanie srogości i swawoli, świszczący oddech zwartych z sobą zapaśników, trzask gruchotanych kości, jęk pobitych i okrzyk zwycięzców. Jest muzyka życia i śmierci, na samem zwarciu się ich z sobą, na samym ich przełomie chwycona. Dopiero kiedy Synopa ugaśnie, a Galata zdeptaną zostanie, kiedy Bosfor zapieni się krwawo, a Natolia gruzem się własnym osypie, wtedy ciężkie łupem czajki pod falę do Siczy wracają, a zwarty rytm bojowej pieśni rozłamuje się, rozprzęga, rozdłuża, opada. Hej, nie doliczyć już tych gromkich głosów, które go na sobie trzymały!

...Wróg pobity, miód wypity, wszystko się ma ku spoczynkowi i ciszy...

I oto uderza Ukraina w „Podzwonne ku ojcom“, ku błogim „Latawcom siedmiu złotych nieb“. Przyjmijcie stare kmiecie Boże, stare hospodyny rajskie, te wszystkie dusze junacze, które wojna z piersi wyparła! Których białe ciała pływają po zapienionych krwią Bosforu wodach, których białe kości suszą się na tureckich polach! Przyjmijcie, zbożni ojcowie, junaków dobrych, przemiłych!

I bije „Podzwonne“ szeroko, rozgłośnie nad ogromnym stepem, „rozhuk po wodach, po siołach brodzi“. „Ho, ho! Chmury z dalekich odgrzmiewają stron“. A lud miecie pęki płonącego ziela, iżby odstraszyć czartów, mknących jarami na wicherach i zastępujących drogę junakom dobrym, przemiłym... A Michał Archanioł „na lewo, na prawo, pogląda jaskrawo“, i smoka, wroga piekielnego, pod złotem żądłem oszczepu swego trzyma, iżby szkodzić nie śniał duszom junaków dobrych, przemiłych...

I bije „Podzwonne ku Ojcom“, dziwnym jakimś, archaicznym rytmem; jakimś rytmem pokajania, żalów i zaklinań z prastarych, zamierzchłych czasów. Biję rozhoworem zmieszanych wierzeń, których dawniejsze i nowsze warstwy pokładły się na sobie wiekami, a teraz nagle rozkryte, zaświeciły nam razem do oczu. Biją rozhoworem zmieszanych świętości od owych „Latawców siedmiu złotych Nieb“, do rycerskiej postaci Michała Archanioła. Biję obrzędową pieśnią prasławiańskich „Dziadów“, ehami, co się uchowały gdzieś pod zmurszałą belką, wypadłą z rozwalonej od wieków gontyny.

...Wróg pobity, miód wypity, wszystko się ma ku spoczynkowi i ciszy...

Ustały tętenty kowanych stałą kopyt. Rozkieżnane konie, odpasane szable, zwinięte na drzewcach proporce, uciszone litaury i surmy.

Tatarski pastuch nie śmie się za dnia wychylić na świat biały, i tylko w najciemniejsze noce ku Dzikim Polom się skrada.

Ogromione granice, ubezpieczone ziemie, jasyr odbity, a pohaniec starty.

Śmierć, wielka hetmanka polna tej krainy, odwołuje hasła, ściga placówki, komendy i warty. Sławna była potrzeba, i przesławne boje, i sława jedynym łupem chrobrego rycerstwa. A teraz—skończony bój, otrąbion mir, ukoilo się serce Ukrainy.

I oto odchodzą bohaterzy strudzone na wieczne pokoje. Oto szerokim, uciszonym stepem suną mary „Serdecznego Lacha“. „A za Lachem, czarnym szlachem, Ukraina wzdłuż, jako umie, w tęsknej dumie przyśpiewuje tuż...“. A umie przedziwnie, przebogato, przegrobowo, przemęsko. Hej, latał on, sokół siwy, w samo słońce chwały! Hej, żył on z kozaczą wierną i żywot z nią przebojował, przeżył. „Żywot krwawy, krwawej sławy“. A teraz oto „sojusz skończony“. Lach „powraca na slobodę do swej Lanckorony“.

I toczy się wóz, i zrywa oczy posępnym przepychem śmierci.

Stepowe woły go ciągną wyprężone z jarzem; stepowe burzany, makatami nakryte, go ścielą. A nad wozem orzeł kracze, a za wozem idzie koń-sierota, koń hetmański, który „rży smutnie, wie po kim“.

I ciągną tak mary krajem szerokim, pełnym mogił, smętnym. A za marami step idzie bezkresny, mglisty, posępny, i lud idzie szeroką ławą, niechcący się ostawać bez bohatera swego, idzie Ukraina cała w swoich jesiennych sadach i lewadach.

A między ludem pogwary, poszepty, zalewane westchnieniami, rwane jękiem, zawodzące, żalodne, prześpiewne. „Już ty nie nasz! My nie twoi!“ I rosną poszepty i pogwary ludu w jakąś opowieść, skandowaną wichrem i szumem stepowym, na przedziwne spadki. Rosną w jakieś epickie rozpamiętywanie sławy i żywota Bohatera - Lacha, w jakiś homeryczny, rodzący się wprost z piersi, wprost z momentu, Rapsod o bojach hetmańskich, o hetmańskiej sławie. I stają mary na mogile „co kilkoro staj“. I lud ciągnie za marami, „i modli się kraj“. Aż zaniósł się step, zakipiał, zaluczał potężną falą rozciąglonych, czystych, męskich, lejących się tonów.

I śpiewa step ukraienny bohatera swego.

Przepyszny rytm jego pieśni bije orlem i sokolem skrzydłem w chmurne, wietrzne niebo nadstepowe. Spiz jest w tym rytmie. Dzwon śmierci i dzwon sławy w nim bije.

Dzwon śmierci i dzwon sławy biją zgodnie, razem, bo śmierć i sława chodzą za bohaterem na każdy czas, jak cień i jak światło. I luczy Dniepr, i szumi step, i śpiewa Ukraina atamana swego...

Rytm się pogłębia, wznosi, oczyszcza, mężnieje. Odpadają z niego miary dawnych, znanych pieśni. Pękły na jego kryształowym jądrze. Złuskały się na niem, jak plewa. Żaden ton znany, żadna znana nuta nie dotrwała mu w sile rosnącego pędu. Wszystkie zostały za nim, daleko, przy ziemi.

On płynie górą, waży się śródniebnie, na rozciągnionych i wichrowych skrzydłach.

Tysiąc sere żywych, bijących, poddaje mu swe spadki, swe wzloty.

Czarny szlach, wóz, toczący się po nim, hetmańska trumna, szeroka ława ludu, mogiły stepowe, cała Ukraina—wszystko trzyma się i płynie na tym jednym rytmie. Aż buchnie wielki Chorał stepowy niedoścignioną mocą, powagą, pięknnością, nieporównanym nastrojem rzeczy wiecznych, prostych, surowych.

I wyjawi się w nim, przemówi tajemniczy Duch Ukrainy, wichrowoskrzydły Cherubim, zatajony w stepowych bezkresach. A rytm Chorału wyzwolony, potężny sam sobą, pełny po wrąb ogromnej muzyki śmierci, poetyczny a prosty, wzdęty nieskończoności tchem, zakolysze się na rozwiei stepowego wichru i popłynie ku nieśmiertelnej przystani wiecznego milczenia.

...Wróg pobity, miód wypity, wszystko się ma ku spoczykowi i ciszy.

.

Która gdy się uczyni, siędzie lirnik na stepowej mogile, na „dalekookiej straźnicy“ minionych czasów i ludzi. I nastroi Bojanowe gęśle na poszept mogilnych prochów, w których utajon jest żywot, i będzie szukał tonu do nowej pieśni, do pieśni życia.

I zapadnie w szeroką stepową zadumę, i targnie struny gęśli, i zapatrzy się w szerokosławne a rycerskie sprawy, i zaslucha się w echa tętentu „budziackich tabunów“, w echa „trąbiących pułków natolskich zórawi“, i będzie opętany wizją starej chwały.

I stanie się do jego ducha poselstwo od Ducha stuleci. I powstanie mu włos na skroniach od mocnego technienia mar, które go otoczą. I da głos rzeczom niemy i rzeczom uspionym, które czekają zbudzenia i słowa.

A tak rozebrzmi nowa pieśń, pieśń zadumy stepowej, namogilnej — „Duma“.

VIII.

Kiedy Bohdan Zaleski pisze do Grabowskiego Michała: „Mój talent jest wskroś historycznym“ ¹⁾, to nie trzeba tego brać bardzo dosłownie.

Przy bliższem bowiem badaniu okazuje się, że historyczność nie była kością pacierzową talentu tego; że nie była ona czemś, bez czego on ostaćby się nie mógł. Okazuje się, owszem, iż lubo znacznie wyższa, tak co do stopnia rozległości horyzontów, które ogarnia, jak i co do stopnia różnorodności środków, jakimi rozporządza, historyczność talentu Bohdana Zaleskiego nie przenosi swoją naturą i wagą tej historyczności, około której osnuwają się Dumy, śpiewane przez wędrownych lirników Ukrainy.

Prawowita w samym wątku pieśni, dowolna w jego rozsnuciu, przemieszana z pierwiastkiem fantastyczności zaraz u źródła swego i wzbierająca pierwiastkiem tym w ciągu całego swego ciekłu, nie może ona rościć prawa do tej powagi, jaką przywykliśmy łączyć z pojęciem dziejowego motywu.

Jest to prawdziwa historyczność ludowa. Historyczność taka, która wyprowadza wprawdzie na jaw fakt dziejowy, ale w takim oderwaniu od przyczyn i skutków pojęty, i mimo całej możliwej złożoności swojej, w tak prostych i pierwotnych liniach przedstawiony, że właściwe jego znaczenie, jako ogniwa w dziejowym łańcuchu, zacierają się niemal zupełnie, a on sam występuje w proporcjach nadnaturalnych, z całą jaskrawą wypukłością wyodrębnienia swego, poza stosunkiem zależności i współbywania z resztą czynników, działających w danym momencie, przedstawiony. Owszem, występuje z całym absolutyzmem rzeczy samej w sobie.

¹⁾ „Korespondencya Bohdana Zaleskiego“, tom pierwszy, str. 11.

Otóż takie traktowanie materiału historycznego mieć będzie zawsze ten skutek, iż przedmiot, zaledwie tą metodą tknięty, z dziedziny historyczności wypada, i choćby najrzeczywistszy, przybiera w ekspozycji swojej znamienne cechy podania.

Nieawodnie, i w podaniu kaźdem tkwi duźo historyczności. Gdy jednak samo juź wyzucie przedmiotu z historycznych proporecy czyni go ogromnie bezwzględnym, i w tej bezwzględnoci ogromnie samotnym, występuje w nim nowy czynnik, czynnik patetyczności, który metoda historycznego traktowania przedmiotu wyklucza.

Historyczność może być tragiczna, może być, i nawet bywa często dramatyczna, jako sposób traktowania przedmiotu w stosunku jego do bliźszych, lub dalszych przyczyn i skutków, oraz w stosunku do środowiska i jego oddziaływania czy to pośredniego, czy też bezpośredniego. To bowiem jedynie wykazać może w historycznym fakcie albo fatalną zależność jego od dziejowego tła i momentu, albo równie fatalne a nieuchronne ciężenie na nim przyczyn, jakie go wywołały i związanych z przyczynami temi komplikacji, albo wreszcie szereg konieczności, w postaci wywołanych przez fakt następstw, pojawiających się częstokroć wbrew zamiarowi, ale zawsze ściśle wedle nieubłaganych praw logiki dziejowej.

Ta jest arena, na której metoda historyczna odgrywać może dramaty swoje i swoje tragedye, w zakresie własnej natury i własnych środków.

Ale patetyczność ani się z naturą nie zgadza, ani w zakres środków tych nie wchodzi. Patetycznem może być tylko podanie. Ono bowiem jedno nie liczy się z niczem i tworzy sobie własną perspektywę uczuciową, tworzy to oddalenie i wyosobnienie, jakie jest koniecznym warunkiem patetyczności.

Ono samo, jako wyrwane ze wszystkich stosunków zależności dziejowych, olbrzymieje w oczach naszych tak, że wypełnia nam sobą cały horyzont czucia i myślenia, ogniskuje i skupia na sobie całą sumę wrażliwości naszej w danym momencie, i niepodzielnie panuje nad nami.

Ono dopuszcza wszelką egzaltację, wszelką egzagerację, tak ściśle, i nawet tak nieuchronnie z czynnikiem patetyczności związane.

Ono uderza w najwyższy ton, daje najbardziej skoncentrowany nastrój, wywołuje najbezpośredniejsze wzruszenie. Ono inicjuje w sam rdzeń rzeczy, i samo w sobie ma usprawiedliwienie swoje, swoją rację bytu. Ono ma bezwzględność zjawisk żywiolowych, ono jest, bo jest.

Ale fakt dziejowy, traktowany metodą historyczną, to jest w całym swoim uzależnieniu od związków przyczynowych i stosun-

ków oddziaływania środowiska swego, nigdy nie wyda i wydać nie może prawdziwego dzieła sztuki; gdy tenże sam fakt, wyrwany z tych stosunków i traktowany metodą podaniową, daje twórcy w moc olbrzymią dziedzinę uczuciową, dziedzinę patetyczności; daje mu cały świat sam w sobie, i staje się pod genialną ręką prawdziwego artysty materiałem doskonałego piękna.

Łudzi się zatem ten, kto, odbywszy mozolną kwerendę historyczną i nazbierawszy całe mnóstwo ubocznych faktów i okoliczności, wprowadza to wszystko do dzieła swego w mniemaniu, że im będzie dokładniej historycznym, tem dzieło piękniejszym się stanie.

Prawdziwy twórca kroczy drogą nie analizy, lecz drogą syntezy. Przedwstępnej pracy nigdy nie uważa za materiał dzieła, ale zsypuje ją sobie pod stopy jak gruz, jak podścielisko, na którym stanąwszy, rozgląda się z wysokości onej po widnokręgach, zgoła niewidnych dla oczu drobiazgowego szperacza.

Prawdziwy twórca wyrwa przedewszystkiem przedmiot swój z historycznych zależności jego. Nie przeto, iżby ich nie uznawał, ale przeto, iż musi czuć go pod ręką wolnym, samoistnym, przerastającym wszelką obciążającą go przypadkowość.

W teatrum swoim nie rozpala, po jednej, świeczek, któreby przedmiot jego oświetlały kolejnie i wszechstronnie. On w samym przedmiocie rozplomienia własne jego światło i czyni go buchającym ogniskiem natchnienia.

Prawdziwy twórca rzuca pomiędzy sobą a przedmiotem swoim ogromne oddalenie, wykreśla potężną perspektywę, pozwala przedmiotowi swemu urosć w olbrzymią i samotną wizję, rysującą się patetycznymi liniami na horyzoncie tworzenia.

Pozwala mu stać się podaniem.

Co gdy się stało, przedmiot, uduchowiony w stopniu najwyższym i przemieszany z duchem twórcy, ostatecznie zmienia się w zacyzn prawdziwego piękna, w materiał wysokiej inspiracji.

Tak tworzy instynktownie lud, i tak tworzy mistrz — świadomie.

W pierwszym wypadku, w wypadku twórczości ludowej, piękno wystąpi w prostych, surowych, nieco sztywno łamiących się hierarchicznych liniach, przynosząc nam wstrząsające wrażenie, z którego nie łatwo będziemy mogli zdać sobie sprawę na razie, a które, po latach jeszcze, ukaże nam w przypomnieniu ciemne, niepokojące twarze wypadków i ludzi; wrażenie czegoś niedomówionego, czegoś, co wogóle, w zakresie skończoności zjawiska domówić się nie da. I będzie to wywarcie się na nas patetyczności bezpośrednie, a tak silne, że aż gnębiące prawie.

W drugim wypadku owe surowe, hieratyczne linie rozkwitną przepychem barw, pełnią ciepła, blasków, cieniów; mistrzowsko wykreślona perspektywa ustosunkuje oddalenie, tworząc między wizyą a widzem atmosferę drgającej wehemencji, żywą atmosferę wzajemnego oddziaływania, a dzieło da nam wrażenie doskonałego piękna.

Piękno to wszakże, na pierwiastku patetyczności osuute i rozwinięte, nie pozwoli nam zatonać w dosycie skończoności swej, w harmonii czystego artyzmu; ale, zachowując wyraźne kontury z owych pierwotnych hieratycznych linii, w połowie zatopionych w surowym mroku rzeczy wiecznych i niewypowiedzianych, porwie ducha naszego w tajemnicze dziedziny zaświatowych mocy.

I będzie to wywarcie się na nas patetyczności pośrednie, przez ducha twórcy, który sam przyjmie pierwsze jej gwałtowne uderzenie,—przepuszczone, i estetycznem wrażeniem dzieła sztuki zmodyfikowane.

Ale i warunki, i niebezpieczeństwa tworzenia są w obu tych przypadkach różne.

Gdy bowiem lud, nie mając w swej prostej duchowej treści żadnych takich powikłań, któreby dzieło komplikować mogły, zostawia miejsce i głos patetyczności samego przedmiotu, a Rapsod swój, czy Dumę, przeplata jedynie odwołaniem się do potęg niebieskich, lub do sumienia słuchaczy, a zatem do instancyi, noszących w sobie elementarnie ogromny pierwiastek patetyczności, i owszem, wzmagających sobą patetyczność samego przedmiotu; artysta, którego świat duchowny bogaty jest w treść różnolitą, nadto często ulega pokusie domieszania czegoś z treści tej do dzieła, czy to w postaci historyozofii i związanej z nią etyki, czy też wprost osobistego afektu. Co zawsze na szkodę dzieła obrócić się musi, zważywszy, iż pierwiastek patetyczności, w swojej surowej, pierwotnej i na zupełnej jednolitości polegającej prostocie, właśnie żadnej takiej domieszki bezkarnie znieść nie może.

Stąd niezmierna rzadkość mistrzowskich dzieł w tym zakresie twórczości. Stąd ich bezcenność prawie i porywająca nad duszami władza, gdy szkopułu tego uniknąć potrafią, biorąc z ducha twórcy nie materyał jego, ale samą żywą moc tworzenia.

Taką jest „Illiada“ i taka jest Sienkiewiczowska „Trylogia“, w której całe odłamy historii, metodą podaniową traktowane, porywają nas siłą i czarem swej patetyczności, wywołując przed oczy nasze wizye potężne i niezapomniane.

Zobaczmy teraz, w jakim stosunku do wykazanych powyżej różnic w traktowaniu historycznego motywu i trudności, połączonych z niemi, stanął Bohdan Zaleski w swych „Dumach“. Odróżnić

tu wszakże należy właściwą „Dnmę“, jako rodzaj historycznego, dającego się wyśpiewać Rapsodu, od poematów epickich, którym poeta miano „Dumy“ nadaje dowolnie, lubo nie posiadają one najpierwszego i najgłębszego jej znamienia: nie dają się śpiewać.

Bo Duma, to przedewszystkiem pieśń. Pieśń, urodzona z popiołów życia na wielkich zgłiszczach jego bojów, i wielkich mogiłach jego ukojenia. To pieśń,

Co cześć ludzką, ludzką pamięć na struny swe niże,
Strzeże sławnych ojców kości i stawia im krzyże.

Otóż takich właściwych Dum w całym Bohdanowem dziele znajdujemy mało.

Taką Dumą jest pieśń, śpiewana z „Mogiły Sawor“, o Daszku, pierwszym hetmanie Ukrainy, to „Downarowski w jassyrze“, ta śliczna wizya swobody, marzona w kajdanach niewoli; to „Pożegnanie“, ślane do króla Władysława od skazanego na gardło Sulimy, co to Kudak zburzył; to „Zozulicz“ ze swoją nutą rozciąglą, stepową; to pieśń o Iwonim, wdowim synu Laszki-orlicy, pieśń, którą marsowe kozactwo Zaporozża usypia hetmańską „detynę-sierotę“; to „Wyprawa Chocimska“, o żołnierskim, twardym rytmie, w takt którego:

Idą Lachy trzema szlachy,
A kozaki czterma wałą.

To дума o Konaszewiczu Sahajdacznym i Koszowym; to „Teli-goła“, w której błyskom harmat Tekelego odbłyskują w gołe szable pan Czepiha i pan Hołowaty; to może jeszcze po części „Damian Wiśniowiecki“.

Otóż we wszystkich tych Dumach stoi poeta na stanowisku lirnika, śpiewającego gdzieś na mogile stepowej. Jak on, śpiewa w nich Bohdan Ukrainę, jej dzieje, jej ducha, jej klęski, jej zwycięstwa, śpiewa lud Ukrainy w bohaterach jego.

Prosty, zwarty, surowy niemal w ujęciu przedmiotu, prowadzi go silnie i rozwija konsekwentnie w sferze jednego uczucia, wywołując wielkie mury zdarzeń i ludzi, którym sądzono „zawiekować w pieśni“. Nie przekracza w nich nigdzie naczelnego warunku Dumy, możności wyśpiewania jej całej przed jednym audytorjum, za

jednym zanieśieniem się ducha, za jednym wybuchem natchnienia, zanim zbudzone w słuchaczach uczucie osłabnąć i ugasnąć zdoła, tak, że wezbranie uczucia tego, jego najwyższy wzlot i jego spadek, zawrą się w momencie słuchania całkowicie, w pełni jednej fali patetyczności, która z pieśni lirnika w serce słuchacza uderza.

Ani tonem, ani rozmiarem, nie odstępuje poeta w Dumach tych od zakresu naturalnego pieśni.

Każdej z nich mógł słuchać tłum wzruszony, z a d u m a n y, tłum, zgubiony w Dumie.

Jeżeli też gdzie można mówić o historyczności talentu Bohdana, to właśnie w tych Dumach. Rzecz prosta, o historyczności ludowej, która mu przynosi kapitalne poetyckie korzyści: widzenie faktów i ludzi w świetle i ogromie podania.

Mniejsza o to, czy stopień doskonałości Dum tych odpowiada wymaganiom najwyższym, czy trzymają one miarę doskonałego piękna w swoim rodzaju. Mniejsza, czy poeta śpiewa tak samo, jak śpiewali wielcy lirnicy Ukrainy. Czy wylatuje w pieśni

To jak orzeł siwy w chmury,
To ku ziemi, jak wilk bury...

Czy po Bojanie wziął siłę i słodycz, a po Naumie wieszczego ducha wróźbity. To pewna, że narzędzie pieśni i natura pieśni, są też same. Że w Dumach tych gra Bohdan Zaleski na prawych, bojanowych gęślach, na złotych gęślach pieśni ludowej.

Owszem, w „Iwonim“ i w „Mogile Sawor“ stawia się i przemawia poeta w osobie samego ludu, wyzuwa się z siebie, nabiera pełną pierś technienia Ukrainy, jest prawowitym następcą i dalszym ciągiem tych, którzy stroili gęśle na kurhanach i wywodzili Dumy pod rytmem stepowego szumu.

Krańcowo przeciwległą tym szczerym, tym prostym Dumom ukraińskim, jest epicka opowieść o losach „księżnej Hanki na Ruzynie“, opowieść, której poeta imię „Złotej Dumy“ daje.

Ale ta „Złota Duma“ nie jest w rzeczy samej „Dumą“, ni „złotą“.

Zakrojona na ogromną miarę, samym już obszarem swoim chybła zasadniczemu warunkowi „Dumy“: nie może być wyśpiewaną, nie może mieć słuchaczy, stojących pod mocą jednego wybuchu natchnienia.

Ale i drugiemu istotnemu warunkowi ścisłej Dumy też chybła: nie tworzy patetycznej wizyi.

Jakoż rozlanie się opowieści po płytkich wodach mniej ważnych szczegółów sprzeciwia się najmocniej tej sile i wyrazistości, tej jednolitej, surowej prostocie, jakich podaniowe, ściśle z patetycznością związane, traktowanie przedmiotu wymaga. Zaczem idzie zatarcie się konturów naczelnego motywu, rozdrobnienie jego rysów, słowem niemożność stworzenia patetycznej wizyi, któraby się odrazu zarysowała śmiało, szerokimi liniami, i skroś całego toku zdarzeń, dających jej odpowiednią perspektywę, widna była i panująca nad całym obszarem dzieła. Tymczasem łatwa opisowość ponosi w Złotej Dumie poetę na szlaki bujne, często kwieciste, ale, w znaczeniu istotnego piękna—bezplodne.

Tam nawet, gdzie materya sama przez się drga patetycznością, jak naprzykład w rozpoczynającej akcyę śmierci ostatniego z książąt na Rużynie, poeta daleki od surowej powagi, jaka podobnej osnowie przystoi, rozprasza na pieściwe i strojne drobiazgi ten cenny zaczyn piękna, bez żadnej istotnej korzyści dla dzieła. Ale Bohdan Zaleski nie spełnia w Złotej Dumie i trzeciego warunku właściwej Dumy. Nie stawia się w niej na stanowisku pieśniarza, widzącego przedmiot swej pieśni zewnątrz siebie, w tem koniecznem oddaleniu i wyodrębnieniu, bez którego niepodobna wywołać patetycznej wizyi. Owszem, on do dziejów książąt Rużyńskich miesza własne życiowe koleje, występując w opowieści jako Maryan Bukat, piewca Ukrainy. Dodajmy, że poeta włączył do tego dzieje swego niemowlęstwa, opowiadane świegotliwie przez osobę trzecią, przemieszane z epizodami dotyczącymi różnych rodzinnych zdarzeń, że—jak pisze o nim Józef Zaleski, „zabrnął w pamiątki swego życia, w sny szczęścia domowego, w przeczucia i przewidywania młodości, które się ziściły i nie ziściły,—a uczynią nam się od razu widne te skazy, które materyę epicką zrysowały, nie dając się jej zrosć i stężeć w jednolite i skończone dzieło.

Jak się to stało?

Albo się bardzo mylę, albo pierwszą przyczyną takiego zespolenia materyi epickiej z własnymi dziejami była znana już nam niemożność samodzielnego rozróżniania się poety od Matki Ukrainy, na co był położony nacisk zaraz przy pierwszym określeniu twórczości poetyckiej Bohdana. To był ów brak usamowolnienia duchowego, w którym poeta przetrwał całe życie; owa bierność w odbijaniu wrażeń, jakich mu dostarczała umiłowana ziemia, a to aż do identyfikowania się z tłem, na którym zasnuł się pierwotny wątek jego losów.

Zaczem poszło, że gdy na czele pierwszej części dzieła postawił Bohdan wyraz „Ukraina“, objął wyrazem tym nietylko ziemię i dany moment jej dziejów, ale także samego siebie i lata, które tam przeżył

przebujal, prześpiewał. A tak, niemożna powiedzieć nawet, że uosabiająca poetę postać Bukata wprowadzoną została z zewnątrz do pomysłu dzieła. Bo ten Bukat, on się tam znalazł ipso facto, on tkwił w materji samej całym swoim światem duchowym, jako cząstka integralna, niedająca się zgoła pominąć i wprost nierozłączna z całością. Zrazu nie czuje poeta tej głębokiej rysy w swem dziele. Owszem, zespolony w ten sposób z przedmiotem, jak najbardziej odpowiednim swemu czuciu, genetycznym związkiem, rozgrzewa się, nabiera pędu i wierzy, naprawdę wierzy, iż mówiąc o sobie i swoich najbliższych, ani na krok od materji dzieła nie zbacza. Bo jakże! Te dzieje bohaterów, te uniesienia religijne, miłość, przyroda stepowa, dom rodzinny, śmierć matki, bracia, siostry, on sam, jego życie, jego dusza, to wszystko przecież nie innego, tylko Ukraina.

I tak, obejmując tę Ukrainę coraz szerszem, coraz rozlewniejszem czuciem, chce w objęciu tem zawrzeć i ogarnąć wszystko, co mu kiedykolwiek było pięknnością, wzruszeniem i umiłowaniem.

„Zdaje mi się” — pisze w tym czasie do Wodzińskiego Karola — że splacam w ten sposób długi, a przynajmniej procenty, Bogu, ojczyźnie, rodzinie“.

Dzieło wszakże nie mniej cierpi na tem.

Bo gdy się wyczerpał zasób młodych wspomnień, a w dalszych kolejach życia nie stało heroicznego materiału, bo nie stało Ukrainy samej, gdy brakło podkładu osobistych pobudeń i wrażeń, oraz głębokiego lezpośredniego zespolenia z treścią, dzieło marnieje i rwie się w osnowie swojej tak, że go poeta nie kończy. Poprostu, nie może skończyć. A wtedy, niezdolen rozwikłać splątanych nici tej dwoistej tkanki, odrzuca ją, poniechuje, tłómacząc się sam sobie i przyjaciółom, że duch jego zwichnął loty w inne okolice, w okolice Ducha od stepu, i że na dawne szlaki zawrócić mu trudno.

Ale nie ta była przyczyna.

Przyczyna była ta, że w samym planie i samem swoim poczuciu pieśń o rodzie Rużyńskich, fatalnie skręciwszy na tory osobistych dziejów i pamiątek, z dziedziny patetyczności bez ratunku wypadła, i raz utraciwszy właściwą sferę lotu, była jak ptak zbarczony, który już nigdy nie rozwinie skrzydeł.

W tem to leżała owa „morząca przeszkoda“, której się tak lękał poeta, iż mu przyjść może zewnątrz od ludzi i okoliczności, gdy ona tkwiła w nim samym, razem z dziełem jego poczęła się, rosła i musiała ostatecznie rozprządnąć je i rozbić.

Taki był los tej pieśni, którą Bohdan Zaleski zwał „pieśnią—uczynkiem“ i o której mniemał, iż będzie jego wieńcem na ołtarzu oczystej sławy ¹⁾.

Tak, jak ją znamy, jest „Złota Duma“ niewykończonym i porzuconym torsem, o którym od pierwszego rzutu oka powiedzieć można, iż praca nad nim nie została przerwana jakimś nagłym wybuchem gdzieindziej porywającego poetę natchnienia, ale że zatonała w jakiejś powszedniości i nudzie, które, jak stojące wody, nakryły ją mułem.

Najsilniejsze linie torsu tego przypadają na część drugą, zatytułowaną w pierwotnym wydaniu „Trechtymirowski Monastyr,“ a w ostatnim: „Książdz“.

Cała męska siła ręki, cała moc w uderzaniu dłutem tu się wyjawia i tu dosięga swojego zenitu, aby upaść w niemoc i omdłość części trzeciej, zatytułowanej w wydaniu tem: „Piewca“, w dawnych: „Maryan Bukat“, od której już nawrotu w sferę patetyczności być nie mogło, i na której dzieło się zarywa.

.

Miejsce pośrednie pomiędzy właściwemi Dumami Bohdana, a jego „Złotą Dumą,“ trzyma „Potrzeba Zbaraska“, którą poeta „Dumą Hetmańską“ nazywa.

„Potrzeba Zbaraska“ jest jak gdyby ziszczeniem' przepowiedni Mickiewicza, który Bohdanowi wróżył, że „gdy się postarzeje, od razu bujny liryzm wsiąknie w epopieję“. Postarzenie wprawdzie nie było znaczne, gdyż między „Złotą Dumą,“ a „Dumą Hetmańską“ jest zaledwie lat trzy w różnicy wieku, ale doświadczenie było uczące i świeże.

Jakoż, istotnie, jest w „Potrzebie Zbaraskiej“ epickie zacięcie, epicki tok słowa, epicki ruch mas i epickie postawienie przedmiotu nazewnątrz siebie.

To postawienie przedmiotu nazewnątrz siebie jest niezawodnie trudnem zadaniem dla liryka wogóle, a dla Bohdana Zaleskiego było dotąd prawie że nie do osiągnięcia. A przecież ten jeden krok, to jedno wyniesienie się poety nad dotychczasowy sposób tworzenia, daje „Potrzebie Zbaraskiej“ wyjątkowe stanowisko w dziele Zaleskiego.

1) Kor. do Karola Wodzińskiego.

Co jest wszakże godnem uwagi, to, że poeta, jak gdyby sam czuł trudność i prawie niepodobieństwo opiewania Ukrainy, w jakimkolwiek momencie jej dziejów, bez utożsamienia z nią własnego żywota, tak dalece to dwoje było mu w duszy jednym i tak pomyśleć nawet nie dało się z osobna, — że ten epik, który jest nawskroś lirykiem, wyzuwa się przezornie sam z siebie i kładzie „Dumę Hetmańską“ w usta ukraińskiego teorbanisty, jednego z tych, co to ciągną stepem ze „starosławnym teorbanem i białą w pas brodą“.

Teorbanista zowie się wprawdzie także Bukatem, ale jest to ten Bukat, który właśnie postarzał tak, że „bujny jego liryzm wsiąknął w epopeję“.

Lirnik, stary Zbarażanin, długo coś wędrował, od Bohusławia idąc, czy Trechtymirowa, a teraz oto przybył, pokłonił się gromadzie, „powiódł okiem po ziemi, po niebie“, nastroił teorban do wtóru z Dnieprowym szumem, a gdy wyzwanie do pieśni rozgrzmiało okólnym okrzykiem: „Zbaraż! Zbaraż!“ obrócił „twarz stuletnią, wyschlą, śniadą“, do pana Jana Horyszeskiego, który oto jest koszowym w Siczy, i zawiódł na szumy, na stepowe poświsty, sławną Zbaraską „Sprawę i Rozprawę.“

Już sama ta przygrywka, samo to wejście w rzecz, stwarza nie zwykle żywą atmosferę; ujęcie zaś przedmiotu z tej właśnie strony daje mu od razu wybitne znamiona ludowego Rapsodu, który nie będzie się rozciekał drobnemi, obojętnemi strużkami, ale z miejsca zaraz weźmie głęboki, bystry prąd patetyczny.

— „Podobno twój poemat jest ten, gdzie wyprowadzasz kozaka, opowiadającego wojnę zbaraską“ — pisze Mickiewicz do Zaleskiego z Lozanny.

— „Myśl bardzo szczęśliwa, bo da ci ramy, ograniczy twoje obrazy i zatamuje wybryki liryczne, które twoje opowiadania ciągle rwą“.

I tak się stało.

„Sprawa i Rozprawa“ potrzeby Zbaraskiej prowadzi nas w te czasy,

— „Kiedy Lachi, jak to oni zwyczajnie weseli,
Pod Zyhmontem Starym królem hulali, szumieli,
I w najlepsze im się miodem czupryny kurzyły,
A na stepie wyrastały wysokie mogiły“.

Oto jest ściśle ta miara historycznego podkładu, jaka przypada Dumie. Oto jest ten rytm szeroki, męski, ta nuta rozciągnęła śpiew-

na, która też dumie przypada. I oto są te pierwsze śmiałe linie, które mają stworzyć patetyczną perspektywę dla opiewanych ludzi i wydarzeń.

Mniejsza o to, czy „Kozacza“ wojowała wespół z „Laszą“ w te czasy przeciw Ordzie, i czy odniosła pod Zbarażem walne jakieś zwycięstwo.

Mniejsza o to, że w historii Zbaraża fakt taki zaznaczonym nie jest. Że poeta dla odkupienia hańby Chmielniczczyny wywołał nam przed oczy owe boje, w których szable Zaporozża cięży pohañca razem z szablami polskiego rycerstwa.

Mniejsza o to, czy na czas ten przypadło ustanowienie wolnego Hetmaństwa na Ukrainie, i popisanie się kozackiej ludności w rejestry wojska zaporoskiego. A i o to także mniejsza, czy ten lub ów bohater „Potrzeby Zbaraskiej“ był osobą urojoną, czy prawdziwą.

Wszystkie te wątpliwości bowiem właśnie przedziwnie służą przedmiotowi, wyrывая go z dziedziny historyczności właściwej, i zmuszając niejako poetę do traktowania go metodą podaniową, jedyną, która pierwiastkiem patetyczności operować może.

Więc kiedy jawi nam się pan Daszkiewicz Ostafi, siwy orzeł, co zbujał stepy, porohy, ostrowy, i lat sześćdziesiąt nie schodząc z kulbaki:

„Co rok ciągnął w cztery pola i w piąte podole,“

nie pytamy, nie przychodzi nam wprost na myśl pytać, czy był on istotnie, czy nie był, pierwszym Hetmanem Ukrainy, ale patrzymy za nim, czując, że póki koń jego omiatał będzie z puchów kopytami burzany stepowe, póty będziemy mieli przed oczyma wielką patetyczną wizję.

Jakoż „Sprawa“ od razu poczyna się górnie.

Na majdanie kupy ludu zeganego z jarów i czaharów, kędy krył się przed tatarstwem dzikiem. Wśród ludu trwoga i bezład niemocy. Wtem jawi się pan Ostafi Daszkiewicz, który, widząc bezbronność Ukrainy, i jako w niej „rosną wysokie „mogiły“, jechał do „Króla Zyhmonta“, iżby Ukrainie ratunek obmyślił.

„A jak jechał, tak pojechał“,

i oto stoi—Hetmanem. A nad nim w szumach, w szelestach, powiewa wielka malinowa chorągiew z Michałem Archaniołem na koniu i w zbroi. Królowa ją szyła, poświęcały władzyki w Kijowie—pierwsza hetmańska chorągiew Ukrainy. Przy Hetmanie starszyna,

Lach serdeczny, Przeclaw Lanckoroński, i kniaź Rużyński Bohdanko.

Błyszcą w słońcu ich pozłociste zbroje, a nad wszystkimi błyszczy hetmańska buława. Skinęła—i oto cichość przewiała skroś stepem.

Czyta się pergamin króla Zyhmontowy. Nastaje na Ukrainie wolna Hetmańszczyzna. Oto wam konie i bronie. Z chłopstwa będziecie sławnem wojskiem zaporoskiem: kresom ku spokojowi, sobie ku bezpieczeństwu, Laszy ku pomocy.

Skoczy na jedną stronę burłactwo junacze, skoczą na drugą słobodkie, rodowe kozaki. Sam pan Hetman pisze ich po łbach w sottonie i w tysiące. Już sotniki i tysiączniki oganiają konno popisane w regestr kupy.

„Na koń i szable do pasa!”

I oto rozpłoszone i nieradne chłopstwo „zmienia się w prześliczną Kozaczą”.

Ledwo ruszyli, już Barańczuków biją, i topią u Rosi, u Bereźny.

Ledwo się rozwinęli szykiem, już lecą, jak orły wprost w słońce.

A jednych wiedzie Lach Serdeczny, a drugich Bohdanko, a wszyscy patrzą w hetmańską buławę i w chorągiew z Michałem Archaniołem.

W pochód! W pochód! Na odsiecz Zbarażowi! W pochód!

Zbaraż oblega chan Gierej, caryk perekopski, i grzmią tam „dziuła” i janczarki grają, a strzały świszcząc oblatują Zbaraż, jak wianek ognisty.

Od Słuczy, od Horyni rycerstwo polskie pędzi na pomoc, jako chmura złota. Od Rosi, od Czarniawy, pędzi Kozactwo Zaporoskie, jako obłok siny.

„Chrobra Lasza w ogniu stoi, hej, w ogień, Kozaczo!”

I wypadł piorun z chmury złotej, i wypadł drugi z siniego obłoku, i starły Chana Giereja dwa bratnie pioruny.

— Na karki bisurmanów! W pochód! W pogoń! W pogoń!

I znów zaszumiała hetmańska chorągiew,

„Grają trąbki w cztery pola, a w piąte podole”.

Brnie Zaporozie Bohem, przeprawia się przez Dniestr, pali Bender, zstępuje na Cecorskie błonia, obozuje w Wołoszy, idzie w bród Dunajem, pali Gałacz, aż naraz brakło ziemi koniom pod kopyta.

... „Morze! Morze! Czarne morze! Nasze, nasze morze!”

.

Dziwna rzecz! Choć każda z trzech części Potrzeby Zbaraskiej przechodzi obszarem swoim rozmiary właściwej Dumy, całość, podzielona przestankami, daje się przecież jak Duma wyśpiewać.

Taki w niej ruch, taki pęd, taka muzyka tętniącego rytmu, taka odręczność słowa, taka zawierucha pochodów, starć, bitew, spotkań to miłych, to groźnych, taka rzeźkość, taka fantazyja, taka nagłość i zmienność przygód, miejsc, obrazów, taka pełność ludzi i zdarzeń, takie bogactwo treści, ledwie, że dotykanej, muskanej skrzydłem pieśni, w jej orlim polocie! A mówię tu szczególnie o dwu pierwszych częściach, obejmujących „Sprawę i Rozprawę”. W każdej z nich, fala uczuciowa pomiędzy pierwszym, a ostatniem słowem — stale wzbiera, rośnie, osiąga swoją najwyższość i zwolna opada.

Opada wszakże nie do poziomu tęsknego zadumania, do ugaśnięcia ostatniej iskry wrażliwości, jak w Dumie właściwej, po której w duszy słuchacza smutek się tylko wije niby tuman senny.

Ona się zatrzymuje mądrze na tym stopniu, który jest chwilowym spoczynkiem, szerszem nabraniem oddechu, przy nieukozonej jeszcze wibracyi owej uczuciowej fali.

Rozumiemy też doskonale, że słuchacze nie chcą się rozchodzić, choć teorbaniста umilkł, i ledwie że po strunach brząka.

Że owszem kupią się przy nim, przynoszą mu wina, żeby się po-krzepił i czekają milcząc, aż buchną znówu szerokim okrzykiem:

„Jeszcze śpiewaj!... Jeszcze!”

A dziad:

„Stójcie! Stójcie! Niech oczyma pobujam po stepie!”

Bo ze stepu idzie na niego duch pieśni, natchnienie.

Bo ze stepu

... „Wieją głosy dawno już przebrzmiałe,
Dopominać się tak lecą o pieśni, o chwałę“.

Ale „Potrzeba Zbaraska“ nie tylko spełnia warunek śpiewności. Ona czyni zadość wszystkim innym warunkom właściwej ludowej Dumy.

Podkład momentu dziejowego postawiony jasno, silnie, w pierwszych zaraz słowach, wzbiera stale fantastycznością i ani na chwilę nie przekracza granic historyzmu szczerze ludowego.

Przedmiot posiada głęboką perspektywę rzeczy minionych, — „skończonych w sobie“ i tworzy wizję patetyczną, o szerokich liniach epickich.

Linie te, rozpołożone swobodnie, już to obejmują masy całe, uczyszając im heroicznego ruchu, już też skupiają się i akcentują na postaciach pojedynczych, i pierwszoplanowych, nadając im plastykę, u Bohdana Zaleskiego niezwykłą.

Całość zaś tej wybornej konstrukcyi nie wynika z widnego oczom trudu i zamiaru. Ona się rodzi razem z pomysłem dzieła i ma w sobie coś żywiołowego, coś, co byle tylko raz uczuć, już samo się staje.

Nic też piękniejszego, jak pewne, przyrodzone Dumie zwroty wprost ludowe, owszem wprost liryczne, i których nie można sobie wyobrazić poza takim, śpiewanym na mogile stepowej Rapsodem, jak naprzykład ten do słuchaczy:

„Panie Janie Horyszewski,
Bóg zapłać za wino!
Bóg wam zapłać za oklaski,
Serdeczna družyno!“

który nam tak żywo stawia przed oczy całą scenę pieśni i gościny.
Albo ten, zwrócony do poległych w Zbaraskiej Potrzebie:

„Gdzie Wy, druhy, towarzysze, gdzie was tyłu, tyłu?
Gdzie Ty, Samo Iwanowski, Sobański Wasylu?
Wdawi synu, jedynaku, Jaczewski czarniawy,
Trzej rodzeni Pilawicze od cichej Rasawy?“

Albo jeszcze ten, kiedy w największym warze i kipiątku opiewanej bitwy, Lirnik przerywa sobie, wznosi oczy ku niebu i mówi:

„Boże wielki, miłosierny, za wszystko ci chwala!”

I tuż zaraz:

„Jakże wpadnem na nich burzą, aż ziemia zadrżała”.

Co za ton! Jak to dźwięczy jakimś słowem o pułku Igora, jakimś krółodworskim Rękopisem, jakimś bojem na Kosowem polu!
Aboli znów owó:

„A jak jechał, tak pojechał”.

To jest przecież przedziwne ludowy ruch słowa, którego nie zaśladowuje żadna poetycka sztuka!

Miał Bohdan Zaleski ogromne natchnienie prawdziwego piękna, pozwalając w tej Zbaraskiej potrzebie przemówić nie tylko własnemu najgłębszemu czuciu ludu i ziemi Ukrainy, ale, nie wychodząc nigdzie na cal, na pół cala, ze sfery ludowych pojęć, uogólnień, i trzymając się ściśle ludowego punktu widzenia rzeczy i sądzenia o nich.

Nie może naprzykład być, aby lud, — ot za Stefana Batorego — inaczej sobie wyobrażał absolutną władzę hetmańską nad sobą i własne swoje zdanie się na nią, jak w tym przepysznym zwrocie pana Ostafiego Daszkiewicza:

„Moja Ukraina, co z wami uczynię,
To samemu Panu Bogu wiadomo jedynie!”

Albo, jakie to pełne bezpośredniości widzenie kłopotów starszyzny od strony ludu:

— „Nakiwali tam ku sobie głowami w naradzie”

I prawda. Co mogła „Kozacza” więcej widzieć ze swego majdanu, jak to hetmańskie nakiwanie ku sobie głowami? A jest to wszystko nie tylko bardzo ludowe, ale i bardzo epickie razem.

I czy może kto zaprzeczyć temu pełnemu prawdy słownu samego poety:

„Wcielanie ludu — to Homer“.

IX.

Znamy Bohdana Zaleskiego zbyt wiele i zbyt mało razem. Znaczy to, że znamy go niedostatecznie.

Jakoż, wszyscy wiemy, że Bohdan Zaleski — „Słowik Ukraiński“ — jest twórcą „Rusalek“ i twórcą „Przenajświętszej Rodziny“, że pisał „Dumki“, „Szumki“, a także „Ducha od Stepu“, o którym już wiemy mniej znacznie, i który nam się przedstawia, jako rzecz bardzo mglista, metafizyczna i do polapania się w niej trudna.

Wszyscy umiemy przytoczyć z pamięci po kilka, po kilkanaście wierszy „z Zaleskiego“.

To „święć się, święć się wieku młody, śnie na kwiatach, śnie mój złoty“, to: „Bom pożegnał nie wczora i nie jutro obaczę“; to znów: „Czara życia nie wciąż miódna“; to jeszcze „O widać i słycać w ogródku skowronek“; to wreszcie „Hop, hop, cwałem, koniu wrony!“ — i zapewne kilka jeszcze.

Wszyscy też wiemy, a niedawna stuletnia rocznica urodzin poety stwierdziła to dosadnie, — że „na ziemi, u mogiły, kilka piórek pozostało, co ku niebu go nosiły.“

A ponieważ te wdzięczne cytaty każdy miał na podorędziu jak by i posługiwać się nimi mógł z największą łatwością ugruntowało się u nas mniemanie, że Zaleskiego znamy wprost na wylot.

Do tego przybywały dane biograficzne, także w podobnym skrócie, i także — przez osobność swoją — mocno w pamięci naszej odbite.

... Zaleski? — a! „Dniepr, Iwanhora, chata gdzieś za wsią starożnachora“.

A potem:

— „I mnie matka Ukraina,
I mnie matka swego syna,
Upowiła w pieśń u Iona“

A potem jeszcze—długie lata na obczyźnie, ślepotą.,

I takeśmy do tego sumarycznego rachunku z pieśniarzem tym nawykli, że wszystko niemal, co u nas powiedziano o nim w tę setną rocznicę urodzin jego, owinęło się od razu w sposób zupełnie naturalny około tych cytata i dat, tak bardzo popularnych i tak bardzo ogółowi szerokiemu znanych. Szczególniej „piórka“ owe zostały podjęte tak skwapliwie i zużytkowane tak wszechstronnie, już to na motta, już to na przykrasę artykułów, wspomnień, wzmianek, iż każda mniej cudna i mniej lotna strofa zbanalizowałaby się i zwietrzała bez ratunku w podobnych opalach.

Oczywiście miało to swoje przyczyny, a pierwszą z nich była popularność niekompletnych wydań poezyi Bohdana, jeszcze za jego życia drukowanych, a z których szeroki ogół zapoznawał się z poetą trochę ułamkowo, i trochę powierzchownie.

A trwało to tak długo i tak się ten szemat ustalił, że kiedy przed kilku laty przyszło wydanie dopełniające, pośmiertne, przyjęliśmy je obojętnie w przeświadczeniu, że o Zaleskim niczego więcej nad to, co wiemy, dowiadywać się nie mamy potrzeby.

A potem, albow Zalewski już się nie przestarzał?

Inne czasy, inne pieśni...

Istotnie. Dawno już roztrzęsiono ten snop wonnego kwiecia, który się poezją Bohdanową zowie.

Dawno wybrano z niego i zszeregowano poosobno okazalsze i pomniejsze kwiaty.

Że jednak w snopie owym nie było kłosów, z którychby zaraz ziarno pożytków oczywistych można było brać, osądzono go lekkim, i owszem, powiedziano sobie, że na rychle uwiędnięcie skazany, zeschnąć i wypłowić musi.

Nie zauważono wszakże, że ten snop stepowego kwiecia, do poezyi naszej wniesiony, rozszerzył wprost granice jej piękna, het precz, aż po Kahorlik, po Liman Dnieprowy; że tchnął w nią ogromnie nową, świeżą woń kwiecia, które się u nas nie rodzą, i że ta woń weszła do atmosfery poezyi naszej jako czynnik dopełniający i wzbogacający, króry dyszeć w niej będzie nazawsze szerokim, wolnym tchem stepu.

A i tego nie zauważono, że jeśli nawet kwiecie owego snopa nie wydało ziarna, z którego chleby doraźnych pożytków piec można, to przecież każdy kwiat ma w nim własne, dzwiczne nasionko, które samo w sobie jest prześpiwnym tonem, i że byle je rozstrząsnąć po ugorach życia, przybędzie na nich muzyki dusz, niezbędnej — nawet przy chlebie.

A tak, okazuje się, że Bohdan Zaleski i rozwiosnił, i rozpieśnił pieśń naszą; że nadal ją nowemi krainami piękna; że wprost faktycznie rozszerzył, rozbogacił jej piastowskie patrimonium całym obszarem stepowego ducha; że jak ów Lirnik ze Zbaraskiej Potrzeby, powiedzieć może o sobie:

— „Zakupilem Ukrainę Dumami mojemu“.

Autor obszernej, i z wielkim nakładem pracy podjętej, ale powierzchniowej w sądach książki ¹⁾, powiada, że „Bohdan Zaleski pozostał w drugim rzędzie poetów naszych“,

To nie jest prawda.

Ten rząd, w którym stoi Bohdan Zaleski, nie jest „drugim.“ Jest inny. Jest tak bardzo inny, że nie poprzedza go żaden pierwszy, i że nie następuje po nim żaden trzeci. Jest, bez względu na Malczewskiego i Goszczyńskiego—jedyny.

Do rzędu tego ani Bohdan szedł, ani poza niego gdzieś dążył; o żadnem więc pozostaniu, w znaczeniu nie dojścia do dalszej jakiejś zamierzonej mety, mowy być nie może. Od razu, pierwszym wzlotem twórczości, stanął Bohdan w tym innym i jedynym rzędzie i stał w nim po ostatni dech żywota:

„Twórca w swoim sposobie,
Guślarz—gęślarz—na wieki.“

I to jest jego macierzysta scheda, jego „wolna Hetmańszczyzna“, po której on „chodzi, jak po własnej chacie“, i „z teorbanem atamańską piastuje tam władzę“.

Niewdzięczną też rzecz podejmuje autor wspomnianej książki, mozolnie dochodząc różnych pochyleń się psychicznych Bohdana, to w tę, to w ową stronę; rozgraniczając pilnie momenty większej, to znów mniejszej religijności jego, usiłując, przy pomocy cierpliwych, choć nie zawsze pomyślnych, zestawień, ustalić raz na zawsze, że tak powiem, stan cywilny jego duszy.

¹⁾ St. Zdziarski: „Bohdan Zaleski“.

Po co? Po co nam wiedzieć, czy był gorliwym, czy mniej gorliwym katolikiem; czy silniej, czy słabiej wierzącym duchem; czy uległym, czy nieuległym wpływom otoczenia?

Był poetą, to dosyć. Dosyć, bo to znaczy: był tem wszystkim razem.

Był z tych, co śpiewają „świat omamień“ i sami radzi w omamieniu żyją.

„Biada mi, jeśli ocknę!“ — pisze Bohdan w jednym ze swoich listów¹⁾.

I nam biada, jeśli ockniemy ó tyle, że czarodziejstwo pieśni jego przestanie nas czarować i po kupiecku stempłować je zaczniemy.

Był poetą.

Czasem, święty prostak, rozpada się, zanosi w ludowej kantyczkowej pieśni; czasem seraf, ulata na poczwórnych skrzydłach i ma widzenia wielkie skroś otchłani.

Czasem, pusty jak dziecko, wesoły, swawolny, podrzeźnia głosy ptasie, i z wiatrem stepowym dmucha w rusańczaną piszczałkę z sitowia; czasem podnosi „w górę lutnię złotostrunną“, z jarzącym wzrokiem psalmisty, a w duszy jego odgrywa się jakieś wieszczce oratoryum. Czasem, cały w płomieniach ducha, chwytą za surmę i woła:

Pieśni! Bój mi prorokuj!

Czasem chłodnie, zastyga powierzchu, jak lawa, i mówi do pieśni swojej:

Wróc w katakumby, w święte me podziemia.

Czasem wszystko mu pachnie wiosną i radością życia. Chce „kochać i śpiewać“. Czasem budzi się nagel, rozgląda i pyta:

Zaczarowany ptak, co ja tu robię?

Ma przecież pewne rysy ducha trwale, niezmiennie, wyrzeźbione silnie i odrazu widne:

Jak Bogu, nie przeniewiczę się nigdy ludowi.

Oto jeden z tych wielkich, z tych głębokich rysów.

¹⁾ Koresp. B. Zaleskiego, I, str. 34.

A drugi:

Ojczyzna — stanem moim dozgonnym.

A kiedy mówi: „ojczyzna“, to wobec kolei jego życia jest tak, jak gdyby mówił: tęsknota.

Bo jest to przede wszystkim „śpiewak tęskniący“. Ledwo z oczu step stracił, już „mokrą mruga powieką“, już wie, że jego chaty tu niema, że „daleko, daleko!“.

To „daleko“ staje się tonem wszystkich pieśni jego. Nawet Warszawa nie odmuchuje mu mgły Dnieprowej, ni puchów bodiakowych z duszy. Chodzi po niej, sumuje z Dumką Mazepy na ustach, a tylko dyszy, z której strony wiatr stepowy ciągnie. O Warszawie powiada, że był tam, jako barwinek z bujnej ziemi, w piasek Mazowiecki wszczepiony.

„Chuchali, dmuchali przyjaciele“, iż przeżył nieco, sami jednak widzieli, że mu grunt nie nada.

Toż Ukrainiec nie na Ukrainie
I wiek przepłacze swój, i marnie zginie.

Więc mawiał do niego Malczewski:

„Ej, ty tu tabun przypędził, kozacze, i tęsknisz nazad w step!“.
A już i jemu samemu „zwiądła była twarz piękna i już go dogryzały smutki“.

Ale, im dalej, tem gorzej.

„Czużyna“ trawi Bohdana wielką „suchością duszy“, którą z suchością stepu porównywa.

Trawi go „emigrancka choroba“: „tęsknota za ojczyzną ziemską, a choćby niebieską“. Modlitwy jego, to także tęsknota, tylko że na kłęzkach i z oczyma wzniesionemi w niebo.

Obce ziemie? Cuda! Ale doma serdeczniejszy żywot i zieleńsze drzewa“.

Śnię, Ukraino, wiecznie śnię o tobie!

„Nie nasyci serca okolica cudza, choć się śpiewak na chwilę ucieszy, że cudna“.

Endoume? „Morze i skały. Kraj nagi i pusty. Co było wczoraj, jest dziś i będzie jutro. „U nas inaczej! Inaczej...“. To: „u nas inaczej“, to nie poetycka przyszłość; to żywe, buchające źródło tęsknoty.

A potem, ta beznadziejność ziem obcych! „Straszne uczucie, że nic tam ani zasiać, ani zaszczyć nie warto!“.

„Na co nam tu sława?“—pyta. A jaka w tem prawda!
Molsheim? Strasburg? „Błękitne dnie, błękitne noce, ale stepu
niema“. Ledwie się na Ren zapatrzył, ledwie się w niego zasłuchał,
gdy pisze:

„Kąt spokojny, któryśmy długiem staraniem znaleźli, już nas
nie zaspakaja, i znów wędrować będziemy po cudzych ziemiach, gdzie
tak trudno, bo niepodobna zastąpić swojej“.

I oto „zmienia miejsca, widoki, ale zmienia napróżno“.

Do Rzymu jedzie z pośpiechem, z uniesieniem nagłem. Aliści
zaledwie się tam znalazł, pyta:

— Co porabiam tu, rzymskim prochem opylony?

I wnet czuje, że z tą Romą nie ma nic wspólnego.

Aventyńska wilezyca próżno kły swe stali,
On plemiennik tych mężów, którzy ją zdeptali.

„Owidyusz? Horacy?“.

To nie dla nas! „My, wnuki Scytów, Daków“.

Na apijskiej drodze ma widzenie Jana Kochanowskiego, a ze
wszystkich arcydzieł zajmuje go tylko twarz konającego Gładyato-
ra, i „bystro w nią patrzy, bo się zdaje: „brat z zamierzchłych stuleci,
co ożył w posągu“.

Paryż? Co z niego ma? Co z niego bierze? W czym się do niego
przystosować może? „Co oni wiedzą?“ — mówi o poetach francuskich,
bo go gniewała ta „galijska bezrytmowa, bezrymowa dusza“.

W emigracyi widzi „coś tak straszne, jak w kłątwie Bożej“.

„Przepadniem, nie wiedzieć jak!“ — mówi.

Tam mu tylko dobrze, gdzie może śpiewać głośno i latać swo-
bodnie.

Przeszedłem świat, a jedna tylko strona miła,
Gdzie mi się pierwsza moja dumka urodziła.

Zresztą „wszystko czużyna“, i nigdzie „niema, czego trzeba“.

Ni swojej ziemi, ni swojego nieba,
Ni tego czegoś, czem serce oddycha...

Woła raz wprawdzie Zaleski:

Fonteneblowskię lasy! Moje lasy!

Ale to były te lasy, gdzie ongi z Mickiewiczem brnęli między paprocie i wrzosey, tonąc w przypomnieniach i śpiewając Dumy ojczyste.

Aż gdy się w dumach owych zapamiętał Bohdan, zatracił, pojrzy— a tu przed nim wzduż przestwór siny—step! A w dali pas srebrzysty — Dniepr-ojciec, samotnik stepowy.

I słyszy — Dniepr w skały pluszczel! Więc łzy mu wytrysną kropliste...

A wizye takie powtarzają się, przychodzą na jawie, przychodzą we śnie, a tak wyrażliwe, że je poeta ma za objawienia.

Zrywa się z takiego snu z duszą rozmodloną, rozśpiewaną, pada u okna na klęczki, i modli się, i dziękuje a Bogu potem pisze:

Widziałem, z łaski zaprawdę Wszechmocy,
Widziałem — kraj mój!

I nagle wzbiera mu w piersi ogromna fala tęsknoty, ogromna żądza i nadzieja.

Step rodzinny ukolysze,
Rozpościele swe komysze,
Choć o kiju dojdę tam...
Stanę w oknie, stanę w progu,
Co wystoję, co wyśpiewam,
Podziękuję za to Bogu...

Zrywa się. Chce biedz.

Dalej! Dalej! W swoje strony!
W step bezludny! W step zielony!

Ale „czużyna“ nie puszcza od siebie.

Więc gdy „przędza nadziei rozmotala się do ostatniej nitki“, buduje poeta „Kalinowy most“, na wielki „Finał“ życia. Przerzuca duszę na drugi brzeg wspomnień przez wodę dużą i wodę burzliwą. Idą mary lube, i przechodzą, i nie zostaje żadna. Pieśniarz rzuca im kwiaty serca. Kwiaty lecą, padają, a on wie, że padają w niepowrotną falę.

I przychodzą „lata cierpkie i dnie omroczne, kiedy niema czem
osłodzić gorzkości ust“, niema czem rozjaśnić gasnących oczu.

Bo oczy już gasły.

.

Lirniku nasz! Nie chciałam mówić o tobie źle, i nie chciałam
mówić dobrze. Chciałam tylko uderzyć w Podzwonne ku tobie, błogi
latawcze siedmiu złotych Nieb pieśni. Chciałam wejść sama w krąg
twych rusańczanych oczarowań, w krąg twojej zadumy stepowej.

Czyś miał, jak Bojan, dusze ludzkie w ręku — nie wiem; ale
wiem, żeś miał często w ręku ludzkie serca.

Chciałam serc kilka dla ciebie wskrzesić.

MARYA KONOPNICKA.

Kierunki społeczno-gospodarcze za Księstwa Warszawskiego.

Wśród losów zmiennych, jakie przez wiek XIX przechodziły ziemie te, najsmutniejszym dla kraju był okres panowania Prusaków. Od r. 1795 do 1807, znaczna część dzisiejszego Królestwa Polskiego z sercem swem, Warszawą, zostawała pod rządami pruskiemi. Rząd nowy nie znał chwiejności, ze stanowczością brutalną zmierzał do celu, niszcząc wszystkie prawa przyrodzone i historyczne narodu podbitego. Pierwowzoru bismarckowskich teorii prusaczenia i obecnej polityki kolonizacyjnej należy szukać już w owych czasach. Otwarcie wystąpiono z planem przeistoczenia swych poddanych nowych w Prusaków, z zamiarami wytępienia narodowości. Uprzymiśnienie sobie głównych sposobów, które w czyn wprowadzono, przekonywa snadnie, że nietylko moralne bodźce, lecz także istotne warunki działania były takie same, jakie teraz panują w dzielnicach niemieckich pod rządem niemieckim.

Dwa środki puszczono w ruch: 1) osiedlanie w kraju Niemców, przynęcanych tu widokami poprawy losu, oraz 2) ułatwienie rolnikom zaciągania kredytu, pozornie dogodnego, lecz zdradzieckiego, aby zwolna wyczuć ich z ziemi. Była to więc już w zarodku--ze zmianami drobnymi tylko — późniejsza akcja Bismarcka i Bülowa: działalność bankowa, stanowiąca przynętę do wyzbywania się majątków i kolonizacja niemiecka.--Osadnictwo przybyszów, przeważnie chłopów würtemburskich i meklemburskich, sprowadzanych nakładem

znacznym, bo kosztem 1,000 talarów na rodzinę, nadawanie im gruntów w dobrach narodowych miało na celu niszczenie ziemi i ludności tubylczej. Osadnicy ci byli po największej części wyrzutkami chłopstwa niemieckiego, nędzarzami, których pokusa korzyści wyparła z ojczyzny. Chłopów takich sprowadzono kilkadziesiąt tysięcy. Do wzrostu rolnictwa, co było maską tej polityki, kolonizacja oczywiście nie przyczyniła się zgoła, lecz przeciwnie niszczyła lasy i wyjawiała grunta. Szcątki tych osadników pozostały dotychczas w kraju, nosząc pospolicie miano Holendrów. O wiele szkodliwiej od osadnictwa chłopów niemieckich oddziaływały wielkie donacje dóbr narodowych, udzielane „amtmanom“ i szlachcie pruskiej, zasłużonej względem rządu i korony. Ale sidła jeszcze zdradliwsze zastawiono na obywateli ziemskich, przez wytworzenie nowych form kredytu rolnego. Środek ten był obliczony na słabość charakteru ówczesnej szlachty, która, wyzuta z dostojęństw, pragnęła zachować pozory znaczenia i prowadzić życie wystawne. Usunięto obywateli od wszelkiego udziału w życiu publicznem; miasta oddano na pastwę amtmanów pruskich; ziemie obłożono haraczem $1\frac{1}{2}$ miliona talarów na utrzymanie garnizonu. Wielkich panów faworyzowano zresztą pozorze, aby zrazu sobie ich zjednać, okazywano im wielką uprzejmość towarzyską i zaniechano podnoszenia podatku gruntowego od większej własności. Potem rzucono im szczerze do rąk złoto, które wprawdzie obciążało dobra, umniejszając wartość ziem i z pod nóg grunt usuwając, lecz czas wypłaty zaciąganych pożyczek był odległy, więc ziemianie z darów Danaów skwapliwie korzystali. Izby lepiej zabezpieczyć swe wierzytelności, Prusacy uregulowali hypoteki, zaprowadzili mianowicie oddzielne księgi hypoteczne, co było ich jedyną reformą dodatnią w tym kraju. Pomyślne, chociaż przemijające konjunktury handlowe, wywołane wysokimi cenami płodów rolnych, w okresie panującego podówczas w Prusiech pokoju, podniosły chwilowo szacunek dóbr, a zatem i zdolność kredytową dłużników. Po tej reformie rządowy bank Berliński i prywatne banki pruskie poczęły wypożyczać znaczne sumy na hypoteki. Agenci bankowi, zamieszkali w Warszawie, upoważnieni do zawierania tych obrotów kredytowych, lubo wymawiali sobie prowizye wysokie, czyli, jak się wówczas mówiło, „dusery“, zapuścili sidła na całe obywatelstwo. Rząd utworzył nadto instytucję depozytów sądowych i z niej czerpał na pożyczki dla rolników. Istniały potajemne instrukcje, zalecające niestawanie w tej działalności. Gdy hypoteki były już przeladowane, gdy właściciele ziemscy kredytu użyli bezprodukcyjnie, pruski rząd opiekuńczy rozkazał znowu bankowi Berlińskiemu i innym instytucjom pożyczkowym, aby naraz wypowiedziały swoje

kapitały. Groziła wtedy zguba powszechna; gromadne wywłaszczenie na rzecz Prusaków. Eksmisye szlachty zagonowej już się dokonywały.

I oto nagle wybuchła wojna francuska, która położyła kres środkiem egzekucyjnym. Tak więc zrządzenie losu nie dopuściło tylko, że ten pierwszy zamach Prusaków na własność polską nie powiódł się.

Po klęsce, zadanej wojsku pruskiemu pod Jeną i Auerstädt, w r. 1807, z mocy traktatu, zawartego w Tylży, nastąpiła proklamacya Księstwa Warszawskiego, które objęło z początku zabór pruski, prócz Gdańska, zamienionego na miasto wolne i Obwodu Białostockiego, oddanego Rosyi. Ziemie te były wycieuczone, zniszczone i znieprawione przez panowanie poprzednie. Środki, które powyżej szkicowo określiliśmy, wywołały najdotkliwszy upadek ekonomiczny. Czasy pruskie odznaczały się szczególną lekkomyślnością obyczaju narodowego, szalem rozrzutności i żądzą użycia, co jeszcze ruinę materialną spotęgowało. Rolnictwo było zaniedbane, dobra nad wartość istotną przeciążone długami, handel utracił drogi naturalne; przemysł zanikł zupełnie. Miasta, w których podkopano samorząd, tak bardzo podupadły, że wszystkie kasy miejskie wyczerpały się z zasobów swoich.

Napoleon, żywiołowy geniusz wojny, co burzył państwa, łamał trony i tworzył nowe jednostki polityczne, założył na tych rumowiskach i zgliszczach dobrobytu podwaliny pod Księstwo Warszawskie.

Rozbudziły się wielkie nadzieje, duch obywatelski się podniósł, pokrzepiły się serca, wzniecił zapał i czyn zapłodnił, ale warunki bytu były trudne. Nastaly czasy ciężkich przejść i poświęceń. To też trzeźwi statysci współcześni nie mieli zrazu wiary silnej w ten twór, cudowną lecz kapryśną łaską losu spłodzony, w tę budowlę wątłą, wspartą na fundamentach chwiejnych. Kollataj w r. 1808 pisze o Księstwie Warszawskiem: Część Polski, którą teraz zowią Księstwem Warszawskiem, jest niepospolitą zagadką w polityce... Kraj tak mały, tak ubogi, a zarazem nawygodniej położony, wydawać się może, jako igrzysko potęgi wielkiego zwycięzcy...

Późniejsi dziejopisowie Księstwa Warszawskiego, a szczególnie najdokładniejszy jego losów historyk, Fryderyk hr. Skarbek, nie tylko barwy ponuremi, ale też z goryczą maluje stan tego państwa. Najjemniej charakteryzowano zawsze położenie ekonomiczne kraju w tym okresie; „krańcowe jego ubóstwo i bankructwo powszechne, niemal nędzę, jako plód wyzysku dyktatora“. Napoleon domagał się bezustannych ofiar na wojnę, poświęceń obywatelskich, wielkich po-

borów podatkowych, a nie dał w zamian władzy uporządkowanej, ani kierunku zbawiennej polityki handlowej. Sytuacja wrzekomie nie poprawiła się i później, gdy w r. 1809 zwiększono granice państwa przez przyłączenie ziem, należących do zaboru austriackiego, tj. Galicji Zachodniej.

Jeśli tylko zważyć fakty w oderwaniu od przyczyn, bez związku z wypadkami poprzedzającymi, jeśli ułożyć sam jeno bilans gospodarczy Księstwa, a nie szukać syntezy tych myśli przewodnich, które unosiły się wówczas ponad politykę ofiarną, nawet wycieńczającą siły materialne, ale nie pozbawioną metody ekonomicznej — to pesymizm dziejopisarski i gorycz w ocenie stanu gospodarczego, będą usprawiedliwione.

Trzeba atoli dokładniej zbadać położenie, z ułamków rozperzchłych odtworzyć tę epokę burzliwą, a obok cieniów znajdując się i światła, zarodki rozwoju i ekonomicznego powodzenia, które zakwitło też w następującej fazie politycznej, za Królestwa Kongresowego. Obydwie te epoki, choć takie różne co do formy rządów, choć rozdarte przepaścią, która dzieli wojnę od pokoju, miały wiele łącznych pierwiastków technienia gospodarczego. Nie bez słuszności król Fryderyk August powiedział w pierwszej odezwie swej do narodu polskiego dnia 27 września 1807 r., że społeczeństwo ma teraz otwarte przed sobą pole oręża, prawa, nauk, sztuk i handlu, które aż dotąd zamknięte dlań było.

Księstwo w roku 1807 przy utworzeniu liczyło około 2,150,000 mieszkańców i 1,736 mil kwadr. Na tę ludność nieliczną złożono ciężkie brzemie podatkowe, z krwi i mienia. Już dnia 15 grudnia 1806 roku, a więc przed proklamacją Księstwa, izba najwyższa wojenna i administracyi wydała rozporządzenie względem poboru do wojska, nakazując stawienie z każdych 10 dymów jednego człowieka, kosztem właściciela, umundurowanego i zbrojnego. Na miasta rozłożono dostarczenie żołnierzy podług ludności. Sam departament warszawski musiał dostarczyć 5,000 ludzi i 1,200 koni. Potem dekret króla Fryderyka Augusta ustalił przyprowadzenie wojsk do liczby, przepisanej konstytucją, czyli do 30,000. Gdy później Księstwo objęło jeszcze prowincye austriackie, ludność wzrosła do 4,230,000, a przestrzeń do 2,655 mil kw. Ale za to w końcu istnienia tego państwa pobory wojskowe jeszcze się wzmogły i wreszcie w roku 1812, uchwała rady ministrów nakazywała nadto dostawienie z każdych 50 dymów jednego człowieka ubranego i uzbrojonego, na koniu wiejskim, zdrowym i mocnym. Przedtem już, w myśl uchwały sejmowej z r. 1809, ustanowiono cały szereg uciążliwych podatków w pieniądzach i w naturze. Tak więc powiększono podatek „ofiar-

ry“ na wojsko w ten sposób, że z wszelkich ziemiańskich posiadłości dziedzicznych i z dóbr duchownych miała być złożona suma 4 miliony 2 kroć sto tysięcy złotych polskich. Wprowadzono zarazem pobór podatków w naturze dla wojska, mianowicie zboża, siana i słomy w ilościach tak znacznych, że wartość ta czyniła po pierwszym sejmie około 13 milionów złotych polskich, a po drugim około 25 mil. złotych polskich.

Na handel, profesye, rzemiosła i fabryki nałożono wysoką opłatę patentową. Słowem, poświęcenia i opodatkowania musiały istotnie kraj wysilić. A jednak ofiarność obywatelska była taka bezgraniczna, że pomimo wycieńczenia materyalnego, na pierwszym sejmie bez opozycji przyznano wszystkie nowe podatki i w tem jeszcze pobór osobisty na koszty fortyfikacyi, podwyższenie podymnego i opłaty stempłowe.

Wśród takich ciężarów podatkowych, wśród gwałtownych przestoczeń i burz wojennych zupełnie prawidłowy i stopniowy rozwój gospodarczy oczywiście uskuteczniać się nie mógł. Były ponad to warunki prawodawcze i polityczne, powodujące wstrząśnienia w kierunkach bytu społecznego. Ale nawet w tych okolicznościach wyjątkowych nowy rzeczy porządek wniósł do życia czynniki reform, a w polityce gospodarczej, choć kołysanej falami wezbranemi ujawniała się troska o zaszczerpienie dobrobytu, o ochronę interesów ekonomicznych. W całych dziejach gospodarczych Księstwa uwydatnia się często rozpaczliwe starcie dwóch dążeń przeciwstawnych: ofiarności—do której parła idea polityczna z jednej strony, oraz z drugiej opieka nad rozwojem rolnictwa, handlu i przemysłu.

Karta konstytucyjna Księstwa, nadana w lipcu 1807 roku, tworzyła zebranie tych zasad, których Napoleon się trzymał w swem krewkiem organizowaniu nowych jednostek politycznych. Były to zasady, na ogół bardzo postępowe, acz nie w pełni dopasowane do życia.

Wśród nowych praw konstytucyi artykuł 4 głosił:

„Znosi się niewola. Wszyscy obywatele równi przed obliczem prawa“.

Przepis ten zniósł więc poddaństwo chłopów. Rozwinięcie zasady tej znalazło się w dekreście z grudnia 1807 roku. Rolnikom-włóścianom, z wyrobku żyjącym, nadano tu prawo „wyprowadzania się z miejsca, w którym dotychczas zostawali, i przenoszenia się w obrębie Księstwa Warszawskiego tam, gdzie dobra wola ich będzie“, o ile tylko opowiedzą się wprzódzy dziedzicowi, oraz oddadzą mu własność gruntową, składającą się z załogi i zasiewów. Była to niewątpliwie wielka deklaracya praw człowieka, lecz niestety nie skojarzono jej

z organiczną reformą agrarną. Skutkiem tego chłop, nie uzyskawszy, obok wolności, gruntu, ani warunków, pod którymi mógłby go uzyskać, poprawy bytu nie zaznał. Dawne stosunki pańszczyźniane musiały się mimo wszystko utrzymać. Tyle jednak postępu moralnego przyniosła ta zmiana, że odtąd sprawa uwłaszczenia włościan na trwałe weszła na kolej dzienną. Sam dekret grudniowy wskazywał już w teorii drogę do umów czynszowych, bo w § 4-ym opiewał: „Na każde wezwanie sądowe, osoby, do tego umocowane, przyjmować będą dobrowolne umowy, czy to wieczyste przedaźne, czy też doczesne, podług warunków, dobrowolnie przez strony ugodzonych pomiędzy rolnikami i dziedzicami“. Lubo prawo to pozostało martwą literą, myśl nadania włościanom ziemi zakiełkowała w umysłach i natchnęła wielu rozumnych obywateli projektami, które znalazły wyraz w licznych publikacjach i broszurach. Były to punkty wyjścia do prac, które w r. 1814 za nowego rządu rozstrząsano w Dyrekcji ministerium spraw wewnętrznych, a które jeszcze w kilkadziesiąt lat później zaprzętały Towarzystwo Rolnicze.

Chociaż jednak za Księstwa faktyczne położenie szlachty co do korzystania z pańszczyzny nie zmieniło się, stan rolnictwa zgoła pomyślny nie był. Przedewszystkiem pokutowały grzechy czasów pruskich. Ciężary hipoteczne zawisły brzemieniem groźnym nad ziemią całą. Z początku ceny płodów rolnych były jeszcze wysokie (33 złp. za korzec pszenicy i 25 złp. za korzec żyta), ale potem coraz dotkliwiej do upadku się chyliły (w roku 1810 cena pszenicy wynosiła 16½ złp., a cena żyta 9 złp.). A cała wytwórczość rolnicza polegała wówczas na zbożu, bo hodowla była zaniedbana, przemysły zaś gospodarczo - rolne prawie nieznanne. Tymczasem wywóz ustał, albowiem wojska oblegały Gdańsk, a nawet, gdy pokój zapanował, na wolnej dotychczas Wiśle stanęła zaporą nieprzeparta; Gdańsk stał się miastem obcym. To też ziemianie współcześni boleją nad upadkiem dobrobytu, co tak wymownie wypowiada w „Głosach posła Maryampolskiego“, Józef Godlewski, jeden z najznamienitszych posłów na sejmie:

„Weźcie cenę płodów waszych, wyliczcie potrzeby domowe, drogością soli i produktów, kupić się mających, zwiększone, pokalkulujcie wiele z propinacyi, wiele z czynszów i innych gotowych opłat wypływa, a łatwo przekonacie się, że dzisiejszy dochód z dóbr ledwie wystarcza na potrzeby domowe, a podatki z innych funduszów, albo z zaciągania długu opłacane być muszą.“

Lecz badając głębiej stosunki, trudno przeoczyć, że rząd to krytyczne położenie rolników uwzględniał, o ile możności. Nawet historia tyle zniesławionych „sum bajońskich“, które Skarbek i wielu za

jego wskazaniem uważa za krzywdę, rolnictwu wyrządzoną, jest owszem dowodem łagodnego i pobłażliwego postępowania rządu z ziemianami-wierzycielami.

Czem były sumy bajońskie, lepiej znane ogółowi, jako przenośnia, jako symbol sum niezliczonych, niż jako pojęcie konkretne?

Kapitały dawniej pruskie, zahypotekowane na dobrach krajowych za pruskiego panowania, te same, których egzekucya groziła wywłaszczeniem rolnikom polskim, konwencją w Bajonnie dnia 10 1808 roku, ustąpiono przez dwór pruski Napoleonowi. Cesarz sumy te, noszące nazwę bajońskich, obliczone na przeszło 47 milionów franków (włącznie z procentem), przelał na skarb Księstwa, dla zasilenia, jak się to nazywało, dochodów kraju, zastrzegając sobie 20 milionów fr. w bonach, spłacić się mających w ciągu lat trzech. Ze stanowiska interesów skarbu Księstwa, nie była to może operacya korzystna, bo dar ten, ze względu na krytyczny stan dóbr, długami pruskimi obciążonych, wątpliwe miał znaczenie. Ale to jest uwagi godne i to świadczy o względności rządu Księstwa, że sumy te nigdy przez cały okres rządów wyegzekwowane nie zostały, pomimo różnych prób łagodnego i częściowego ich ściągania. Wprawdzie począwszy od dnia 6 czerwca 1808 roku stopniowo wydają się dekrety królewskie, nakazujące pobór najpierw procentów, a później kapitałów zaległych, wprawdzie czynią się nawet sądowe zapowiedzenia i nakazy sum bajońskich, lecz ostatecznie rygory egzekucyjne zastosowania zgoła nie znajdują. Zaostrzano tylko groźby, zmieniano formę rozporządzeń, rozkłady sum rozdrabiano i przewlekano na dłuższe okresy, ale do sprzedaży przymusowych nigdy nie przyszło. Widząc trudność ściągnięcia należności od zubożałych ziemian, których zniszczyły już rządy pruskie, to ustanawiano w 1809 komisye do zawierania układów z dłużnikami, to znów przedsiębrano środki prawodawcze, rozdzielające długi te na raty drobne. Nakoniec w roku 1811 ogłoszony został dekret, z którego mocy na cały kapitał dłużny wystawione być miały listy zastawne „na okaziciela“, obciążające dobra do $\frac{3}{5}$ ocenionej ich wartości, a umarzać się mające w ciągu lat 41 i $\frac{3}{4}$ z procentowaniem rocznem po 6 od sta, łącznie z zaległą prowizją. Ustanowiono nawet „Główną Dyrekcyę kredytową“, którą powołano do kierowania operacyą. Atoli i ten środek spłaty sum dłużnych, obmyślony tak bardzo oględnie i na owe czasy postępowo z punktu widzenia finansowego, żadnego skutku nie wydał, bo i tym razem nie chciano się uciec do wywłaszczeń przymusowych. Pokazuje się więc, że niesława, którą rzucono na sumy bajońskie, jako na rzekome narzędzie wyzysku, nie ma podstawy żadnej. Sumy te, będące smu-

tną puścizną panowania pruskiego, w epoce Księstwa na prawdę egzekwowane nie były i wskutek postanowień kongresu wiedeńskiego z r. 1815 wróciły znów do rządu pruskiego.

Wogóle przy wymaganiu ofiar patryotycznych na rzecz skarbu rząd Księstwa czynił dłużnikom wszelkie ułatwienia kredytowe. Dwukrotnie ogłaszano „moratorium“ powszechne, czyli zawieszenie wypłaty długów, aby wycieńczonych debitorów nie niszczyć.

Zarazem rząd dążył do uporządkowania, o ile możności, stosunków handlowych, do zapoczątkowania świadomej polityki ładu gospodarczego.

Trudno przedewszystkiem pominąć znaczenie doniosłe, ba! nawet epokowe, które miało zaprowadzenie kodeksu Napoleona od maja roku 1808, oraz kodeksu handlowego od maja 1809 r. Kraj zdobył dzięki tym reformom najdoskonalsze podstawy regulowania życia społecznego i stosunków handlowych, wszedł w prąd najwyższej kultury zasad społeczno-prawnych, z których dotychczas jeszcze korzystamy: To też ze zdumieniem i niedowierzaniem czytamy obecnie w „Dziejach“ Skarbka zdanie następujące: „Nagle narzucenie kodeksu Napoleona było powszechnie uważane za klęskę narodową“. Faktem istotnym jest, że kodeks zrazu nie spotkał się z uznaniem społeczeństwa. Rozczarowanie wynikało po części stąd, że komisya, która po utworzeniu Księstwa objęła rząd prowizoryczny, pragnęła przywrócić moc dawnego prawa polskiego. Tymczasem konstytucya orzekła, że kodeks Napoleona powinien być prawem cywilnem, obowiązującym w Księstwie.

Godnem uwagi jest to, że po upadku Księstwa w r. 1814 komitet organizacyjny cywilny orzekł, że kodeks Napoleona powinien być zniesiony i zastąpiony tymczasowo przez statut litewski, a następnie przez nowy kodeks polski. Chwilowe jednak niechęci nie mogą być uważane, jak chce Skarbek, za źródło nowych klęsk narodowych. Kodeks wniósł do życia trwałe i postępowe regulatory prawa. Po wprowadzeniu kodeksu założono też w Warszawie szkołę prawa, pierwszą pepinię fachowego wykształconych urzędników sądowych i krzewicielkę wśród społeczeństwa nowoczesnych pojęć sprawiedliwości.

Rozważymy w dalszym ciągu, na jakich teoriach gruntowała się polityka handlowa Księstwa. Ale najpierw zbadać trzeba, jakie były kierunki handlu i przemysłu. Łatwo zrozumieć, co już po części zaznaczyliśmy, że położenie ogólne nie mogło sprzyjać rozwojowi ruchu ekonomicznego.

Burze wojenne i przewroty zawisły nad życiem społecznym, obniżając skalę zdolności spożywczej ogółu i zagrażając handlowi

utarte szlaki. Atoli nie brakło czynników dodatnich, które pod pewnemi przynajmniej względami podnieść musiały dobrobyt. Art. 83 konstytucyi Księstwa stanowił, że „nikt nie może sprawować urzędów, bądź duchowych, bądź cywilnych, kto nie jest obywatelem Księstwa Warszawskiego“, a więc urzędy stanęły na nowo otworem, torując drogę do pożytecznej, a i dość korzystnej służby publicznej. Stąd w tej mierze pomyślność materyalna bez wątpienia się podniosła. Że handel i rękodzieła nawet w tych okolicznościach trudnych miały znaczenie, o tem świadczy siła podatkowa. Po wprowadzeniu w r. 1809 podatku patentowego na kunszt i handel, wpływ z tego poboru uczynił w ciągu roku 309,107 złp., co było wprawdzie znacznie mniej od sumy preliminowanej, lecz na ówczesne stosunki, zwłaszcza w pierwszym okresie mocy obowiązującej nowej opłaty, stanowiło to kwotę dość pokaźną. Handel oczywiście skupił się w miastach, które podupadły, lecz tętnił tu ruch czasami żwawszy; znajdujemy bowiem ślady powstawania nowych procederów, dość licznego zapisywania się kupców do konfraternii warszawskiej i wzrostu wekslarzy w Warszawie, co uwarunkowało specjalne przepisy nawet, normujące wekslarstwo.

W „Głosach posta Maryampolskiego“ są ciekawe dane, odnoszące się do bilansu handlowego Księstwa w r. 1808/9. Bilans korzystnie się nie przedstawił, przywóz czynił 51 mil. złp., wywóz tylko 17 $\frac{1}{3}$ mil., czyli około trzeciej części pierwszego. Warto wszelako zwrócić uwagę na ważny komentarz dodatkowy Godlewskiego, że przywóz towarów, które w taryfie nazywano „zbytkowemi“, miał wartości 26 $\frac{1}{2}$ mil. (sic) złp., a w tem samych win francuskich za 10 $\frac{3}{4}$ mil. złp.! Jeśli tedy konsumpcya trawiła takie masy przedmiotów zbytku, jeśli sycono pragnienie taką ilością wina, to znowu stan materyalny niektórych przynajmniej warstw nie mógł być taki opłakania godny.

Co się tyczy przemysłu, to położenie Księstwa znacznie się poprawiło od czasu pokoju wiedeńskiego w październiku 1809 roku, gdy przyłączono Galicyę zachodnią, okrąg Zamoyski, oraz połowę Wieliczki. Przybyły fabryki wyrobów żelaznych między Radomiem a Sandomierzem, jako to: rządowe w Suchedniowie, Samsonowie itp., oraz prywatne w Końskich. Fabryk tych liczono wogóle 17. Nadto kilkadziesiąt sukna, kilkanaście hut szklanych, manufaktur pasów, wstążek, nankinów, fajansu, papieru — wszystko to wzbogaciło produkcję krajową. Przytem wartość soli z Wieliczki czyniła na dział Księstwa imponującą sumę 2,996,507 złp.

Nie przeciążając dalej szczegółami tych wskazówek o handlu i przemyśle, przechodzimy teraz do polityki ekonomicznej rządu, usi-

lującej poprzeć dalszy rozwój gospodarczy. We wskazówkach polityki tej może się znaleźć najlepsza próba ówczesnej świadomości społecznej.

Zaznaczymy na początku, że pierwszym kierownikiem skarbości Księstwa był Tadeusz Dembowski, w r. 1794 radca Najwyższej Rady narodowej, w r. 1806, członek rządu tymczasowego, później dyrektor generalny komisji przychodów i skarbu, a od r. 1807 do zgonu w roku 1809, minister skarbu. Był to statysta zdolny, ale z czasów jego działalności mało jest jeszcze reform, mających na celu ustalenie i podniesienie handlu. Zniewolony okolicznościami musiał się więcej zajmować porządkowaniem finansów, a zwłaszcza przychodów. Ale wyjaśnić trzeba, że z mocy samej konstytucyi, a raczej w dopełnianiu jej, stojący na czele administracyi departamentu, każdy prefekt miał obowiązek między innymi dozoru nad gospodarstwem rolnem, nad hodowlą, borami, lasami, nad fabrykami rękodzielniczymi, kunsztami, handlem i kopalniami, nad ułatwieniem wszelkiej cyrkulacyi, szczególnie nad targami, jarmarkami, sprzedażą żywności i innych przedmiotów, potrzebnych do życia i wygody. Nadto ważna reforma powstała pod formą rad handlowych, utworzonych w Warszawie, Toruniu, Bydgoszczy, Kaliszu, Lesznie, Wschowie, Rawiczu, Międzyrzeczu i Płocku.

Było to urządzenie wyborcze, mające atrybucye „uwiadomiania rządu o przeszkodach, które wstrzymują wzrost handlu, przemysłu i rękodziel“, podające „sposoby do uprzątnienia tych przeszkód i przekładające myśli względem pomnożenia pomyślności przemysłu i handlu.“ Prawodawca ustanowił jeszcze radę handlową ogólną, wybieraną z pośród kandydatów, których powoływały rady poszczególne. Powinnością rady tej było „dawanie objaśnień i opinii we wszystkich przypadkach, w których od ministra będzie zapytana“. Podług § 16 odpowiedniego dekretu „nikt nie mógł być w radzie handlowej, kto najmniej lat 6 nie był kupcem lub handlu jakiego znacznego nie prowadził, lub nakoniec nie był na czele jakiejś fabryki“. Owe rady były słowem izbami handlowemi, które rządy Napoleona, lub rządy pośrednio odeń zawisłe, wszędzie podówczas zaprowadzały i które stały się też pierwowzorem instytucyi, obecnie z pożytkiem dla handlu i przemysłu na zachodzie działających. U nas znikły one wraz z Księstwem Warszawskim.

Bardzo oryginalne rozporządzenie, regulujące wekslarstwo, wydane zostało przez ministra policji w roku 1808. Wychodząc z motywów, że „codziennie ujawniają się skargi, iż poważna liczba wekslarzy w Warszawie, żadnym opisom rządowym nie podlegająca, stanowiąc arbitralną cenę między złotem, grubą i zdawkową monetą,

staje się ciężarem dla publiczności“, rozporządzenie to nakazuje, że „liczba wekslarzy do pięciu uprzywilejowanych, po jednym kantorze mających w Warszawie, powinna być zredukowana; że będzie oznaczony dzień w tygodniu, w którym kupcy na sesyi, wraz z wekslarzami, w przytomności oficjalisty, od ministra policji oznaczonego, kurs na cały tydzień wszelkich pieniędzy i monet ustanowią, podług którego ani wyżej, ani niżej wekslować nie wolno; że każdy wekslarz winien okazać, że ma czystego funduszu złotych 30,000.“ Nakoniec dodano jeszcze przepis, że wszelkie szynkowanie jakichkolwiek trunków w kantorze wekslu jest zabronione. Rozporządzenie to wygląda dziwacznie, nawet śmiesznie, gdy rozważamy je ze stanowiska stosunków społecznych, lecz w owej epoce było ono przezorną reglamentacją wymiany pieniędzy, ochroną publiczności przed nadużyciami wekslarzy i niejako surogatem giełdy, kursa stanawiającej. Traci ona zgoła odcień komizmu, jeśli uprzytomnimy sobie, iż oznaczenie wartości monet było wtedy tak wyłącznie zależne od wekslarzy, iż są dowody, że gdy zachodziła potrzeba określenia kursu pieniędzy francuskich (nawet dla rządu Księstwa), trzeba było odwoływać się do rzeczoznawstwa wekslarzy i to orzeczenie porównywać z kursami, ogłoszonymi w gazetach wrocławskich. A i w tych wypadkach wynikały sprzeczności, trudne do pogodzenia.

Drugim ministrem skarbu Księstwa był Jan Węgliński, mąż stanu, który wybitnymi talentami nie celował, zwłaszcza skarbem administrował nieudolnie, lecz nie schodził też z gościńca polityki gospodarczej, nacechowanej nie tylko wolą dobrą, ale nadto dążnościami opiekuńczymi. Ważną reformą, jaką wprowadza w roku 1810, jest urządzenie mennicy, bijącej monetę podług stopy pruskiej, którą to jednostkę przyjęto przez uchwałę Komisji Rządzącej z roku 1807. Dekret ten uchwalił w Księstwie dwojaką monetę: złotą (dukaty, mające wartość dukatów holenderskich), srebrną (grubą: sześćzłotówki, dwuzłotówki i złotówki, tudzież zdawkową 10 i 5 groszy), oraz miedzianą (3 grosze, grosze i półgrosze).

Rząd Księstwa dbał szczerze o uporządkowanie monety i o usunięcie z obiegu pieniędzy papierowych, które dostały się tu wraz z prowincjami austriackimi. Później jednak wypadki polityczne i trudności finansowe nieco zwichnęły tę równowagę monetarną. Naprzód dla powiększenia zasobów gotowizny dozwolono na obieg pieniędzy zagranicznych, podług tabel ewaluacyjnych, potem puszczono w kurs pieniądze papierowe. Starano się wszelako i te pieniądze zabezpieczyć na podstawach realnych, mianowicie na dochodach z ceł i ustanowiono kasę wymiany, która na każde żądanie wypłacała za

bilety kasowe na pieniądze gotowe, z potrąceniem czterech groszy na 6 złotych.

Niepozbawioną świadomości ochrony przemysłowej i handlowej była polityka celna Księstwa. Zachodziły tu wprawdzie niejaki wahania, ale na ogół odznaczała się ona tendencją opiekuńczą, wynikającą z tych prądów teoryi gospodarczych, którym naówczas powszechnie hołdowano, i które też były zgodne z dążnościami do zaszczenia nowej pracy produkcyjnej. Sprzeczności zaś, które ujawniały się, miały z jednej strony związek z polityką, narzuconą przez system kontynentalny, będący nieuniknionym skutkiem podlegania woli Napoleona, a z drugiej z pewnem jeszcze błędzeniem po omacku, wobec niewyrobionych form życia handlowego. Ale to wszystko nie powinno przesłaniać faktu oczywistego, że w warunkach, takich trudnych, takich wyjątkowych, rozporządzeniom prawodawczym, ustalającym stosunki celne, przyświecała myśl rozwoju przemysłu i podźwignięcia handlu z upadku.

Naturalnie tej myśli nie było w prawach, które, wskutek przystąpienia do systematu, zawartego w dekretach cesarza Francyi względem handlu z Austrą i i jej koloniami, zniewoliły Księstwo do zerwania wszelkich związków handlowych z Anglią. Prawa te, nakładające cła na towary angielskie kolonialne, które nawet już znajdowały się w rękach kupców, a następnie nakładające na te produkty sekwestr i konfiskatę, stanowiły następstwo dekretu wydanego przez Napoleona dnia 21 listopada 1806 r. Dekret orzekał, że cała Anglia ogłoszoną zostaje za znajdującą się w stanie blokady, zaś mieszkańcom krajów, poddanych Napoleonowi, zabrania się wszelkich z nią stosunków handlowych i listownych. Był to właśnie ów słynny system kontynentalny, mający na celu odosobnienie i zniszczenie handlu angielskiego, system, który uznawał stosunki z Anglią za kontrabandę polityczną, a który, nie zrujnowawszy Wielkiej Brytanii, wytworzył handel przemytniczy na znaczną skalę, i dotkliwie zaciążył na wymianie krajów lądu stałego. Księstwo Warszawskie musiało ponieść całą konsekwencję tej polityki, obowiązującej bezwarunkowo wszystkie państwa, poddane Napoleonowi.

Te rozporządzenia prohibicyjne szkodziły interesom handlu krajowego, ale nie były zależne od wyboru władz Księstwa. Natomiast w innych sferach dostrzedz można objawy wyrozumowanej polityki celnej. Na ogół obowiązywały wówczas jeszcze cła wywozowe, czyli tak zwane „ewekta“, mające ochronić przemysł od utraty materiałów surowych. W taryfie tej jednak, w miarę potrzeb gospodarczych, czyniono często wyłomy. Tak więc w roku 1811 uwolniono od opłat celnych wszystkie gatunki żelaza krajowego, wycho-

dzące za granicę i zniżono cło wywozowe od surowca w gęsiach i rudy; później zniżono znowu także cło od klepek sosnowych. Przeciwnie — zabroniono wywozu szmat i płatków, oraz innych materiałów surowych, do wyrobu papieru zdalnych, tudzież wprowadzono cło na wywóz sukna, płótna i przędzy, w obronie interesów farbiarni krajowych. Z drugiej strony stosowne przepisy co do przywozu miały podnieść rozwój przemysłu krajowego. Wzbroniono przywozu towarów i przędzy bawełnianych rękodzielni pruskich, podwyższono cła od sukiennych wyrobów zagranicznych, podniesiono opłatę celną od szkła i starano się rozwinąć cukrownictwo przez stosowne przepisy taryfowe. Rozwój przemysłu i handlu krajowego miały wreszcie na celu rozporządzania: o wzajemności dla państw austriackich względem opłat od wprowadzonego i wyprowadzonego z Księstwa żelastwa (chodziło tu o dopomożenie kuźnicom krajowym), o uwolnienie przez lat 6 od wszelkich ciężarów i opłat rzemieślników i robotników, osiadających w Księstwie, o zniesienie opłat od towarów, przez Księstwo tranzyto przechodzących itp.

Równocześnie zdarzały się wypadki, że z pewnemi zastrzeżeniami zakazywano wywozu żyta, furażu itp.

Motywowano te zakazy nieurodzajem, powszechnym prawie w krajach Księstwa w roku 1811. Ponieważ zatem nieograniczona wolność wywozu, jak czytamy dosłownie w motywach, mogłaby i wewnętrzne potrzeby kraju na zawód i uboższą klasę ludu na zupełny narazić niedostatek, przeto poczyniono co do wywozu ograniczenia; chcąc jednak, jak powiedziano dalej, „ojcowską w powyższym względzie troskliwość, ile tylko stan rzeczy pozwala, z przyzwyczajonym względem pogodzić, nie tamowano odbytu produktów“. Prohibicje te uchylono też zupełnie we wrześniu 1812 r.

Z tych kilku przykładów okazuje się, że polityka ekonomiczna Księstwa nietylko bezmyślna nie była, lecz owszem, ile możliwości, starała się stać czynnie na straży interesu powszechnego. Mimo to, system celny spotkał się na sejmie roku 1811 z surowem oskarżeniem znanego już nam posła Godlewskiego.

„Nie widać — prawil on między innemi — aby z onego istotnie źródła płody i reprodukcje krajowe, oraz potrzeby i sposób do życia mieszkańców przestrzegano, aby w onym dziełnie do szczęścia i pomyslności kraju działające środki upatrywano itp.“

Dalej poseł Maryampolski wywodził, że „należy przez wysokie cło wstrzymać przywóz do kraju tych produktów, których kraj ma dosyć, albo które do wygody i zbytku służą, a przeciwnie przez małe cło, albo zniesienie onego, ułatwić przywóz tych, bez których kraj obejść się nie może“.

Widać stąd, że poseł Maryampolski doskonale sobie przyswoił teorię cel, lecz widać też, iż nie miał przeświadczenia, że między pożądanymi zyczeniami teorii, a płodnym skutkiem praktyki, jest przeział taki wielki, że trudno go w pełni opanować. Dziś jesteśmy bogatsi prawie o całe stulecie doświadczeń społeczno-gospodarczych, a jednak i dziś istnieje jeszcze przepaść między postulatami zasadniczymi, które Godlewski tak trafnie sformułował, a istotnem ich urzeczywistnieniem za pomocą polityki celnej. Podobnie, jak ministrom Księstwa Warszawskiego zdawało się, że ich środki ochrony przemysłu dźwigną i mogą wytwórczość i dobrobyt, choć życie przynosiło często zawody, tak też i obecnie jeszcze protekcyonizm nieraz prowadzi do gorzkich rozczarowań.

Aby wyczerpać charakterystykę polityki gospodarczej Księstwa, trzeba jeszcze zapoznać się z najwybitniejszym ministrem skarbu tej epoki.

Dużo się w ostatnich czasach pisało o niepożytych zasługach ministra skarbu z czasów Królestwa kongresowego, ks. Druckiego-Lubeckiego. Ale postacią, zdaniem naszym, wydatniejszą, godną wysunięcia na światło historii z cieniów zapomnienia, był minister finansów z doby drugiego sejmiku Księstwa, Tadeusz Matuszewic, najczęściej mylnie Matuszewiczem nazywany. Statysta niepospolity, pisarz utalentowany, świetny mówca sejmowy, powołany został w roku 1811 na urząd ministeryalny. Przyświecała mu już wtedy sława obywatela zasłużonego i polityka, który wyrabiał się w posługach rzeeczypospolitej, posłował na sejm wielki z województwa Brzeskiego i był jednym z najdzielniejszych posłów tego sejmiku. Tryumfy swe na sejmie zawdzięczał gorącej obronie spraw publicznych i swadzie krasomówczej. Celował też talentem petyckim, wytwornie tłómacząc Horacego. Należał do tak zwanej „Szkoły Puławskiej,” która w rezydencji księcia Adama Czartoryskiego, hołdując naukom i sztukom, zaprawiała się razem do służby krajowi. Był potem członkiem rządu centralnego Galicyi i jeździł stamtąd do Wiednia w deputacyi do Napoleona, starając się o to, aby cesarz Galicyę do Księstwa przyłączył. Gdy zaś tylko część cyrkułu Zamoyskiego przywrócić miano Księstwu, Matuszewic, oceniając doniosłość Zamościa i Wieliczki, używał wpływu Mareta na cesarza, a przywołany znowu do Napoleona, wymową swą sprawił, że ten zakreślił na mapie Księstwa obydwie okręgi. Jak wiadomo jednak, ostatecznie Wieliczkę przepołowiono.

Skoro okazało się, że w skarbie Księstwa panuje nieład, skutkiem złej administracyi ministra Węglińskiego, Napoleon zawezwał Matuszewicę do Paryża, jako sobie znanego już męża zaufania, i jemu pole-

cił opracowanie memoriału o stanie kraju. Odtąd rola Matuszewica w Księstwie jest nader ważna dla rozwoju gospodarstwa skarbowego i ekonomicznego. On też złożył potem w Warszawie w imieniu deputacyi rady stanu nowe sprawozdanie obszerne. Raport ten ożywiła myśl naprawy ogólnych stosunków gospodarczych przy pilnej atoli uwadze na potrzeby finansowe, aby pokrzepić siłę wojenną kraju. Troszczył się o oszczędności, nie chcąc narodu wycieńczonego nadmiernie obciążać, lecz pragnął współrzędnie zasilać skarb, który miał obowiązek pokrywania potrzeb niezliczonych. Pierwszy tedy wpadł na pomysł kredytu, mającego się zaciągnąć we Francyi. W następstwie tego przysłała do skutku pożyczka 12 milionów franków, u bankiera Lafitte w Paryżu zaciągnięta.

Skarbek pożyczkę tę nagania, nazywając ją antycypacją 12 mil. fr., dla kraju straconych, z których tylko kapitaliści zagraniczni zyski odnieść mieli. Tymczasem pożyczka obmyślona była bardzo rozumnie i ze statecznością finansową. Postanowiono puścić w obrot 12,000 obligów po 1,000 fr., zabezpieczonych na żupach solnych Wieliczki, z których dochód przeznaczono na opłacenie procentów po 6%. Pożyczka umarza się w ciągu lat 14 przez losowanie corocznie 1,000 obligów. Matuszewic doskonale spożytkował ten właśnie nowy nabytek, o który sam zabiegi pilne czynił, t. j. dochody z Wieliczki. Wprawdzie pożyczka ta niezbyt się powiodła, lecz tylko wypadki polityczne stanęły jej szansom na przeszkodzie.

We wrześniu 1811 r. Matuszewic został ministrem skarbu. Wtedy postanowił już we wszystkich szczegółach urzeczywistnić swoją, z góry ułożoną, politykę skarbową. Obowiązujące podatki należało obniżyć, lecz zarazem podnieść trzeba było opłaty osobiste na warstwy bogatsze. Przez uchylene podwyższonych podatków ofiary, oraz innych poborów ziemskich zmniejszył ogólny podatkowy ciężar o 10,650,000 złp., szukając jednak nowych źródeł dla pokrzepienia skarbu, minister równocześnie dążył do oszczędności w wydatkach i zaprowadzić zdołał kontrolę nad budżetem wojennym, poddając różnym formalnościom żądania płatników ministra wojny, księcia Józefa Poniatowskiego. Stąd nawet spory rozliczne między nimi wynikały. Aby prawidłowy zarząd kasą wojenną mógł się ostać, zaprowadził odrębną administrację wojenną, której dyrektoróm został generał Wielhorski.

Nadszedł sejm 1811 r. Tu postać Matuszewica wyrosła i wydzwignęła się na plan pierwszy. Jego polityka finansowa znalazła poparcie u większości, która się skupiła około osoby ministra skarbu przeciw zabiegom opozycyjnym. Projekty do całego szeregu praw

skarbowych Matuszewic poprzedził mową, pełną ducha obywatelskiego i logicznych wywodów. Mowa sprawiła potężne wrażenie na umysłach i utwierdziła reprezentację narodową w przeświadczeniu, że minister skarbu prowadzi kraj ku zbawieniu. Odpierając szturm opozycji, wywodził on:

„Co o was pomyśli Napoleon, jeśli pod pozorem powściągliwości nadużyje, zeszłą przesadzonych przez złą wolę, odmówicie środków potrzebnych dla utrzymania wojska, na które liczy, na którym, może, spoczywa przyszłość Polski...”

Wszystkie środki, przez ministra zaprojektowane, zmierzały do tego, by zmienić i znośniejszemi uczynić daniny, a pomimo to odkryć nowe źródło dochodów. Projekty jego skarbowe były, bądź co bądź, ulgą dla rolnictwa, a obciążały inne przedmioty. Choć zaś trzy wnioski: podatek czopowy, nowy podatek patentowy od sztuków, handlu i profesyi, oraz pobór produktów dla wojska, znowu doznały w obradach sejmowych niejakich trudności, ostatecznie wszystkie one wraz z całym planem skarbowym ministra przyjęte zostały.

Teorye finansowe i gospodarcze Matuszewica nie mogły wydać plonu bujnego, bo wkrótce zaszły nowe wydarzenia, nowe burze polityczne wstrząsnęły Europą i krajem tym. Sam Matuszewic zajął się goręcej sprawami dyplomatycznymi, niż skarbowymi. Sejm 1812 r., odbyty pod laską ks. Czartoryskiego, działał pod wpływem Pradta i Matuszewica, który wygłosił na nim mowę pełną ognia i talentu oratorskiego. Minister skarbu pierwszy też uczynił wniosek konfederacyi generalnej.

Za rządów Królestwa Kongresowego w maju 1815 r., Matuszewic napowrót objął tekę skarbu. Urządził całą manipulację dochodów publicznych, a ustępując w r. 1817, zostawił ład wzorowy i miliony w kasie. Upřednio przez krótki czas administrowania finansami przez Niemca Krzysztofa v. Colomb, skarb byłby przyszedł do zupełnego upadku, gdyby przed ustaleniem się losów Królestwa nie usunięto Colomba z Rady Najwyższej.

Jeśli więc później, za Królestwa, Drucki-Lubecki musiał znowu dźwigać z upadku finanse, ruina ta nastąpiła dopiero między r. 1817 a 1821.

Polityka ekonomiczna Matuszewica jest w każdym razie świadectwem niezatartem, że nie brakło w tej epoce mężów, którzy, nie poświęcając zapалу obywatelskiego, mieli zarazem na oku materyalny dobrobyt ludności. Była to polityka celów świadomych, ożywiona

duchem tej kameralistyki ekonomicznej, która za czasów Księstwa Warszawskiego wzięła właśnie początek, budując program swój na kierunkach „gospodarstwa narodowego“. Tym teoryom, podówczas panującym w nauce i publicystyce, należy jeszcze słów kilka poświęcić.

Historycy, idąc zazwyczaj za utartym śladem uprzedzeń Skarbka, zarzucają epoce Księstwa Warszawskiego, że, oprócz ruiny materialnej, nie dała żadnych owoców krajowi. Staraliśmy się już powyżej wykazać, że poglądy te były błędne. W szczególności jednak nie dostrzeżono tu zgoła żadnej przewodniej myśli społeczno-ekonomicznej. Jeśli się zważy, że mamy z tego okresu wcale bogatą i głęboką publicystykę ekonomiczną i administracyjną, roztrząsającą zagadnienia rolne, handlowe i prawodawcze, powołującą się na kierunki owocnej polityki gospodarczej, i nakreślającą jej drogi dalsze, jeśli sięgniemy do pism Surowieckiego, Węgrzeckiego, Łopacińskiego, Fr. Ksaw. i Józefa Kal. Szaniawskich, Dembowskiiego Jana Sebastyana, to okaże się, że niwa ta wcale nie była jałowa. Owszem, w tych publikacjach ujawnia się wyraz przejęcia się nie tylko ich autorów, lecz także i rządu, i społeczeństwa potrzebą wytworzenia za pomocą środków administracyjnych przemysłu narodowego, podniesienia miast, rolnictwa, handlu, stworzenia mieszczaństwa, słowem świadomego uitorowania drogi polityce narodowo-gospodarczej. Surowiecki w swoich pracach porusza bieżące zagadnienia ekonomiczne. Ogłasza rozprawę: „O upadku przemysłu i miast w Polsce“, zachęcając w niej do podniesienia handlu i rękodziel; pisze „Uwagi o cechach“, daje bardzo pouczające wskazówki „O rzekach Księstwa Warszawskiego“, które nakreślił z polecenia ówczesnego ministra sprawiedliwości, Łubińskiego. Godnem zaznaczenia jest, że uregulowanie rzek, wtedy już na pierwszy plan porządku dziennego wysunięte jako sprawa najpilniejsza, od tego czasu prawie na krok się nie posunęło. Surowiecki, sam będąc wyższym urzędnikiem w ministerium, daje wyraz dążeniom gospodarczym, które rząd ożywiały. A pisma jego celują sądem światłym, wnoszą się wysoko ponad panujące jeszcze uprzedzenia do handlu i przemysłu. Rozwój rękodziel czyni on zależnym między innymi od tego, aby „rząd starał się uprzętnąć wszelkie przeszkody, tamujące przemysł rękodzielnictwa krajowego“, „żeby czujna opieka rządowa otaczała go w każdym razie przeciw dowolnym uciskom i niesprawiedliwości możniejszych“, a nadto żeby rzemieślnik nie był narażony na poniewieranie lub pogardę od innych klas obywateli.“ Podnosi też znaczenie handlu, rozumiejąc rolę kupca, jako pośrednika. Kupiec—pisze—również się przykłada wiele do wzrostu każdego

przemysłu“... „Jako bezwzględny jednacz dwóch stron, wzajemnie sobie potrzebnych, (kupiec) waży słuszny interes produkującego i konsumenta, zbliża ich do siebie, oszczędza im stratę czasu i zasłania od niebezpieczeństwa zawodów, oszukaństwa i sporów“. Są to poglądy ekonomiczne, jak na swój czas, bardzo światłe, poglądy, które zaznaczyły się już w przekonaniach rządu i przez pisma kameralistów docierać miały do świadomości społecznej. Surowiecki nieco później, bo już za Królestwa Kongresowego, ogłosił swoje „Uwagi względem poddanych w Polsce i projekt do ich uwolnienia“, lecz był to pomysł, z pewnością nawiązany już wcześniej do licznych projektów uwolnienia chłopów i organizacyi gminy, jako konsekwencyi zniesienia niewoli w r. 1807. Autor gorąco się oświadcza za uwłaszczeniem włościan, za pożytkiem i potrzebą tej reformy, twierdząc, iż „nie wie, kto by jeszcze śmiał powątpiewać o tych powodach; chyba taki, który na samej niesprawiedliwości zakłada swoje dobro“.

Węgrzecki krzewi podobne zasady gospodarcze w „Rozprawie o profesyach“ i „O włościanach polskich“, a w „Piśmie o prawach dla Księstwa Warszawskiego uchwalonych“, daje klucz do konstytucyi r. 1807, tudzież do związanych z nią przepisów z należytem uwzględnieniem praw skarbowych. Traktaty Węgrzeckiego ożywia podobne tchnienie postępu społecznego i gospodarczego; takie same myśli znajdujemy u Jana Sebastjana Dembowskiego i innych publicystów tego okresu. Cała ta publicystyka nosi na sobie cechę zabiegów o ekonomiczne odrodzenie narodu. Jest to kierunek kameralnej polityki gospodarczej, poszukujący w prawodawstwie i w rządowej opiece handlowej rękojmi rozwoju, kierunek, rozumnie dopasowany do epoki nowatorskiej, a zarazem burzliwej, gdzie wszystko dopiero odbudowywać należałoby z popiołów i ruin.

Tu nawiasowo zaznaczyć się jeszcze godzi, że kierunki teorii ekonomicznych w Polsce w bardzo wielu okresach wydatnych były doskonale zharmonizowane z prądami czasu. Tak więc już w wieku XVI i XVII mieliśmy rozwinięty merkantylizm, czyli teorię, dążącą do przyrostu bogactw za pomocą środków przyciągania pieniędzy, lub ochraniającą korzystne dla handlu systemy monety. Pierwszym naszym merkantylistą był Kopernik, który w traktacie „De optima monetae cudendae ratione“ (O najlepszym sposobie bicia mo-

nety), najpierw postawił zasadnicze twierdzenie, że pieniądz dobry obok złego utrzymać się nie zdoła, czem wyprzedził tezę angielskiego ekonomisty Greshama, choć temu ostatniemu przypisywano odkrycie tego prawa.

Frycz Modrzewski, Andrzej Ciesielski i inni w tym samym okresie renesansu naszego krzewią teorię rozwoju handlu i ochrony monety przeciw skażeniu. W wieku XVII publicystyka gospodarcza przeważnie bezimienna, merkantylizmem także natchniona, broni interesów Gdańska, miast i sprawy monetarnej. Potem znowu fizyokratyzm, to jest teoria uznawania ziemi za jedyne bogactwo, bierze u nas górę w miarę, jak handel i miasta upadały. Była to doktryna, odpowiadająca zupełnie agrarnym dążeniom społeczno-gospodarczym szlachty. W epoce sejmu czteroletniego wzięto rozbrat z jednostronną polityką gospodarczą, płużącą jeno intracie rolnej. Staszyc, w którego sądach wcieliły się ideały społeczno-gospodarcze tego okresu, krzewi politykę ekonomiczną narodową, mającą odbudować siłę państwa przez dobrobyt i finansową potęgę. Jest to zarodek kameralistyki, ale takiej, nad którą unosi się technienie wzniosłej filozofii moralno-społecznej.

W teoriach protekcyjnalizmu gospodarczego Księstwa, znowu nawiązujących przerwany na czas pewien wątek świadomości ekonomicznej, przeważała trzeźwość administracyjna i poniekąd dyplomacya narodu, zmuszonego dzielić swe zabiegi między poświęcenia dla wielkiego władcy i ofiary patryotyczne, a obronę bytu materialnego. To też prąd nauk stosowanych, badania, skojarzone z potrzebami społecznymi, stanowczo biorą tu górę. Ktoś słusznie się wyraził, że „na każdym polu widzimy tu pracę sumienną, usiłowania wielkie, aby dążnościom wieku nastarczyć“. I również słusznie utrzymuje K. Wł. Wójcicki, że Księstwo w krótkim okresie swego istnienia było jakby szkołą przygotowawczą dla Królestwa Kongresowego. We wzmożonej, tętniącej ruchem żywym działalności ówczesnej Towarzystwa przyjaciół nauk nowy prezes, niezmordowany Staszyc, w którym zawsze więcej było statysty, niż uczonego, daje także przewagę naukom społecznym nad oderwaniami dociekań metafizycznych. Słowem wszędzie panuje nowy duch dobrze odczutej pracy organicznej.

ROZMAITOCI.

„N a r ó d“ ż y d o w s k i.

Ta frakcyja syonistów, która, na razie przynajmniej, nie chce zejść na manowce mglistej idei palestyńsko-państwowej, i nie tracąc zupełnie z oczu gruntu stosunków realnych, streszcza swoje aspiracye w reklamowaniu dla żydowstwa charakteru odrębnego „narodu“, a tem samem zdobywa sobie wobec ideologów pierwszej kategorii większą siłę atrakcyjną, zwłaszcza na gruncie tak podatnym dla podobnych aspiracyi, jakim jest zawichrzona sporami narodowościowemi Galicya, posiada rodzaj sankcyi historycznej w dokumencie niepośledniego znaczenia i wieku. Przeszło sto dwadzieścia lat spoczywa ten dokument w tajnikach archiwalnych, a pochodzi z tej pamiętnej historycznej chwili, kiedy w Warszawie stronnictwo, ton nadające sejmowi czteroletniemu, z planem przymierza polsko-pruskiego łączyło także projekt dywersyi przeciw Austrii, dając szlachcie polskiej w Galicyi impuls do wystąpienia wobec cesarza Leopolda II z daleko idącemi żądaniami konstytucyjnymi, po których przyjęciu Galicya zajmowałaby była w monarchii Habsburgów stanowisko odrębne, poniekąd podobne do stanowiska Węgier. Kataklyzm dziejowy po roku 1791 zniszczył wszystkie te plany, ale była chwila, kiedy deputacya szlachty polskiej w Galicyi (Stanisław ks. Jabłonowski, Mikołaj Potocki, Józef M. hr. Ossoliński, Jan hr. Bąkowski i Jan z Batowa Batowski), konferując w tej sprawie z przychylnie usposobionym cesarzem Leopoldem II i z nieprzychylnie nastroszoną, ale chwilowo obawami zewnętrznymi zawikłaną skonsternowaną, wiedeńską kancelaryą nadworną, mogła ludzić się nadzieją zdobycia znacznych korzyści politycznych ¹⁾.

¹⁾ Prof. dr Stanisław Starzyński: Projekt galicyjskiej konstytucyi 1790/1, (Charta Leopoldina), Lwów, 1893.

W ówczesnych konferencyach ważną rolę odgrywał głos wielkorządcy galicyjskiego, Józefa hr. Brigido, zapisanego wcale przychylnie w pamięci pierwszego pokolenia polskiego w świeżo do Austrii przyłączonych ziemiach polskich. Gubernator, hr. Brigido, spełniał wprawdzie gorliwie swoją misję około „zgalicyanizowania“ ziem polskich, jako wstępu do ich zgermanizowania, ale patrzył na stosunki trzeźwo, oceniał je, ile mógł, sprawiedliwie, i postępował po ludzku. Wezwany do objawienia swojej opinii o polskich żądaniach konstytucyjnych, gubernator hr. Brigido odpowiedział na to obszernym memoriałem z dnia 12 listopada 1791 roku, w którym przedewszystkiem scharakteryzował stosunki, w Galicyi panujące. W tej charakterystyce osobny ustęp poświęcony jest żydom, i tutaj też dostała się im ta, dziś w syonistycznych enuncyacyach tak dziwnie brzmiąca i wiele do myślenia dająca, nazwa „narodu żydowskiego“.

Służymy syonistom tym dokumentem historycznym, ale — *cum beneficio inventarii*, więc ze wszystkiem, co tam może być niemiłego dla owego „narodu“, i z tem, co się ze słów hr. Brigida niewątpliwie wysnuwa.

Hr. Brigido, wyraziwszy obawę, że po ogłoszeniu konstytucyi 3 maja 1791 roku i nadaniu nowych praw miastom w Rzeczypospolitej, chrześcijańscy rękodzielnicy miast galicyjskich zaczną przenosić się za kordon, a natomiast żydzi z za kordonu, znęceni prawami, żydom galicyjskim przez cesarza Józefa II nadanemi, przesiedlać się będą do miast galicyjskich, które w skutek takiego spotęgowania się „największej przeszkody w ich rozwoju“, musiałyby dalej upadać, i „po upływie niewielu lat zmieniłyby się wszystkie, nie wyjmując nawet stolicy, Lwowa, w miasta żydowskie“, — tak mówi dalej w memoriale swoim: „Jeżeli tylko z jakim takim prawdopodobieństwem dało się oczekiwać, że żyd stanie się mieszkańcem kraju równie pożytecznym, jak chrześcijanin, to, ze względu na dobro powszechne, byłoby to obojętnem dla państwa, czy rolnictwo, przemysł fabryczny i rękodzielniczy i t. d., są uprawiane przez chrześcijanina, lub żyda. Ale nadzieja ta nigdy się nie ziści, dopóki żyd tem pozostanie, czem jest dzisiaj, a także nie można nawet myśleć w ciągu długiego czasu o zmianie obyczajów i zwyczajów, wogóle charakteru i zasad tego narodu, dopóki państwo nie użyje potrzebnych środków, a przedewszystkiem z wszelką stanowczością nie będzie zmierzać do tego, aby przynajmniej młodzież tego narodu kształcona była na pożytecznych w przyszłości, lub mniej szkodliwych członków państwa, aby przytem zapobieżono już teraz, ile możności, pomnażaniu się tego, dla chrześcijańskiej ludności Galicyi tak szkodliwego, narodu“.

Wobec tych słów gubernatora hr. Brigida, przypomina się aforyzm z Tacyta: *Arcaenum novi status imago antiqui!* I w tych słowach hr. Brigida, i w hasle, wydanem przez naszych syonistów: „naród“,

1) Memoriał ten znajduje się w autentycznym egzemplarzu w rękopisach Biblioteki Ossolińskich (№ 525, tom drugi, str. 650 — 674).

jest synonimem separatyzmu, dążności do społecznego wyodrębnienia jednej warstwy, czy jednej kategorii ludności, na której już pochodzenie i wieki wycisnęły piętno pewnej odrębności kulturalnej, piętno, zacierające się powoli, w miarę postępu, ale nie dające się zatrzeć tam, gdzie dotąd postęp nie zdołał przełamać ciężkiej zapory przesądów i ciemnoty, to jest w ciemnej masie żydowstwa. Zarzut, że nie można identyfikować nazwy „narodu“ z przed stu dwudziestu lat z dzisiejszem pojęciem „narodu“, w epoce tak rozbudzonego nacjonalizmu, byłoby tylko wykrętem, bo syoniści nie objaśnili bliżej swego hasła, i nie wskazali, jakimi drogami i środkami zamyślają rozbudzić, albo raczej stworzyć wszystkie czynniki narodowego rozwoju, jako wstępu do głównego celu, to jest do urzeczywistnienia palestyńsko-państwowej idei. Być może, że marzyciele, którym ta mglista idea zamroczyła pogląd na realne stosunki, wierzą w to, iż hasło ich o narodzie żydowskim mieści w sobie impuls do — mówiąc ich słowami — „etycznego i kulturalnego postępu“ żydowstwa. Ale takich marzycieli, gubiących się w obłokach utopii, jest mało, a miliony ich ciemnych współwyznawców, wezwane do organizowania się w drobny naród i do manifestowania tej odrębności narodowej, z pewnością nie pojmą tego wezwania inaczej, jak tylko w duchu tego separatyzmu społecznego, który właśnie zamykał im dotąd i zamykałby dalej drogę do postępu etycznego i kulturalnego.

Hr Brigido, w przytoczonym ustępie memoriału swego podniósł potrzebę energicznej interwencji państwa w tym celu, aby przynajmniej w młodszym pokoleniu żydowstwa galicyjskiego zatarty, czy złamany został dotychczasowy, szkodliwy dla Galicji, separatyzm „narodu żydowskiego“. Nie poprzestając na samym tylko wypowiedzeniu tej opinii, hr. Brigido zaprojektował w swoim memoriale szereg środków, które rażąco odbijają od tak blizkiego jeszcze tych czasów systemu józefińskiego.

Tylko dla ilustracji wspominamy o głównych środkach zaleconych. I tak na przykład: hr. Brigido proponuje, aby państwo wprost nie dopuszczało powiększania się liczby osiadłych w kraju rodzin żydowskich, i aby wydalono z kraju żydów, nie mogących się wykazać jaką profesją. Poza obrębem miast należałoby wzbronić pobytu żydom, nie trudniącym się (i to „własnymi rękoma“) rolnictwem, lub jaką profesją. Obcym żydom osiedlenie się w Galicji miałoby być dozwolone dopiero po stwierdzeniu, że osiedlający się posiada co najmniej 10,000 zlr., i z majątku tego robić będzie użytek, dla państwa pożyteczny. Z kilku synów, tylko pierworodny mógłby wchodzić w związek małżeński bez osobnego zezwolenia, a inni dopiero wtedy, gdy się wykazają wykształceniem, nabytem w szkole normalnej, praktyką, odbytą u cechowego rękodzielnika, lub u kupca, i możnością samodzielnego prowadzenia interesu. Od szynkowania mieliby żydzi być wykluczeni nie tylko po wsiach, lecz także i w miastach. Co do faktorów, włóczących się po kraju, zaleca hr. Brigido nawet wydalenie z kraju, jeżeli „taki szkodliwy i niebezpieczny włóczęga“ nie może wykazać się dostatecznem i trwałem zarobkowaniem. Wreszcie przypomina hr. Brigido obowiązek służby wojskowej i zmianę stroju odrębnego na krój niemiecki, jako środki, także

wchodzące w jego program społecznego zasymilowania żydostwa galicyjskiego.

Wnioski hr. Brigida, przedstawione kancelaryi narodowej, skąd, jak to wnioskodawca naprzód wiedział, dostać się musiały do samego cesarza, żywo sprawą całą zajętego, zawierają postulaty, którym dziś przyklasnałby najskrajniejszy antysemityzm. Był więc hr. Brigido we wnioskach swoich antysemitą, jeżeli *ex-post* zastosujemy do niego tę nazwę świeższej daty tak samo, jak poprzednio przedstawiliśmy go jako pierwszego w Galicyi, a przytem urzędowego, proklamatora „narodu żydowskiego“. Ale przed przybyciem swoim do Lwowa, hr. Brigido, który wspinał się po szczeblach hierarchii biurokratycznej w okresie ultraliberalnego józefinizmu, żadną miarą nie mógł żywić takich przekonań. Obudziły się one w nim dopiero na widok antyspołecznego separatyzmu żydów galicyjskich, których w memoryale swoim nazywa „polskimi“, dla odróżnienia od społecznie zasymilowanego żydostwa na Zachodzie.

I tutaj przypominają się słowa Tacyta: *Arcanum novi status imago antiqui!* Separatyzm żydowski jest ojcem antysemityzmu, a nie przeciwnie, jak utrzymują niektórzy obrońcy syonizmu. Jak fałszem jest twierdzenie, że obwoływanie odrębności „narodu żydowskiego“ zmierza ku etycznemu i kulturalnemu postępowi żydostwa, kiedy tymczasem chodzi właściwie o zamaskowanie autyspołecznego separatyzmu, więc o zamaskowanie wstecznego prądu, tak samo fałszem jest twierdzenie, że syonizm odezwał się w społeczeństwie polskiem jako skutek antysemityzmu. Natomiast wszyscy agitatorowie, rzucający lekkomyślnie hasła syonizmu w ciemne masy żydowskie, a tem samem zachęcający je do kultuwowania antyspołecznego separatyzmu, dobrze się nad tem zastanowić powinni, czy zdołają zażegnać burzę i zawrócić z drogi, jeżeli na widok tego separatyzmu antysemityzm, dotąd w społeczeństwie polskiem nierozbudzony, a w każdym razie niezorganizowany, wystąpi na widownię w roli odporu, prowokacją uprawnionego. Jest to uwaga, nasuwająca się z sytuacji, a nie groźba, bo komu na normalnym bycie i postępie społeczeństwa zależy, ten gorąco tego pragnąć musi, aby nigdy nie przyszło do wybijania jednego klina wstecznego (żydowskiego separatyzmu) drugim, również wstecznym klinem (antysemityzmem).

DR BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

PIŚMIENNICTWO.

ANDRZEJ BONNEFONS: Un allié de Napoléon Frédéric-Auguste, Premier Roi de Saxe et grand Duc de Varsovie 1763 — 1827, d'après les Archives du ministère des Affaires Etrangères et du royaume de Saxe. Paryż 1902.

Dzieło poświęcone Fryderykowi Augustowi, którego autor niesłusznie nazywa Wielkim Księciem Warszawskim, opiera się na dokumentach archiwalnych ministerium spraw zagranicznych, zarówno we Francyi, jak i w Saksonii. Źródła zatem pierwszorzędne i nigdzie dotychczas należycie nie spożytkowane służyły za podstawę powyższemu studyum i polecały je uwadze uczonego świata. Prócz tego Bonnefons nie pominął drukowanego materiału, który mógł rzucić charakterystyczne światło na sympatycznego i lojalnego sprzymierzeńca Napoleona. Wyzyskane prace podał on na wstępie swej książki i z owego spisu można powziąć wyobrażenie o sumiennosci, z jaką zabierał się do dzieła.

Mając pod ręką obfity materiał archiwalny, Bonnefons, prawdopodobnie lekcewał sobie pamiętniki, czy też dzieła historyczne, traktujące o powyższym monarsze i epoce, wśród której żyć i działać było mu przeznaczonem. Nie wyszło to na korzyść jego pracy. Spotykamy też w niej poważne niedostatki, któreby się łatwo dały usunąć należytem spożytkowaniem dzieł, które już oddawna zostały wydrukowanemi. Tak naprzykład, nie uwzględnił autor dzieła dwutomowego p. t. „Die Regierung Friedrich Augusts Kurfürst von Sachsen,“ napisanego przez Pölitza (1830). W książce powyższej uwzględniono szczegółowo i sumiennie stosunek Fryderyka Augusta do konstytucyi, a przedewszystkiem do reprezentacyi stanowej. Saksonia

należała do tych wyjątkowych państweczek świętego rzymskiego państwa, narodowości niemieckiej, które utrzymały w całej pełni wpływ i znaczenie reprezentacji stanowej. Gdy w innych krajach niemieckich oświecony, lecz absolutny monarchizm pozbywał się coraz bardziej współrządów, a nawet ogólnej kontroli stanowej, w Saksonii udział i wpływ stanów we wszystkich kierunkach administracji państwowej trwał dalej w pełnej mocy. Stany uchwalały, jak niegdyś, wszystkie podatki, miały kontrolę nad ich szacunkiem i, zastanawiając się nad propozycjami od tronu, przedstawiały wszelkie grawamina obciążające rządy elektorskie. Fryderyk August pozostawał zawsze z pełnem uznaniem dla przywilejów reprezentacji stanowej, jakkolwiek nie opierały się one na żadnym piśmiennym dokumencie, lecz na zwyczaju przekazywanym tradycją, a sięgającym niekiedy aż do XIII stulecia.

Zgoda i porozumienie z reprezentacją stanową zdobyły Fryderykowi Augustowi przychylność, ufność i przywiązanie wśród szerokich mas ludności saskiej. Ufano jego charakterowi i wierzone, że nie żywi żadnych skrytych planów, któreby dobru publicznemu kraju mogły być szkodliwymi. Stany przekonać się mogły w codziennej wspólnej pracy o jego poczuciu sprawiedliwości, o jego pilności i wzorowym życiu domowym, unikającym zbytku i rozrzutności. To wszystko wytworzyło pomiędzy nim a reprezentacją stanową stosunek takiej życzliwej wyrozumiałości, że ze stosunków prawno-państwowych Saksonii zniknęły wszystkie owe dokuczliwości i rozkładowe żywioły, które zazwyczaj każdej konstytucji stanowej nieodwołalnie towarzyszyły. Otóż Bonnefons pozostawił całą ową działalność Fryderyka Augusta nie uwzględnioną należycie; a szkoda, bo to działalność doniosła, choć cicha, i jej zawdzięcza Fryderyk August przydomek sprawiedliwego.

Następnie pozostawił Bonnefons niewyzyskanemi dzieła dotyczące historii Niemiec wogóle, a więc i Saksonii w szczególności; mam tu na myśli przedewszystkiem wielotomowe dzieje Niemiec Treitschkego. Treitschke, syn generała saskiego, pałał przeciwko Fryderykowi Augustowi niechęcią, za to, że nie połączył się dość wcześniej z prądami narodowemi Niemiec, i że wytrwał w sojuszu z Napoleonem. Niewątpliwie portret tego monarchy, nakreślony przez Treitschkego, jest stronnym i podmiotowy sąd historyka maciła niechęć i uprzedzenie. Ale w każdym razie zamieścił Treitschke tyle ciekawych szczegółów o życiu powyższego monarchy, że poznanie jego dzieła wyszłoby na dobre francuskiemu historykowi. Treitschke przedstawia Fryderyka Augusta, jako władzę przejętego nawskroś duchem stanowym w najgorszym tego słowa znacze-

niu. Monarcha ten wstydził się chodzić piechotą po Dreźnie, a z uboższymi, nieuprzywilejowanymi klasami ludności nie zwykł się był stykać osobiście. Treitschke wymawia mu z przekąsem, że jedyny wyjątek, jaki czynił z owego wyniosłego i sztywnego zachowania się, miał miejsce na rzecz zwyczaju polskiego i w stosunku ze szlachtą polską. Pamiętnikarstwo polskie z owej doby stwierdza również ową sztywność w stosunkach, która niejednokrotnie dotknęła niemile szlachtę polską. Nie należy jednak zarzutowi owemu dawać zbyt wielkich rozmiarów. W porównaniu z elekcyjnym Stanisławem Poniatowskim mógł rzeczywiście Fryderyk August być nieco wyniosłym, ale wogóle okazywał w Księstwie Warszawskim dużo przychylności i na sejmie, w senacie, i w Radzie Stanu, był uprzejmym i wyrozumiałym. W każdym razie Bonnefons, byłby z dzieła Treitschkego mógł skorzystać o tyle, że byłby się zapoznał z portretem, nieprzychylnym wprawdzie Fryderykowi, ale zaopatrzoną z bogatą treścią faktyczną.

Z literatury pamiętnikarskiej francuskiej pozostały autorowi nieznanymi: Bignona „Souvenirs d'un diplomate“, co tem bardziej zadziwia, iż mniej ważne dzieło powyższego pisarza, p. t. „Histoire de France depuis le 18 Brumaire“, zostało przez niego spożytkowanem. We wspomnieniach dyplomaty Bignon zamieścił bardzo ciekawe szczegóły, odnoszące się do sejmu Księstwa Warszawskiego z 1809 roku. Przedewszystkiem scharakteryzował on należycie opozycję sejmową, na której czele stał poseł maryampolski, Godlewski, i wykazał, że opozycja owa bynajmniej nie była popularną. Wreszcie Bonnefons nie znał wcale źródeł historycznych polskich, czy to archiwalnych, czy pamiętnikarskich. Pozostała mu nawet obca dySSERTACJA d-ra Żółtowskiego p. t. „Die Finanzen der Herzogthums Warschau“, która się oparła na bogatym materiale archiwów drezdeńskich. Tymczasem i archiwa warszawskie zawierają obfity materiał, odnoszący się do dziejów Księstwa Warszawskiego. Skromniejszy, ale nie mniej ważny, znajduje się w różnych bibliotekach polskich, a i literatura posiada obfity i poważny materiał pamiętnikarski.

Bonnefons zatem w pracy swej, poświęconej Fryderykowi Augustowi, nie mógł być wyczerpującym, ale w każdym razie jego studjum, opierające się na mało, lub całkiem nieznanym materiale archiwów francuskich i saskich, było dla polskiego czytelnika ważnem, oraz interesującym. Nie możemy bowiem o tem zapominać, że jeden dr Żółtowski zapoznał się z archiwami saskimi, a francuskie pozostawały w archiwach w Warszawie.

stały dotychczas przynajmniej polskim historykom nieznanymi. W książce francuskiego historyka, poświęconej Księstwu Warszawskiemu, powieść o naszych sprawach jest wogóle dość szczegółową i staranną. Nie spotykamy, jak to się zazwyczaj trafia u historyków francuskich, piszących o obcych sprawach, rażących błędów i nieznanomości elementarnych faktów. Nawet nazwiska polskie są ortograficznie podane, z wyjątkiem Małachowskiego, który stale bywa przerabianym na Małackowskiego. Opowieść historyczna trzymana jest w całej książce w tonie przedmiotowym, nie zdradzającym żadnej ubocznej tendencji. Tak samo, tj. przedmiotowo i poważnie, traktuje autor sprawy Księstwa Warszawskiego, rozumiejąc należyście trudne położenie polityczne i wynędznienie materialne, ekonomiczne, tego drobnego kraiku.

Co do historii powstania Księstwa Warszawskiego, to pozostały francuskiemu historykowi nieznanne ważne szczegóły, wydobyte z pyłu archiwalnego dzięki historykom rosyjskim. Szczegóły powyższe zebrał i przedstawił Loret, w pracy swej, p. t. „Między Jeną a Tylżą“, a oświecają one stosunek Napoleona do Polaków nieco inaczej, aniżeli dotychczas to miało miejsce. Napoleon rozpoczął rokowania Tylżyckie od propozycji, aby Aleksander I, jako król polski zagarnął dzielnice polskie do Prus włączone, ale cesarz rosyjski pozostał głuchym na kilkakrotnie powtarzające się propozycje i nawzajem namawiał Napoleona, ażeby Księstwo Warszawskie ofiarował Hieronimowi, królowi westfalskiemu. Napoleonowi wydał się powyższy projekt niemożliwym do uskutecznienia, albowiem sprowadziłby on w niedalekiej przyszłości stanowczy rozbrat Francji z Rosją. Jako rzecz pośrednia, jednająca dwa zupełnie przeciwne sobie plany, wystąpiła na jaw kandydatura króla saskiego, którą też Napoleon skwapliwie zaakceptował. Bonnefons o propozycjach Napoleona nie wie. Z książki jego dowiadujemy się o projekcie Aleksandra, pragnącego obdarzyć Hieronima koroną Księcia Warszawskiego. O motywach kierujących w tym wypadku cesarzem rosyjskim, również autor nie wiele nam umie powiedzieć. Dość, że istnieją już w literaturze polskiej prace (Loret), które nas o owej przelomowej epoce lepiej niż Bonnefons informują.

Pierwszy i drugi przyjazd Fryderyka Augusta do Księstwa Warszawskiego opisany został przez Bonnefons'a dość dokładnie i zgodnie z pamiętnikami polskimi. Zapal wojenny szlachty polskiej po odezwach Dąbrowskiego, Wybickiego z Berlina, skreślił autor należycie, chociaż niepotrzebnie powtórzył za Thiersem wiado-

mość przesadną i prawie śmieszna, że szlachta polska na wezwanie Napoleona, powtórzone przez swego generała, opuszczała zamki (chateaux), aby stanąć w narodowych szeregach. Jak legiony włoskie, tak wojsko francuskie w 1806 roku, wypełniała przeważnie uboższa szlachta, której dwory nieprzypominały w niczem zamków i zaledwie do skromnych domów mieszkalnych porównanemi być mogły. Dopiero za czasów Księstwa Warszawskiego spotykamy się w wojsku polskim coraz częściej z nazwiskami arystokratycznymi, i to nie tylko w pułkach Księstwa, ale w wojsku francuskim i gwardyi Napoleona. Bonnefons, opisując pobyt Fryderyka Augusta w Księstwie, podnosi słusznie jego przywiązanie do nowego państwa, jego pracowitość przy wykończaniu organizmu polityczno-administracyjnego Księstwa i jego wyrozumiałość na trudne położenie ekonomiczne mieszkańców nowego państewka. Wszyscy pamiętnikarze polscy uznają i podnoszą we Fryderyku Augustcie powyższe zalety. Co więcej, w tym lojalnym i sprawiedliwym monarsze tkwił pewien szczególny sentyment dla Polaków, który wypłynął z uczucia wdzięczności za powołanie go w 1790 roku do dziedzicznego tronu królewskiej Rzeczypospolitej. Fryderyk August, przygotowując się do nowego stanowiska, wyuczył się języka polskiego, którym nie władał ani August II, ani August III. W przemówieniach publicznych posługiwał się wyłącznie językiem polskim, a gdy pewnego razu Kochanowski w Radzie Stanu, dla przypodobania się monarsze zaczął przemawiać po francusku, Fryderyk August przerwał mu oświadczeniem: proszę mówić po polsku, bo pan Rzątkowski nie rozumie po francusku. Prócz tego Fryderyk August był pracowitym i rzetelnie odbywał sesye z ministrami, radą stanu i senatem, nad zaprowadzeniem ładu gospodarczego w kraju i udoskonaleniem instytucyi administracyjnych.

Długo w pamiętnikach polskich kołatała się legenda utrzymująca, że Napoleon dyktował księciu Bassano konstytucyę dla Księstwa Warszawskiego i to z takim pośpiechem, że tenże spisywał ją na kolanie. Bonnefons wykazuje słusznie, że rzecz się miała cokolwiek inaczej. Konstytucya Księstwa Warszawskiego była naśladowaniem konstytucyi francuskiej z roku VIII i przejmowała wiernie od napoleońskiej Francyi system centralizacyi administracyjnej. Ustępstwem dla miejscowych stosunków i dawnych tradycyi społeczeństwa polskiego zdaje się być system dwuizbowy, dzielący sejm na senat i izbę poselską, a jeszcze bardziej zaprowadzenie dwu kategorii senatorów: wojewodów i kasztelanów, będącej reminiscencyą dawnych prawno-państwowych stosunków Rzeczypospolitej. Jeszcze jednym uwzględnieniem przeszłości polskiej było pozostawienie w senacie

senatorów duchownych, którzy na wzór dawnych zajmowali miejsca przed senatorami świeckimi. Bonnefons nie wymienia wprawdzie tych wszystkich cech konstytucyi, które przeszłość starała się nawiązać z teraźniejszością, ale wykazuje przynajmniej skąd płynęło główne i zasadnicze źródło, a tem samem odejmuje jej charakter chwilowego nastroju czy kaprysu Napoleona.

Fryderyk August zniewolony był przyjąć dla Księstwa Warszawskiego nie tylko administracyjne wzory, ale i kodeks Napoleona, normujący stosunki prywatne ludności. Bonnefons zaznacza słusznie, że dzieło prawodawcze, zwane kodeksem Napoleona, nie posiadało żadnych śladów czy to polskich, czy to niemieckich. Było ono z ducha najczystszych tworem rewolucyi francuskiej i musiało, o czym Bonnefons nie wspomina, dotkliwie obrazić uczucie narodowe polskie. Prawo rodzinne a przede wszystkim małżeństwa cywilne musiały usposobić względem nowych reform nieprzychylnie, naprzód duchowieństwo, a za niem i wyższe klasy społeczeństwa polskiego, które żywiły gorące przywiązanie do swego Kościoła. Jednym słowem, Napoleon, obdarzając Fryderyka Augusta Księstwem Warszawskim, uczynił wszystko, aby go skrępować na każdym kroku organizacją administracyjną, wreszcie prawodawstwem cywilnym małego państewka, które przypominały nominalnemu władcy, że całe owo Księstwo Warszawskie jest wyłącznym tworem Napoleona, przeznaczonym też na wyłączne wysługiwanie się jego interesom.

Bonnefons zaznaczył w swej interesującej pracy, że podczas przyjazdu Fryderyka Augusta do Księstwa wszędzie mu towarzyszył marszałek Davoust i z rozkazu Napoleona okazywał mu przy każdej sposobności szczególne względy i uprzejmości. Ale na pamiętnikarzach polskich z owej epoki owa marszałkowska łaskawość odmienne sprawiła wrażenie. Ludności Księstwa zdawało się również, że marszałek Davoust jest w rzeczywistości pierwszą osobą w kraju, dającą baczenie, ażeby Księstwo zmęźniało jak najprędzej militarnie i ażeby mogło jak najskuteczniej stać na straży interesów Napoleona. Bonnefons dostrzegł, że niektórzy rezydenci francuscy, a szczególnie Vincent, postępowali w Warszawie à la Stackelberg, ale nie wiedział o kollizjach, jakie miały miejsce w dziedzinie wojskowości. Szymonowski w swych pamiętnikach opowiada o lekceważeniu, z jakim Davoust traktował księcia Józefa Poniatowskiego, a nawet Zajączek dopuszczał się względem ministra wojny w Księstwie (książę Józef), czynów jawnej niesubordynacyi, powołując się na charakter generała francuskiego i licząc na to, że w marszałku Davoust znajdzie pobleżliwego protektora.

Zaraz na początku istnienia Księstwa wywiązała się sprawa, w której tkwił pewien upokarzający pierwiastek nietylko dla rządu Księstwa, ale i dla osoby Fryderyka Augusta. Napoleon, dawnymi królewskimi, położonemi w obszarach Księstwa, obdarzył sporą ilość generałów francuskich, począwszy od marszałka Davoust. Bonnefons nawet w przybliżeniu nie podaje listy generałów i donacyi, a ówczesny Dziennik praw nie publikował ich i ogłosił jedynie późniejsze donacje ogólnikowo, to jest, że, na przykład, książe Józef Poniatowski za zasługi, położone w 1809 roku, otrzymuje posiadłości w cenie półtora miliona złotych. Spis jednak owych donataryuszów francuskich był obszernym i w porównaniu z obdarowaniami polskimi imponującym. Jeden z takich wykazów znajduje się w posiadaniu hr. Rogiera Łubińskiego, dokąd się dostał z papierów po generale Tomaszu Łubińskim.

Wszyscy obdarowani generałowie francuscy pragnęli z tytułu donacyi zająć uprzywilejowane stanowisko wobec rządu Księstwa Warszawskiego. Naturalnie, że chcieli się przedewszystkiem uwolnić od podatków i powinności, któremi wówczas własność ziemska przeciętną była. Rządowi Księstwa zależało wiele na tem, aby się nie uformował uprzywilejowany stan w państwie, przez co na resztę społeczeństwa spadłoby jeszcze większe brzemie ciężarów. Fryderyk August zrozumiał należycie niebezpieczeństwo powyższych przywilejów i dopomógł rządowi Księstwa do przekonania Napoleona o szkodliwości podobnego środka. Bonnefons przedstawił dość szczegółowo sprawę francuskich donacyi w Księstwie i oddał zasłużone pochwały Fryderykowi-Augustowi

Opisując drugi przyjazd monarchy do Księstwa, w roku 1808, który się przedłużył do roku 1809, Bonnefons utrzymuje, że sympatye ludności polskiej ostygły znacznie, i że Fryderyka Augusta przyjmowano z widocznym chłodem, dając do zrozumienia, że się co do niego rozczarowano zupełnie. Bonnefons nazywa owe niechęci niezasłużonemi i niesprawiedliwemi, a przypisuje powstanie ich wojniczemu usposobieniu Polaków, które przeszkadzało im należycie ocenić pokojowe usposobienie monarchy i ważne usługi, jakie w tym kierunku oddawał ustawicznie Księstwu Warszawskiemu. Literatura pamiętnicza polska nie potwierdza zdania Bonnefons'a i nic nie wie o żadnem ochłodzeniu przywiązania ludności Księstwa do Fryderyka-Augusta. Przeciwnie, zdaniem pamiętnikarzy polskich panowała w Księstwie żywa sympatya do domu Wettinów i wszyscy przypominali sobie postępek sejmu czteroletniego, powołujący Fryderyka-Augusta

sta na tron dziedziczny Rzeczypospolitej. Wszyscy wybitni mężowie stanu Księstwa Warszawskiego i cała inteligencja narodowa oceniała wysokie przymioty monarchy, jego prawowitość, sprawiedliwość, gospodarność, a przede wszystkim jego troskliwe zasłanianie Księstwa od brutalnego traktowania i krzywdzącego wyzyskiwania władz francuskich. Wojownicze usposobienie szlachty polskiej, jej pieniące się męstwo, jak je Treitschke nazywał, nie stawało temu uznaniu powszechnemu bynajmniej na przeszkodzie. Zapał wojenny podtrzymany był sztucznie przez Napoleona, oświadczał on wyraźnie i dobitnie, że z Polski, pragnie urządzić castrum—nie forum, że jedynie świadctwem na polach bitwy mogą Polacy złożyć dowód, czy są zdolni być niepodległymi.

Jakkolwiek Fryderyk August nie był otoczony aureolą sławy wojennej, posiadał sympatyę wojska polskiego, o którego potrzeby i należytą organizację dbał więcej prawie, niż o potrzeby wojsk saskich. Nie zaniedbywał też Fryderyk August przy każdej sposobności wynagradzać zasług wojska polskiego i wyrażał się zawsze z uznaniem i podziwem o jego waleczności. Wojska polskie mogły się uzalać niejednokrotnie na kapryśną wspaniałomyślność Napoleona, nigdy jednak nie zawiodły się na sprawiedliwości i pieczołowitości Fryderyka Augusta. Jeżeli więc można było spotkać się w roku 1808 i 1809 z pewnym chłodem względem Fryderyka Augusta, to chłód powyższy nie był wyrazem zniechęcenia lub rozczarowania się względem osoby Księcia Warszawskiego, ale objawem, skierowanym pośrednio do Napoleona, któremu żadnego wyrzutu bezpośredniego uczynić nie śmiano. Powierzchnownie zatem odzywały się może skargi na Fryderyka Augusta, ale obciążały go one najwyżej zarzutem, iż czuje się wassalem Napoleona i nie może skutecznie obronić Księstwa od wyzysku na rzecz jego polityki.

W pracy Bonnefons'a mało znajdujemy szczegółów odnoszących się do przebiegu sejmów Księstwa z roku 1809, 1811 i 1812. Autor nie odszukał w archiwach drezdeńskich protokółów owych sejmów, a w polskim języku wydrukowanym został jedynie Dyaryusz z 1812 roku w całej pełni i streszczony opis posiedzeń sejmu z 1809 r. w jednym z kalendarzyków politycznych. Dyaryusz zaś sejmu 1811 roku znajduje się w manuskrypcie w Bibliotece Głównej w Warszawie. Ukazały się jednak w polskich drukach liczne mowy posłów z sejmu 1809 roku, zwłaszcza cenne przemówienia Godlewskiego, poła maryampolskiego. Cały ów materiał pozostał nieznanym historykowi francuskiemu, a w dodatku pominął on ciekawą pracę Ernoufa, p. t. „Maret duc de Bassano,“ podającą kilka ważnych szczegółów, odno-

szących się do konfederacji generalnej Królestwa Polskiego (1812) i do końcowych epizodów z dziejów Księstwa Warszawskiego.

Rok 1812 opisany został przez Bonnefons'a dość szczegółowo i oddano w tym opisie, jako tako, należyte pochwały wojsku polskiemu. Tak samo rok 1813 uwzględnionym został przez francuskiego historyka i nawet sprawę przejścia korpusu Poniatowskiego przez terytorium austriackie do Saksonii przedstawiono dokładniej, aniżeli u Luckwalda. Ostatecznie można było oczekiwać od Bonnefons'a więcej treści, ze względu na bogate skarby historycznych źródeł, które mu stały otworem. W każdym razie jednak, choć studjum jego nie jest wyczerpującem, należy je uważać za pracę poważną, napisaną przedmiotowo, z poczuciem sprawiedliwości i będącą cennym przyczynkiem do dziejów Księstwa Warszawskiego.

A. R.

ALEKSANDER MAŃKOWSKI „Podróż za granicę“, powieść, Warszawa 1903 r.

„Podróż za granicę“ mogłaby może odegrać w naszej literaturze powieściowej rolę głośniejszej satyry Stindego, gdyby nie dziwaczny egzotyzm polskich Buchholtzów, sprawiający, że panna Fałowska i Zdzisław Burski, wyglądają chwilami w swej wycieczce na „jasny brzeg“, niby jakies słowiańskie *rastaquère'y*. Chwilami oczywiście i z powierzchownych rysów, bo na prawdę to śmieszne tylko figury, których śmieszność ująć chciał widocznie autor w bardzo wyodrębnioną charakterystykę oryginałów. Nic pożądanszego w dobie pozbawionej wszelkiej oryginalności nad takie typy, gdyby istotnie były typami, gdyby uogólniały psychologię jakiejś warstwy towarzyskiej, czy jakiejś sfery, bodaj ściśle lokalnej. Tymczasem ciocia Manusia, wraz ze swoim siostrzeńcem, zostawiają wrażenie wyjątków, prawie unikatów, wyjątki zaś mają to do siebie, że usuwają się z pod kontroli życiowej i zapewniając przez to fantazyi powieściopisarza bezkarność, popychają go do przesady, a jednocześnie usposabiają czytelnika sceptycznie wobec figur, sąsiadujących niekiedy z karykaturą.

Niebezpieczne to sąsiedztwo,—wytwarza bowiem nieporozumienie między autorem i czytelnikiem, domagającym się w realistycznej powieści prawdy nie fantazyi, a wątpiającym o tej prawdzie co chwila

w towarzystwie owych unikatów, których oryginalna psychologia wy-
daje mu się psychologią dowolną. Bez tej wiary w bohaterów, w mo-
żliwość ożenienia Zdzisława Burskiego z brzydką Angielką, a cioci
Maniusi z podejrzanym Włochem, powieść tłem samem nie łatwo zain-
teresuje. Mańkowskiemu chodziło naturalnie do pewnego stopnia
o satyrę, wysnutą z zetknięcia oryginałów polskich z kosmopolitycz-
nem i wytwornem życiem Rivieri; ale to zetknięcie, zlekka tylko za-
znaczone, nie opiera się na głębszem wyzyskaniu kontrastów, które
autor zbywa pobieżnie, jakby mu pilno było do owych dwóch fanta-
stycznych małżeństw, skojarzonych zapewne dla uwydatnienia cho-
roblivej manii cudzoziemczyzny. Ale w kim?—w egzemplarzach, któ-
re już z tytułu swojej osobliwości niczego nie dowodzą i nie mogą
służyć satyrykowi za przekonujące argumenty.

Zaczyna więc ta podróż za granicę być istotnie zajmującą do-
piero w powrotnej drodze bohaterów; zaczynają dopiero wtedy bu-
dzić sympatyę i ten po cudaćku ożeniony Podolak, i ta chuda, brzyd-
ka Angielka, całująca go przez wdzięczność po rękach i przypomina-
jąca mu spojrzeniem szkaradnego pieska, którego był niegdyś od pod-
wórzowych kundysów obronił, i wreszcie ta nieszczęśliwa ze swoim
awanturnikiem ciotka, płacąca własną próżność życiem przy urodze-
niu pierwszego dziecka. Takie sceny, jak spotkanie żonatego już
Zdzisława z zamężną również Janiną, z którą był z woli ciotki, mimo
kiełkujące uczucie, zerwał; takie figury, jak głęboki Rafał Obuchow-
ski, nie na darmo z Minowskiej urodzony; takie szczegóły, jak list
cioci Maniusi, pisany w przewidywaniu śmierci, niby spowiedź grzesz-
nicy, błagającej o przebaczenie tych, którym życie zwichnęła,—oku-
pują w drugiej połowie książki to, co w pierwszej odpornie czytelnika
nastraja. Przemawia tu znów talent autora „Minowskiego“, „Dzi-
waka“ i „Hrabiego Augusta“.

W. BOGUSŁAWSKI.

PAMIĘTNIK KIELECKI. Zbiór prac ku uczczeniu Adama Mickiewicza,
1798 — 1898. Kielce. Wydanie Bronisława Bieńkowskiego.
Druk St. Święckiego. Skład główny w Warszawie, w księ-
garni Jana Fiszerza, in 4-o, str. 254.

Kiedy, pięć lat temu, radzono nad godnym sposobem uczczenia
setnej rocznicy urodzin Mickiewicza, podniesiono między innemi pro-
jekt, by każda miejscowość kraju wystąpiła z księgą zbiorową, skła-

dającą się z artykułów, bądź dotyczących Mickiewicza, bądź też odnoszących się do tego kąta ziemi, w którym powstała księga.

Z miast Królestwa tylko Kielce odpowiedziały na to wezwanie; i oto — spóźniona nieco, bo w cztery lata po jubileuszu — ukazuje się wielka księga, zawierająca cały szereg artykułów, studyów, przyczynków i utworów literackich, pod tytułem: „Pamiętnik Kielecki“.

Jak każda praca zbiorowa, zwłaszcza wykonana nie w głównym ognisku oświaty, lecz zdala od niego, „Pamiętnik Literacki“ ma w różnych swoich częściach wartość i doniosłość bardzo różną. Rzeczy, zupełnie słabe, zdradzające pióro niewytrawne jeszcze, stoją tu obok prac, prawdziwie cennych.

Do słabszych należą przedewszystkiem utwory belletrystyczne, nieliczne zresztą; pani Karwowska dała, od ręki snąc rzucony na papier, obrazek, pod tytułem: „Organista“, a poza tem jest tu kilka utworów wierszowanych, zaledwie poprawnych.

Artykuły, zawarte w „Pamiętniku Kieleckim“, dzielą się na dwa działy: do pierwszego zaliczono prace, związane z dziejami Kielc i ich okolicy w ostatniem stuleciu; w drugim — czytamy przyczynki do biografii i krytyki Mickiewicza.

W pierwszym dziale wyróżniają się następujące artykuły: „Opis matematyczny Kielc“ pana Tadeusza Jana Wagnera; wyczerpującą pracę p. R. Plenkiewicza pod tytułem: „Kielce pod względem architektonicznych zabytków“, ozdobioną licznymi ilustracyami; ciepłą sylwetkę Tomasza Zielińskiego, naczelnika powiatu Kieleckiego od roku 1846, lubownika i protektora sztuk pięknych, pióra W. Gersona („Kielce, jako rozsądnik dążeń estetycznych“). Wreszcie pan S. Kontkiewicz wylicza bogactwa mineralne okolic Kielc w pracy: „O płodach kopalnych gubernii Kieleckiej“, a p. Feliks Rybarski kreśli w wymowniejszych rysach portret ks. Andrzeja Sulejowskiego, rektora szkoły wojewódzkiej w Kielcach od roku 1816 do 1852:

O ile dziejopisarz może odnaleźć w powyższym dziale niejedną ciekawą przyczynkę, o tyle historyk literatury zainteresuje się drugim działem: artykuły, odnoszące się bezpośrednio do Mickiewicza i jego utworów. I tu również nie wszystkie prace mają jednakową wartość. Rzecz pod tytułem: „Ze wspomnień p. Ig. Karwata“, spisana p. Zdzisława Bitnera, jest bardzo ciekawym przyczynkiem do charakterystyki opinii publicznej w epoce walk klasycyzmu z romantyzmem; należało-by tylko zawarty tu materiał pamiętnikarski krytycznie sprawdzić i ocenić.

Przyczynkę p. dra Józefa Wigury: „Geneza Ody do młodości“, szukająca początków tej Ody aż u filozofa greckiego, Empedoklesa, jest hipotezą bardzo ryzykowną i trudną do dowiedzenia. Za to pra-

ca p. Jana Tona: „Mickiewicz jako lingwista“, należy do najcenniejszych w „Pamiętniku“; na podstawie szczegółowej analizy „Kursu literatur słowiańskich“, autor stwierdza, że poecie nieobce były najnowsze zdobycze wiedzy w zakresie językoznawstwa aryjskiego i słowiańskiego.

P. Stanisław Ciszewski dał dwa przyczynki: „Mickiewicz w literaturze chorwacko-serbskiej“, oraz piękny przekład „Trzech Budrysów“, pióra p. Dobšinsky'ego. Z tego ostatniego pozwolimy sobie przytoczyć pierwszą zwrotkę:

Starý Budris troch synow, šrihlých jak sām Litwinów

Na zamocky dvur volá i rečie:

Detil kone sedlajte, duškom preč sa sberajte,

Naostrite i hroty i meče.

Rzecz ks. Wincentego Gebartowskiego pod tytułem: „Rozum i wiara na podstawie wiersza Adama Mickiewicza“ jest raczej kazaniem o rozumie i wierze. i ich wzajemnym stosunku z powodu wiersza Mickiewiczowskiego, niż krytyczno-literacką analizą samego wiersza. Godnym uwagi biografów Mickiewicza i historyków Towiańszczyzny jest artykuł p. Z. Wasilewskiego pod tytułem: „Do Waterloo, z dziejów Towiańszczyzny na podstawie pamiętników“, gdzie mowa o pielgrzymkach „braci“ na to pole walki, gdzie Napoleon „stracił ton swojego posłannictwa dla ziemskiego tonu zemsty“.

Najdłuższy w tym dziale artykuł: „Kilka słów z powodu myśli przewodniej i architektoniki „Dziadów“ Mickiewiczowskich“, pióra p. Konrada Gąsiorowskiego, nie jest zarazem najcenniejszy. Autor zna tylko część literatury przedmiotu: czytał naprzykład rzecz Konopnickiej o I-ej i II-ej części „Dziadów“, ale nie zna odpowiedzi J. Kallenbacha na postawione mu przez poetkę zarzuty, nie wie, że fragmenty z Dziewczyną, Gustawem, Guślarzem i Chórem na drodze do kaplicy sam Mickiewicz nazwał pierwszą częścią „Dziadów“; mylnie również sądzi p. Gąsiorowski, że Mickiewicz nie znał w dostatecznej mierze ludu, jego obyczajów, podań i poezji, gdyż, przeciwnie, jak dowiódł p. Zdziarski w pracy: „Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX wieku, „Ballady i Romanse“ wykazują silny bardzo wpływ tak zwanej ludowości“.

Na ostatnich wreszcie kartach „Pamiętnika“ czytamy studjum p. Jarosława Korwina, pod tytułem: „Adam Mickiewicz w Lozannie“,

oparte przeważnie na materyale, zgromadzonym w życiorysie wiesz-
czą przez p. Władysława Mickiewicza i wreszcie pracę redaktora
i wydawcy „Pamiętnika Kieleckiego“, p. Bronisława Bieńkowskiego,
pod tytułem: „Żywioł liryczny w „Panu Tadeuszu“, jego pochodzenie
i uzasadnienie“.

Inteligencji kieleckiej, a zwłaszcza p. Bieńkowskiemu, należy
się szczerze uznanie za podjętą pracę i starania. Bądź co bądź, „Pa-
miętnik Kielecki“ stwierdza fakt pocieszający, że ruch umysłowy
Królestwa nie zamyka się w obrębie rogatek warszawskich, lecz pro-
mienije i dalej, że i gdzieindziej są ludzie dobrej woli, którym leżą
na sercu sprawy ogólne.

Szkoda tylko, że przykład Kielec nie naśladowały inne miasta
i okolice.

HENRYK GALLE.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W Łodzi odbyła się niedawno wystawa higieniczno-spożywcza.

Dziś — zapóźno już na tem miejscu zdawać z niej sprawę szczególnie i opisywać to, co było tam do widzenia. Uczyniły to w czasie właściwym dzienniki. Nam, jeżeli poruszamy ten temat, idzie o co innego — o podkreślenie ważnego momentu w rozwoju Łodzi i o wyprowadzenie stąd wniosków na przyszłość.

Miasto, mające z górą 300,000 mieszkańców, wzrastające szybko, nienormalnie szybko, jak na nasze stosunki, dotychczas nie brało udziału w kulturalnem życiu kraju. W Łodzi gromadziły się tylko bogactwa; życia umysłowego, naukowego, artystycznego i wogóle życia społecznego w szerokiem rozumieniu — nie było tam wcale, a przynajmniej nie wytwarzało się ono samoistnie na miejscu, lecz przyplýwało z zewnątrz — bądź z Warszawy, bądź z Niemiec. Ale — spiritus flat, ubi vult. Przyszedł czas i olbrzym kamienny drgnął. Zmaterializowane miasto, pełne huk, świstu i turkotu maszyn, głuche na wszystko, co stoi poza obrębem interesu, poczęło zwolna otwierać oczy na zupełnie inne sprawy. Naprzód powstały tam dwa pisma polskie „Rozwój“ i „Goniec Łódzki“ (krótko istniejącego tygodnika „Świat“, liczyć nie można), potem obudziły się aspiracye w kierunku sztuki i stanął piękny gmach teatralny, a w nim niebawem ujrzą światło kinkietów sztuki, nagrodzone na konkursie dramatycznym imienia Sienkiewicza. Jak wiadomo, konkurs ten ogłoszony był z inicjatywy Łódzian. Warszawie dało to impuls do żywszego zainteresowania się tem miastem. Nie zamilkły jednak jeszcze pierwsze głosy zdziwienia, gdy Łódź wystąpiła już z nowem dziełem — z wystawą,

która, zorganizowana z całą precyzją, dowiodła, że zdrowa myśl społeczna wespół z dążeniami prawdziwie obywatelskimi nie tylko tam żyją, ale głęboko już zapuściły korzenie, skoro mogły się zdobyć na taki manifest. Opierając się na tem, dziś można już śmiało twierdzić, że przybyło nam nowe, wielkie ognisko kulturalne.

Nie jest to zupełną niespodzianką, albowiem publicystyka polska już przed kilku laty zwracała uwagę na fakt, że Łódź, uważana za miasto niemiecko-żydowskie, o charakterze zupełnie dla nas obcym i nieprzyjaźnym, powoli zaczyna się przekształcać i że wpływ kultury polskiej czyni tam szybkie postępy. Równocześnie podkreślił to w sposób bardzo wyraźny Wł. Reymont w swojej „Ziemie obiecanej“, którą pisał na podstawie sumiennych i dokładnych studyów, poczynionych na miejscu. Artysta więc, umiejący patrzeć na życie i jego zjawiska, pod kątem syntezy, zgodził się tu na jedno z dorywczo i nerwowo obserwującymi dziennikarzami. Oba te wnioski wszakże poparła dopiero niezbitymi faktami—wystawa. Nie wątpimy też, że odtąd będziemy mieli częściej sposobność podnoszenia i omawiania objawów życia kulturalnego Łodzi.

Zgodnie z uchwałą ostatniego zebrania pełnomocników, dyrekcyja Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy opracowała przepisy dodatkowe o udzielaniu pożyczek na domy w miastach prowincjonalnych i przesała je do kancelaryi kredytowej ministerjum skarbu dla zatwierdzenia ich w drodze prawodawczej. O ile więc zatwierdzenie to nastąpi, wejdzie w życie jedna z ważniejszych reform w dziedzinie naszych stosunków kredytowych.

W myśl nowego projektu, opracowanego na zasadzie prawa z d. 1 maja 1900 roku, działalność Towarzystwa rozszerza się na te miasta gub. Warszawskiej, w których suma ogólna ubezpieczenia zabudowań od ognia wynosi najmniej 150,000 rb., i w których istnieją zorganizowane prawidłowo straże ogniowe.

Żądanie o przystąpienie do Towarzystwa podpisane być powinno przynajmniej przez 20 właścicieli nieruchomości, a o przyłączeniu rozstrzyga uchwała zebrania pełnomocników. Pożyczki udzielane być mogą na budowie murowane, przynoszące dochód stały i mające uregulowaną księgę hipoteczną. Termin ostatecznego umorzenia pożyczki oznaczono na lat 18 i 28 i pół. Właściciel nieruchomości, żądający pożyczki, złożyć winien, oprócz aktu przystąpienia, dającego

mu, po zatwierdzeniu go przez miejscową władzę hipoteczną, pierwszeństwo przed wpisami, zamieszczonemi później — dowody następujące: świadectwo i wykaz ubezpieczenia zabudowań od ognia, świadectwo o opłaconych podatkach skarbowych i miejskich, plan sytuacyjny i kaucyę w stosunku $\frac{1}{4}$ żądanej pożyczki. Po dokonaniu tych formalności następuje oszacowanie nieruchomości i przyznanie pożyczki.

Wyplata pożyczki uskuteczniać się będzie temi samemi listami, co i na domy w Warszawie, po uprzednim zatwierdzeniu aktu wypłaty przez powiatową zwierzchność hipoteczną i po dostarczeniu aktu wypłaty do powiatowego wydziału hipotecznego przez delegata ze strony dyrekcji T-wa. Raty wraz z premią asekuracyjną, lub kwitem z jej opłacenia, wnoszone być mają w terminach ustanowionych do kasy T-wa.

Egzekwowanie rat, należnych Towarzystwu, odbywać się będzie na zasadach ogólnych, wskazanych w ustawie Towarzystwa, przy czem obowiązki, spełniane przez wydział hipoteczny miejski w Warszawie, a w instancji drugiej przez Izbę sądową — wkłada się na wydziały hipoteczne przy sądach pokoju i urzędujących przy nich regentów, a w instancji drugiej i ostatecznej — na sąd okręgowy warszawski. Sprzedaż nieruchomości odbywać się będzie przez regentów miejscowych w wydziale hipotecznym sądów pokoju. Spełnienie formalności, dotyczących się wypłat pożyczek i egzekucji rat, dyrekcya powierzać może swym członkom, lub też urzędnikowi Towarzystwa, albo osobom zaufanym.

Wysokość przyznawanej pożyczki nie może w żadnym razie przewyższać sumy ubezpieczeniowej zabudowań od ognia i zabezpieczona jest również na wynagrodzeniu asekuracyjnym. Z tego tytułu T-wo zastrzega sobie kontrolę nad opłatą składki ogniowej w terminach właściwych. W razie zaś nieotrzymania kwitu, T-wo wnosi składkę od siebie i ściąga ją wraz z ratą.

Przystępujące do T-wa kredytowego warszawskiego miasta prowincjonalne, przy istnieniu wskazanej już najmniejszej liczby stowarzyszonych (30), wybierają z grona swego dwóch pełnomocników, którzy mają prawo brać udział w zebraniach reprezentantów, oraz jednego zastępcę. W przyszłości na każde 500,000 rb. wypłaconych pożyczek wybierany ma być jeden zastępca.

Na początek Towarzystwo rozszerzy swoją działalność tylko na trzy miasta gub. Warszawskiej: Skierniewice, Łowicz i Włocławek co do których już nastąpiła uchwała zebrania ogólnego. Przypuszczać jednak można, że i obywatele innych miast, zachęceni możliwością korzystania z taniego kredytu, który może się stać dźwignią roz-

woju niejednego z naszych miast prowincjonalnych, zawczasu już podejmą starania, zmierzające ku wytworzeniu warunków, umożliwiających im korzystanie z tego ważnego udogodnienia. Niewątpliwie też za przykładem Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy pójdą Towarzystwa innych miast gubernialnych, co odbije się korzystnie na stosunkach całego kraju. Możliwość zaciągania pożyczek na nieruchomości zachęci też zapewne wielu do budowania domów w mniejszych miastach, co znów ułatwi mieszkańcom Warszawy osiadanie na prowincyi, z wielu względów tak pożądane, a utrudnione dziś przez brak odpowiednich mieszkań.

Wogóle, sprawa rozszerzenia kredytu miejskiego posiada poważne i wielorakie dla nas znaczenie i dla tego należy się całkowite uznanie przedstawicielom Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy za to, że sprawę od razu postawili na właściwym gruncie i umieli nadać jej szybki i pożądany bieg. Świadczy to o zupełnym zrozumieniu z ich strony istotnych potrzeb prowincyi, dotąd zwykle nieuwzględnianych przez nas, lub traktowanych po macoszemu.

„Gazeta Polska“ w № 44 z dnia 14 lutego r. b. podała do wiadomości publicznej ciekawy a smutny fakt, rzucający ponure światło na stosunki w Poznańskim. Wprawdzie barbarzyństwo władz pruskich nie jest i nie może być dla nikogo nowiną, w danym jednak wypadku przekracza ono o wiele granice zwykłych nadużyć i jest, jeżeli można użyć takiego terminu — jaskrawem ustawowem znęcaniem się. Ustawowem zaś dla tego, że odbywa się ono pod sztandarem ustaw i w imię ścisłego ich przestrzegania.

Fakt o którym mowa, a obok którego niepodobna przejść obojętnie, przedstawia się jak następuje.

Niejaki pan A. N. (autor nadesłanego „Gazecie Polskiej“ opisu), po czterdziestu latach niebytności w swoich stronach rodzinnych, w okolicach Mielżyna, w W. Ks. Poznańskim — tej zimy, w styczniu, zmuszony był tam pojechać. Przejeżdżając przez Mielżyn, zauważył przy drodze kolonię domów włościańskich, szczelnie pozamykanych, i to go zastanowiło. Co znaczą te siedziby? Dla czego wszystkie zamknięte i puste, kiedy widać było ludzi na podwórkach?

Przyjechawszy do celu podróży, pan A. N., zadał gospodarzowi pytanie, co znaczą te zupełnie nowe, zupełnie wykończone, a jednak **pozamykane domy mieszkalne przy drodze?**

Okazało się, że domy te należą do kolonistów polskich, którym władze pruskie nie pozwalają w nich mieszkać, wskutek czego koloniści zmuszeni są sypiać w chlewach i oborach, a jedzenie gotować pod gołym niebem. Dodać należy, że dzieje się to w zimie.

O tem wszystkim przyjaciel poinformował pana A. N. dokładnie.

„Nasz Bank ziemski — mówił on — kupuje ziemię, parceluje ją, stawia budynki i pojedyncze gospodarstwa odprzedaje chłopom polskim. Tak też stało się w Mielżynie. Mielżyn, to jedna z najmniejszych mięscin w Poznańskiem. Mieszkańcy są robotnikami, w części rzemieślnikami. Dawniej latem brali okoliczne sady w dzierżawę, lecz teraz sadów im już zabrakło, bo wszystkie prawie folwarki komisya kolonizacyjna wykupiła i Niemców osadziła. W Mielżynie jest dwór, mieszka tam p. Dobrogojski, i posiada 1,000 morgów. Dawniej folwark ten miał 3,000 morgów, lecz zeszczupłał do trzeciej części. Część kupiły Mielżyniaki, część zaś od naszego Banku ziemskiego chłopci polscy ze Śląska i do tych właśnie te ładne domki należą. Otóż naszym Ślązakom nie wolno w tych domkach mieszkać! Rozumiesz ty, co to znaczy? Kupili ziemię, kupili domy, mają je. Ale choć je mają, muszą mieszkać z rodzinami, z żonami i dziećmi w oborach i chlewach! Nie wydaje ci się to możliwem? A jednak to prawda. Dzieje się zaś to nadużycie dla tego, że ludzie, którzy mają obowiązek przestrzegać prawa, tym razem korzystają z jego przepisów dla dzikiej szuky.

Wchodzą tu w grę trzy obowiązujące przepisy prawne tej treści:

1) Pierwszy powiada, że potrzebny jest od władzy konsens na wybudowanie domu mieszkalnego podług odpowiednich warunków budowlanych i wymagań higieny. Tym warunkom i wymaganiom zupełnie stało się zadość, czego już pilnuje Bank ziemski.

2) Przepis drugi mówi, że na utworzenie gminy na gruntach dworskich, które zostaną rozparcelowane, znowu władza daje konsens, lecz ta władza ma prawo stawiać warunki, a mianowicie, żeby gmina wystawiła kościół, szkołę itd.

3) Przepis trzeci orzeka, że, jeżeli w mieście lub we wsi już gmina istnieje i w tej samej miejscowości druga powstaje, jak się w Mielżynie stało, to ta pierwsza gmina może tę powstającą do siebie przyłączyć.

Otóż bank ziemski dostał konsens na wzniesienie budynków i domów mieszkalnych w Mielżynie i osady mielżyńskie sprzedał Ślązakom. Rząd pruski zaakceptować to musiał. Lecz uczyniwszy to, jednocześnie: a) nie pozwolił starej gminie mielżyńskiej przyjąć no-

wych osadników do swego łona; b) za warunek zezwolenia na utworzenie nowej gminy stawia, ażeby chłopci złożyli 20,000 marek i postawili osobną szkołę w Mielżynie—inaczej nie pozwoli im mieszkać w domach.

Naturalnie, chłopom tym, jako poddanym pruskim i właścicielom — uprawiać ziemię i żyć w Mielżynie nikt zabronić nie może. Ponieważ jednak nie mają i nie składają 20,000 marek na szkołę — ludzie ci mieszkają w chlewach i oborach. Dawniej, ukradkiem, nocą wchodzili do swych domów, lecz zandarmi czujność tak powiększyli, jako stróże prawa, że obecnie w największe niepogody i mrozy — muszą ci nędzarze tulić się po dziurach, jak bydło. Nie wolno więc w Prusach mieszkać w domu za niskim, który nie odpowiada warunkom higieny, ale wolno, nawet trzeba, ze świniami spać w chlewie i to całe lata. Zandarmi co rano rewidują mieszkania i patrzą, czy kto w nocy nie przespał się w swoim łóżku i jeżeli spostrzegą ślady noclegu, natychmiast władza nakłada karę pieniężną, która za każdym przekroczeniem zakazu zwiększa się. Obecnie zandarm, co wieczór posypuje piaskiem każde mieszkanie, a rano rewiduje, czy na piasku nie znać ludzkiej stopy“.

Tyle opowiedział przyjaciel panu A. N., który od siebie tak dalej pisze:

„Sprawa ta wydała mi się tak okrutną, że postanowiłem osobiście się przekonać, czy ludzie w Mielżynie mają domy własne, a muszą mieszkać w chlewach i na dworze jedzenie gotować. Siadłem na bryczkę i pojechałem tam. Niestety, tak jest i tak jeszcze długo być może, bo Mielżyniacy nie mają ani tysiąca marek, a cóż dopiero 20,000!

„Rząd wie, że takiej sumy złożyć nie są w możności i zapewne chce ich zniechęcić, wykurzyć stąd, i na ich miejscu Niemców osiedlić. Zapytałem jednego ze Ślązaków w Mielżynie, jaki będzie koniec tej historii? Odpowiedział mi, że Bóg jest sprawiedliwy, że Chrystus więcej cierpiał, że każde łajdactwo koniec znajdzie, a tymczasem nie tylko chłop poznański, ale i śląski otrzeźwiał, poznał się na pruskiej cywilizacji, pokochał więcej swój język i swoją ziemię, z której go żadne siły nie ruszą.“

Tak się przedstawia sprawa „pustych domów w Mielżynie“, w oświetleniu korespondenta „Gazety Polskiej“. Wszelkie komentarze są tu zbyteczne. Dziwić się tylko można, dla czego polskie koło poselskie w Berlinie nie poruszyło dotąd całej tej smutnej historii, która stanowi przyczynek poważny do dziejów ucisku narodowości polskiej

w „państwie bojaźni Bożej“. Z tego też głównie względu notujemy ten fakt, bo im szerzej się on rozejdzie, tem rychlej może sprawiedliwości stanie się zadość.

Zgodnie z obowiązującym prawem zwinięto w ostatnich czasach trzy klasztory męskie w Królestwie Polskiem ze względu na zbyt małą liczbę pozostałych w nich zakonników.

Są to klasztory OO. Dominikanów w Gidlach, oraz OO. Reformatów Pińczowie i Pilicy.

Pierwszy z nich istniał od XVII wieku. Historia jego powstania według Balińskiego i Lipińskiego (Starożytna Polska, tom I str. 274), jest następująca. Podanie mówi, że w 1516 Jan Czecek, rolnik, znalazł cudowny obraz Matki Boskiej na polu, w tem właśnie miejscu, gdzie stoi dziś kościół Dominikanów. Czecek obraz znaleziony zachował w swojej chałupie, a potem umieścił w kościółku parafialnym. Cudownym jednak sposobem wizerunek przeniósł się na miejsce, gdzie go pierwotnie znaleziono i gdy wielką jasność z siebie wydawał, złożono go w umyślnie wystawionej z drzewa naprędce kaplicy, której fundatorem był Marcin Gidzielski. Kaplica ta istniała do r. 1615. Wtedy dopiero Anna z Rusocic Dąbrowska, kasztelanowa wieluńska, zamieniła ją na murowaną i pierwsza fundowała przy niej Dominikanów, których kosztem wzniosły się, aż w 1656, mury kościelne i klasztoru. Zamożność tego kościoła musiała być wielka, kiedy tegoż samego roku na potrzeby kraju, podczas pierwszego najazdu Szwedów, wzięto stąd, oprócz pieniędzy, 105 grzywien srebra. Jan Kazimierz, wynagradzając tę ofiarę, wydał Dominikanom przywilej ochronny, od kwaterunku i egzekucyi przechodzących wojsk uwalniając wsie klasztorne.

Starożytniejszym od Gidelskiego był klasztor OO. Reformatów w Pińczowie, fundowany w r. 1618 przez Zygmunta Myszkowskiego, a wystawiony na nowo w r. 1683 przez Stanisława Myszkowskiego.

Najpóźniej, bo dopiero w r. 1739 powstał klasztor reformacki w Pilicy. Fundowała go Marya Józefa Sobieska na gruntach przyległych do wsi Biskupice. Budowa kościoła klasztornego pod wezwaniem Najświętszego Imienia Jezus, ukończona została w r. 1746. W r. 1857 budynki te odnowiono gruntownie po pożarze i trwają one dotąd w zupełnie dobrym stanie.

W smutnych warunkach znajduje się Warszawskie Towarzystwo dobroczynności. Zaznaczył to na odbytem dnia 11 lutego r. b. zebraniu budżetowym, prezes tej instytucji, ks. Maciej Radziwiłł i zaznaczył zbyt wyraźnie, aby można było ludzię się co do tego, że Towarzystwu nie grozi upadek. Przedewszystkiem—na 736,000 ludności Warszawy, posiada ono tylko 916 członków, co jest stanowczo zamało nie już dla tego, aby zapewnić rozwój instytucji, ale nawet dla podtrzymania jej bytu. Zobaczmy jednak, jak to wygląda w cyfrach i jak te cyfry przeczą ogólnemu mniemaniu o bogactwie Towarzystwa.

Kapitał, którym T-wo rozporządza na cele ogólnej natury, wynosi rb. 433,134 i kop. 15, na cele zaś specjalne, przez ofiarodawców wskazane i zobowiązaniami obciążone, posiada ono 1,223,000 rb. 75 kop. Nieruchomości ocenione są na 538,933 rb. 42 kop. To są najważniejsze pozycye.

Ogólne dochody Towarzystwa dzielą się na trzy kategorie. Do I kategorii należą dochody, dowolnie rozporządzalne (93,803 rb. 51 kop.). Do drugiej—dochody ze specjalnem przeznaczeniem (177,804 rb. 32 kop. Do III—dochody z ofiar i wpływów od fundatorów na rzecz zakładów, które się utrzymują kosztem własnym lub za pomocą niewielkich subsydyów, budżetem określonych (256,838 rubli 38 kop.).

Wydatki w kategorii II i III ściśle określone pochłaniają całkowicie dochody w tychże kategoriach. Najgorzej dzieje się w kategorii I, która obejmuje dopłaty tym wszystkim zakładom i wydziałom, które się z dochodów specjalnych utrzymać nie mogą, dalej—wszystkie wydatki na zakłady, przez samo Towarzystwo założone, wreszcie—całe koszta administracji i utrzymania. Te wydatki dochodzą do sumy 120,402 rb. 41 kop. i przewyższają dochody o 23,603 rb. 90 kop., która to suma przedstawia przewidywany w r. 1903 deficyt instytucji.

Deficyt ten nie jest pierwszy. Na Towarzystwie ciąży już z lat zeszyłych dług Banku handlowego w kwocie 15,000 rb.

Wobec tego zarząd Towarzystwa postanowił poczynić pewne oszczędności, lecz oszczędności te wynoszą zaledwie 4,909 rb. 23 kop. i mają być poczynione (miserabile dictum!), na obiadach, na wsparciach pieniężnych, na opale dla ubogich, na koszcie utrzymania ochron i żłobków.

Dalej zarząd postanowił wcielić do dochodów z roku 1903 wszystkie fundusze, nie mające określonego przeznaczenia. Suma ogólna tych funduszków wyniesie jednak zaledwie 7,922 ruble 29 kop.

Po zastosowaniu tych środków ratunkowych pozostanie jeszcze brak 10,774 rb. 38 kop. na rok 1903. A co będzie w latach przyszłych? Niedobór ten stale musi wzrastać, jeżeli dopływ środków materialnych nie będzie obfitszy. Dziś płyną one bardzo wązkim strumieniem, a wydatki rosą stale i zwiększają się ogromnie, niedola ubóstwa wzmaga się, żywność drożeje, a nowe zapisy uwarunkowane są najczęściej tworzeniem specjalnych zakładów.

Ten stan rzeczy odmalował w ponurych barwach w przemówieniu swoim książę Radziwiłł. Zaznaczył on między innymi, że jeżeli miasto nie przyjdzie z pomocą instytucji, to znajdzie się ona w smutnej konieczności zamknięcia takich zakładów i urzędzeń, jak zupa rumfordzka, schronienie starców i kalek, żłobek itd.

Doprawdy, źle się zaczyna dziać w Warszawie. Nie pierwszy to już raz piszemy na tem miejscu o upadku naszych instytucji zbiorowych, nie pierwszy raz stwierdzamy obojętność ogółu na ich potrzeby. Stoją one dzięki ofiarom, zabiegom i energii jednostek, tam jednak, gdzie powinny znaleźć oparcie i gdzie leży fundament ich bytu — w szerokich warstwach społeczeństwa — spotykają zimne serca i brak jakiegokolwiek zainteresowania się ich dolą.

Wskutek tego istnienie ich jest ciężką walką z dnia na dzień, jest ciąglem borykaniem się z przeszkodami i energia, która mogłaby i powinna być obrócona w kierunku rozszerzania pożytecznej pracy, wyczerpuje się wyłącznie na zdobywanie chwilowych zasiłków i ratowanie rysujących się węglów od upadku. Ledwie jednak uda się fundament podeprzeć, już na górnych piętach okazuje się potrzeba naprawy. W takich warunkach trudno oczywiście o pracę spokojną i wydatną — i winą jest społeczeństwa, że pracę taką utrudnia ludziom dobrej woli.

Wśród licznych konkursów, jakie ogłoszone zostały w ostatnich czasach, bardzo szczęśliwym w pomysłę jest konkurs dla gospodarstw wiejskich, ogłoszony przez radę kieleckiego Tow. rolniczego. Powinien on zainteresować szerokie koła naszych ziemian.

Termin konkursu oznaczony jest na dzień 1 maja. Do dnia tego na ręce sekretarza Tow. mają być złożone opisy gospodarstw według następującego schematu:

1. Wiadomości ogólne.

Historyczny szkic dóbr, a mianowicie: kto gospodaruje, kto jest właścicielem lub dzierżawcą, jak dawno gospodaruje? i t. p. objaśnienia.

a) Pod względem geograficznym: gubernia, powiat, gmina; położenie dóbr, równe, faliste, górzyste, na płaskowzgórzu czy w dolinie. Kierunek spadków, rozległość, wyszczególnienie przestrzeni ornej, łąk, pastwisk, lasów, zarośli, nieużytków. Bliskość większych rzek, jezicr, mokradeł, lasów, piasków, ich przestrzenie i położenie. Klęski atmosferyczne i inne i jak często nawiedzają dobra?

b) Pod względem geologicznym: rodzaj gleby, warstwy rodzajnej i podglebia, i ich własności.

c) Pod względem ekonomicznym: miejsca możności zbytu i ceny produktów rolnych, oraz zwierzęcych; odległości od miejsc zbytu, zakładów przemysłowych, komunikacya itp.

d) Różne wiadomości ogólne, jak oto: czy są służebności, jakie, wartość ziemi danej okolicy, wartość dóbr itp.

II. Wiadomości szczegółowe:

a) Opis budowli i ich przeznaczenie.

b) Opis maszyn i narzędzi rolniczych.

c) Produkcya rolna, a mianowicie: płodozmiany, sposób uprawy, stercoryzacya (ilość wywożonego rocznie obornika, jego konserwacya, ilość dokupionych sztucznych nawozów).

Ilość wyprodukowanego zboża w słomie i korcach z wyszczególnieniem sprzedanego i użytego na potrzeby gospodarstwa.

Ilość wyprodukowanej paszy i okopowych na sprzedaż i na miejscową potrzebę.

Gatunki i odmiany płodów uprawianych.

d) Produkcya zwierzęca, mianowicie: opis ilości inwentarza roboczego, dochodowego, sposób żywienia z wyszczególnieniem dochodów i sposobów zbytu produktów zwierzęcych.

e) Inne galezie gospodarstwa, jak oto: leśne, rybne, nabiałowe, koszykarskie itd.

f) Przemysł, czy i jaki znajduje się i czy prowadzony dla gospodarstwa, czy gospodarstwo dla przemysłu miejscowego.

g) Administracja i rachunkowość gospodarcza. Sposób zarządu, ilość służby, koszt najmu. Łatwość i trudność dostania go i system prowadzenia robót. Sposób prowadzenia rejestrów, rachunków i ksiąg kasowych.

h) Zestawienie dochodów i rozchodów (brutto i netto) gospodarstwa przynajmniej z ostatniego trzechlecia ze wszystkich działów, dla wykazania czystego dochodu.

i) Ogólne uwagi sprawozdawcy.

Jak widać z przytoczonego powyżej planu, monografie gospodarstw większych, w ten sposób opracowane, mogą być bardzo pouczające i dostarczą w części przynajmniej tak pożądanego materiału do wniosków ogólnych o stanie naszego rolnictwa. Od udziału zaś rolników w tym konkursie zależy, czy materiał ten będzie obfity i pozwoli na wysnuwanie takich wniosków.

Konkurs dramatyczny imienia Henryka Sienkiewicza został już rozstrzygnięty. Pierwszej, tysiącroublowej nagrody nie przyznano nikomu; natomiast na wniosek Sienkiewicza, a za zgodą inicjatora konkursu, p. Wiktora Czajewskiego, redaktora „Rozwoju“, całkowity rozporządzalny fundusz konkursowy, wynoszący 1,300 rubli, podzielono na cztery nagrody: jedną 400 rublową, i trzy 300 rublowe, które otrzymały następujące utwory: największą — dramat społeczny „Maszyna“ (autor p. Tadeusz Rittner z Wiednia); trzy jednakowe: „Noc Lipcowa“, p. Bolesława Gorczyńskiego; „Sprawa Kępiny“ p. Edwarda Grabowieckiego i „Mocarz“ p. Stanisława Brzozowskiego. Nadto odznaczono: „Auanke“, baśń dramatyczną p. Mieczysława Hertza; „Cara Dymitra“, p. Zerbiłło-Wolskiego; „W odmęcie“ p. Władysława Palińskiego; „Syna“, sztukę panny Emmy Jeleńskiej i „Spadkobierców“ Gryfa (pseudonim). Nagrodzone i odznaczone utwory będą w „Bibliotece“ przedmiotem krytycznej oceny.

Kilka tygodni temu w pismach galicyjskich ukazała się następująca odezwa:

„Kto patrzy na nasze życie publiczne, z boleścią stwierdza niektóre objawy, nie dowodzące jego należytego rozwoju. Nie mamy na myśli warstw niewykształconych, tak dostępnych do wszelkiej agitacji. Te nawet jednak koła, które inteligencją stoją wysoko, a które w życiu prywatnym, w swych zawodowych obowiązkach mają zdanie pewne i kierują się doświadczeniem, rozumem i ścisłym rachunkiem, zatracają aż nazbyt często te zalety i cnoty w zetknięciu z zagadnieniami publicznymi. Obojętność, chwiejność opinii publicznej, zastraszająca pobłażliwość dla wielu czynów, które—popelnione w stosunkach prywatnych—spotkałyby się z surowym sądem, nieledwie brak ducha publicznego, a przy tem wszystkim rażąca niejednokrotnie niezajomość spraw publicznych: oto objawy, które w naszym życiu publicznym powinny nawoływać do poprawy.

Oprócz tego wpływ literatury i prasy niemieckiej sprawia, że coraz mniej badamy nasze zagadnienia w ich początkach historycznych, a coraz częściej w oderwaniu od naszych właściwości i naszej indywidualności.

Do usunięcia niedostatków pragniemy wedle sił się przyczynić. Zamiarem naszym jest obudzić w tych właśnie warstwach, które zdolne są do krytycznego poglądu, zamiłowanie do spraw publicznych i dać im naukowe podstawy do oceniania tych spraw z samodzielnego punktu widzenia. Pragniemy tym sposobem dać im możność uwolnienia się od sugestyi walk wyborczych i prasy partyjnej. Z drugiej zaś strony dążyć będziemy do wpojenia w nie przekonania, że takie samo doświadczenie i taki sam ścisły rachunek, który jest ich przewodnikiem w życiu prywatnym, powinien im towarzyszyć także i w zawiłszych i trudniejszych zagadnieniach publicznych.

W tej myśli przystępujemy do założenia „Towarzystwa dla pielęgnowania nauk społecznych“. Jego cele, organizację i środki działania wyjaśnia statut. Podejmujemy się tej pracy w nadziei, że znajdziemy poparcie u wszystkich, którzy wierzą w możność poprawy galicyjskich stosunków na drodze wytrwałej, rozumnej i celowej, chociażby powolnej pracy. Wiedza i możność krytycznego sądu—to pierwszy takiej pracy warunek.“

Tyle słów odezwy. Podpisali ją pp. dr Zygmunt Balicki, dr Artur Benis, dr Leopold Caro, dr Wiktor Czermak, dr Z. Daszyńska-Golińska, dr Stanisław Estreicher, dr Antoni Górski, dr Władysław

Leopold Jaworski, dr Stanisław Grabski, dr Adam Krzyżanowski, dr Stanisław Krzyżanowski, dr Julian Makarewicz, dr Józef Milewski, dr Julian Nowak, ks. dr Stefan Pawlicki, dr Karol Potkański, dr Tadeusz Starzewski, dr Józef Steinberg, dr Mściśław Wartenberg i dr Bolesław Wicherkiewicz.

Powstanie takiego Towarzystwa w Galicyi jest niewątpliwie faktem znamiennym. Dowodzi to, że wszechwładne panowanie frazesu, płytkość i krótkowidztwo społeczne zbliżają się ku końcowi. Zbliżają się jednak tam. U nas — zapewne — w życiu publicznem długo jeszcze i niepodzielnie będą one królowały. Bo jeżeli rozejrzemy się po tych zagonach, które nie leżą odlogiem, ale na których jaka taka praca społeczna odbywa się, jeżeli zechcemy z mętnych haseł, rzucanych przez publicystykę, a do pracy takiej nawołujących, wyłowić jakie jądro, to łatwo spostrzeżemy, że o myśl przewodnią o program rozumny, oparty na dokładnej znajomości rzeczy, nad wyraz u nas trudno. Ludzi, orjentujących się w życiu zbiorowem, ludzi takich, którzyby znali i trafnie umieli ocenić potrzeby kraju z punktu widzenia jego rozwoju społecznego i ekonomicznego — można na palcach policzyć. Ogół naszej inteligencji natomiast stoi poza obrębem zdrowej samowiedzy społecznej, idzie po omacku, kieruje się tem, co odpowiada chwili, o systematycznej, programowej, szeroko pojętej pracy ledwo mając niejasne wyobrażenie. Wypływa to z zupełnego zaniedbania przez nas wykształcenia politycznego. Brak tego wykształcenia odbija się przedewszystkiem na współczesnej publicystyce naszej, która informuje płytko i powierzchownie o rzeczach i sprawach największej wagi; odbija się potem na całokształcie naszego życia, które tak liczne i wielostronne posiada braki. Jest to może tem dziwniejsze, że nigdzie zapewne ludzie nie rozprawiają tak chętnie i tak dużo o sprawach społecznych, jak u nas. Każdy ma tu zazwyczaj coś do powiedzenia i każdy uważa się za zdolnego i powołanego do rozcinania węzłów gordyjskich. Wytłómaczyć to można tylko przy pomocy faktu, że nie znając żadnej sprawy w całym jej splocie i powikłaniu, nie umiemy patrzeć na nią pod właściwym kątem, obserwujemy ją jednostronnie i uznajemy za łatwą do rozstrzygnięcia, za bagatelną nawet, podczas gdy wykształconemu społecznie obywatelowi ta sama sprawa nastęrczyłaby niejedną wątpliwość i wydałaby się poważną i trudną.

Czas więc byłoby, aby „pielęgnowanie nauk społecznych“ przeszło i u nas na porządek dzienny, frazes bowiem tak się rozpowszechnił w ostatniej dobie, że zachodzi obawa, czy nie stanie się on niedługo jedyną naszą informacją i przewodnikiem w rozpoznawaniu skomplikowanych zjawisk życia.

Nawet dna oceanów podlegają częstym badaniom i wyniki tych badań znać musi każdy żeglarz, prowadzący okręt. Cóż dopiero mówić o zmiennej i ruchliwej fali życia, która żłobi sobie coraz to nowe łożyska—tu, jeśli się nie chce na mieliźnie osiąść, trzeba drogi wytykać i możliwe kierunki prądu przewidywać naprzód, a do tego prowadzi tylko jeden środek — poważne i głębokie traktowanie nauk społecznych, budzące w ludziach czujność i pozwalające na ogarnianie szerokich widnokręgów.

Dnia 23 stycznia roku bieżącego zmarł w Warszawie ś. p. Wiktor Szumański, wybitny prawnik, niegdyś rejent w Łomży, człowiek zasłużony na polu pracy społecznej, dzielny organizator, umiejający budzić dokoła siebie życie i wytrwale stać na straży podniosłych ideałów.

Urodzony w roku 1847 w Radomiu, ś. p. Wiktor Szumański po ukończeniu gimnazjum wstąpił na wydział prawa i administracji do byłej Szkoły Głównej, którą ukończył ze stopniem magistra. Mianowany patronem trybunału cywilnego, pozostawał na tem stanowisku do czasu reorganizacji sądowej, poczem pracował jako adwokat przysięgły w Warszawie, a następnie od roku 1879, jako rejent przy sądzie okręgowym w Łomży. Tu z górami przez lat 20 był czynny i pożyteczny. Dzięki jego energii i inicjatywie powstał w Łomży cały szereg instytucji. Jedne tworzył, drugimi opiekował się i nadawał im właściwy kierunek, a wszystko, do czego przyłożył rękę, rosło i rozwijało się pomyślnie—czy to straż ogniowa, czy Towarzystwo dobroczynności, czy kasa przemysłowców, czy wreszcie Towarzystwo kredytowe miasta Łomży, jemu swój byt zawdzięczające.

Wśród licznych zajęć, ś. p. Szumański nie pomijał także i publicystyki. Z pod pióra jego wyszedł cały szereg artykułów, drukowanych w pismach warszawskich i prowincjonalnych, a wszystkie one ujawniały wysokie uzdolnienie i żywe poczucie obywatelskie autora.

Zmarł w sile wieku ku niemałej szkodzie społeczeństwa, które miłował głęboko i rozumnie.

go „Piast“, autora wielu pism i sztuk dramatycznych, znanego opiekuna teatru narodowego i — żołnierza, który odbył kampanię r. 1809 i walczył pod Raszynem, następnie brał udział w wojnie 1812 roku i walczył pod Berezyną, jako adjutant generała Zajączka, a potem Kniaziewicza. Matką ś. p. Adama, była słynna z wielkiej pobożności i dobroczynności, Emilia hrabianka z Tęczyna Ossolińska. Jej zapewne wpływom przypisać należy pełne poświęceń i dobrych czynów życie hr. Adama.

Spędziwszy z górą 30 lat w Krakowie, należał tam ś. p. Adam Krasieński do najpopularniejszych postaci, znany był zwłaszcza wśród ubogich i nieszczęśliwych. Będąc prezesem Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, z prawdziwym oddaniem się czuwał nad sprawami tej instytucji, która miała w nim niezastąpionego przewodnika i opiekuna, będącego wzorem cnót chrześcijańskich.

Urodzony w r. 1821, ś. p. Adam hr. Krasieński dożył sędziwych lat. Zwłoki jego przewiezione zostały do Radziejowic, gdzie spoczęły w grobowcu rodzinnym.

Dnia 24 lutego r. b. zmarł w Petersburgu, po długich i ciężkich cierpieniach ś. p. ks. Bolesław Hieronim Kłopotowski, arcybiskup metropolita mohylowski.

Urodzony w r. 1848 w Hołowczyńcach pod Szarogrodem, na Podolu, przysły dostojnik kościoła wyniósł z ziemiańskiego domu swych rodziców głęboką religijność. J. E. kształcił się początkowo w Złotopolu na Ukrainie, a po ukończeniu gimnazjum w Kijowie, odbył studia teologiczne w seminarjum żytomierskim i w akademii petersburskiej. Wyświęcony na kapłana w r. 1872, ś. p. ks. Kłopotowski otrzymał stopień naukowy magistra św. Teologii i natychmiast objął katedrę profesorską w semineryum w Żytomierzu. W r. 1877 powołany do Retersberga, był przez szereg lat profesorem tamtejszej akademii. Na tem stanowisku opracował trzytomowe „Compendium historiae ecclesiasticae“ dzieło wysokiej wartości naukowej.

W r. 1885 otrzymał stopień doktora prawa kanonicznego, a w r. 1896, prekonizowany na biskupa Eleuteropolitańskiego, objął sufraganię łucko-żytomierską. Na stanowisku tem pozostawał do r. 1901, to jest do chwili opróżnienia tronu arcybiskupiego w Petersburgu.

Powołany na tę najwyższą godność, zmarły dostojnik nie zdążył już rozwinąć szerokiej i pożytecznej pracy, o której marzył. Podjęta przed kilku miesiącami podróż do Tweru celem edebrania przysięgi od dzisiejszego biskupa sandomierskiego, J. E. Zwierowicza, przypawiła Go o ciężką chorobę i śmierć w pełni sił, bo zaledwie w 55 roku życia, ku powszechnemu żalowi i niemałej szkodzi osieroconej dyecezyi.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE

I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.—Posiedzenie *Wydziału Historyczno-Filozoficznego* odbyło się dnia 20 października 1902 roku. Porządek dzienny obejmował: a) Pracę profesora Piekosińskiego pod tytułem: „Wiadomości Długosza o mitologii polskiej“; b) Studium profesora Stanisława Estreichera, pod tytułem: „Centena i Opole“; c) Pracę d-ra Bujaka: „O średniowiecznych kartach żeglarskich“.—Posiedzenie tegoż Wydziału odbyło się dnia 16 lutego bieżącego roku z następującym porządkiem dziennym: a) prof. Franciszek Piekosiński: „Zarys historii włościan w Polsce w dobie Jagiellońskiej“ i „Prawo niemieckie wieków średnich“; b) dr W. Czermak: „O rzekomem zrównaniu prawostawnych z katolikami na Litwie w roku 1432“; c) dr St. Kutrzeba: „Geneza urzędu starostów“ (do połowy XIV wieku). Potem odbyło się posiedzenie ściślejsze. Na porządku dziennym był: Wybór Komitetu imienia Barczewskiego.

— Posiedzenie *Wydziału Filologicznego* odbyło się dnia 26 stycznia 1903 roku. Porządek dzienny obejmował: a) K. MORAWSKI: „Catulliana et Ciceroniana“; b) J. TRETIAK: „Juliusz Słowacki, historia ducha poety i jej odbicie w poezyi“, część pierwsza.—Posiedzenie tegoż Wydziału odbyło się dnia 9 lutego bieżącego roku z następującym porządkiem dziennym: dr Tadeusz GRABOWSKI streścił pracę swoją pod tytułem: „Poezya polska po roku 1863“, część trzecia. Potem odbyło się posiedzenie ściślejsze, na którym omawiano sprawę obchodu czterechsetnej rocznicy urodzin Reja.

— Zarząd Akademii Umiejętności przypomina, że termin *Konkursu imienia S. Lindego* upływa z dniem 31 grudnia 1903 r.

Do konkursu tego dopuszcza się prace z zakresu języka polskiego, a mianowicie: prace leksykograficzne z zakresu gramatyki, historii języka i dyalektologii polskiej, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi. Prace te mogą być, według aktu fundacji, drukowane, lub też w rękopisie nadesłane do Akademii; powinny odznaczać się metodą ściśle naukową, i każda ma stanowić zaokrągloną i skończoną całość.

— Wyszedł trzeci i czwarty zeszyt *Kwartalnika Teologicznego* (ulica Foksal № 16), (stron CXLVIII + 96 + 64), zawierający dużo ciekawych prac, z których wymieniamy kilka: ks. Stanisław Chodyński: Królewskie nominacje biskupów; ks. prof. dr Gabriel: Analityczny charakter prawa przyczynowości; ks. prof. Rokoszy: Stare druki w Bibliotece seminaryjnej w Sandomierzu. Bardzo starannie prowadzony jest dział Krytyki i Bibliografii.

— W zbiorowym wydawnictwie: „*Książki dla wszystkich*“ M. Arcta, ukazały się następujące tomiki: „O samokształceniu“, podług Pawła Hoche, napisał Antoni Krasnowolski (cena 20 kop.); „Jędrzej Śniadecki, jego życie i dzieła“, napisał Stanisław Brzozowski (cena 20 kop.); „Józef Korzeniowski, jego życie i pisma“, napisał Henryk Galle. — „Kobieta czasów obecnych“ napisała W. M. Morzkowska (15 kop.); Rządy pruskie na ziemiach polskich (1793 — 1807) napisał Wł. Smoleński (15 kop.); Ziemia pod względem geologicznym, opracowała Kaz. Skrzyńska. Z licznymi rysunkami (20 kop.).

— Zakład artystyczny Czesława Kulewskiego w Warszawie (Nowy Świat № 57) wydał seryę pocztówek, z pięknymi widokami Obłęgorka. Do najbardziej udanych zaliczyć należy: „Sadyba Sienkiewicza od drogi wjazdowej“, „Most przy wjeździe“, „Podjazd“, „Widok z balkonu“, „Pokój stołowy“, „Pracownia Sienkiewicza“, „Sienkiewicz i jego dzieci“. Karty pocztowe zrobione są według własnych zdjęć Czesława Kulewskiego w warszawskich zakładach fotochemicznych.

— KONKURS NA OPERĘ POLSKĄ. — Zarząd Filharmonii warszawskiej ogłasza niniejszem z fundacji *Konstantego Wołodkowicza* konkurs na napisanie opery, osnutej na tle poematu „Marya“ Antoniego Malczeskiego, pod warunkami następującemi:

1. Operą ma zapełnić cały wieczór, a więc składać się z trzech, czy czterech aktów.

2. Muzyka mieć powinna charakter swojski z możliwem zużytkowaniem motywów ludowych, przy zachowaniu cech, ściśle etnograficznych.

3. Libretto, którego plan wydrukowany będzie w „Echu muzycznym“ i w odbitkach złożony w księgarni Gebethnera i Wolffa, może ulegać modyfikacyom dowolnym, byleby większa część tekstu oryginalnego poematu była użytą bez zmiany. W miejscach, przedstawiających trudności zastosowania muzyki i śpiewu do poezji — należy użyć deklamacyi z towarzyszeniem or-

kiestry. W tem miejscu fundator wyraża życzenie, by libretto, dla nieodbijania dorobionych wierszy od poezyi Malczeskiego, było raczej ułożone prozą rytmiczną.

4. Najlepsza z nadesłanych partytur otrzyma nagrodę w sumie rubli pięć i ułamek, przyczem dzieło nagrodzone pozostaje najzupełniejszą własnością kompozytora wobec scen i osób trzecich.

5. Wyciąg fortepianowy nagrodzonej opery z tekstem wydrukowany będzie kosztem fundatora przez Zarząd Filharmonii Warszawskiej, również na wyłączną korzyść kompozytora.

6. Partytury orkiestrowe i fortepianowe, zaopatrzone godłem takim, jak i koperta zapieczętowana, mieszcząca nazwisko i adres kompozytora, winny być nadsyłane pod adresem Zarządu Filharmonii Warszawskiej najdalej do dnia 1 lipca n. st. 1904 roku.

7. Sądowi konkursowemu służy prawo poczynienia na lepiej opracowanych partyturach uwag, dotyczących warunków scenicznych, instrumentacji i t. p. Partytura, w ten sposób poprawiona, będzie mogła współubiegać się o nagrodę w konkursie następnym, który będzie ogłoszony, o ileby na pierwszym żadna z nadesłanych partytur nie zyskała absolutnej większości głosów.

8. Sąd konkursowy stanowią będą uproszeni przez fundatora panowie: Antoni Dvorzak, Leopold baron Kronenberg, Emil Młynarski, Zygmunt Noskowski i Władysław Żeleński.

— KONKURS IX-ty DELEGACYI ARCHITEKTONICZNEJ. — Właściciel majątku Raszków w gubernii Podolskiej ogłasza za pośrednictwem Delegacyi Architektonicznej konkurs na projekt dworu wiejskiego. Nagród wyznaczono dwie: 300 i 200 rubli. Nagrodzone projekty stają się własnością właściciela majątku Raszków, który jednak nie będzie obowiązany ani do wykonania w naturze jednego z projektów nagrodzonych, ani też do poruczenia budowy autorowi jednego z projektów nagrodzonych. Właścicielowi majątku Raszków służy prawo nabywania projektów nienagrodzonych po 100 rubli. Każdy projekt winien obejmować rysunki, wykonane szkicowo, lecz jasno: elewacyi, planów i przecięć dworu, budynku kuchennego, budynku maszynowego z wieżą ciśnień i stajni, oraz widoku perspektywicznego dworu i budynku kuchennego, wreszcie obliczenie objętości wszystkich budynków w sążniach sześciennych i m^3 . Prace konkursowe nadesłane być winny do Redakcyi „Przeglądu Technicznego“ w Warszawie (Krakowskie Przedmieście № 66) nie później, aniżeli w dniu 28 marca roku bieżącego, o godzinie 7-mej po południu. Przyznanie nagród nastąpi nie później, aniżeli w dniu 10-ym kwietnia roku bieżącego. Wynik konkursu będzie ogłoszony w „Przeglądzie Technicznym“.

Program i warunki konkursu, oraz plan sytuacyjny miejscowości można otrzymać bezpłatnie w Redakcyi „Przeglądu Technicznego“ w Warszawie, w Redakcyi „Architekta“ w Krakowie i w Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

Sąd konkursowy składają budowniczo wie panowie: Adam Oczkowski, Bronisław Rogóyski i Mikołaj Tołwiński, inżynier pan I. Chrzanowski i właściciel majątku Raszków, lub jego pomocnik, pan A. Radecki - Mikulicz z Odessy.

BIBLIOGRAFIA.

HISTORIA.

Dr Adam Bogusz: Wieś Siedliska Bogusz. Monografia, zebrana z dokumentów i wspomnień rodzinnych, ze szczególnem uwzględnieniem wypadków z roku 1846 i życiorysu Jakóba Szeli. Cena 2 korony. Kraków, 1893. Z portretem Stanisława Bogusza i podobizną medalu Szeli i Meternicha. Stron 64.

Stanisław Koźmian: Rok 1863. Tom pierwszy. Warszawa. Skład główny w księgarni Jana Fiszera, 1903, stron 261. Tom drugi, stron 339. Tom trzeci, stron 386.

Waleryan Krasieński: Zarys dziejów powstania i upadku Reformacji w Polsce. Z angielskiego tłómaczone. Wydał Jul. *Bursche*, pastor warszawski. Tom pierwszy. Cena rub. 1 kop. 25. Warszawa. Nakładem „Zwiastuna Ewangelicznego“, 1903, stron VI + V + 254.

Józef Ignacy Kraszewski: Polska w czasie trzech rozbiorów. Tom trzeci. 1791 — 1799. Z 89 ilustracyami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903. Stron 564.

Juliana Ursyna Niemcewicz: Pamiętnik o czasach Księstwa Warszawskiego (1807 — 1809). Z autografu Biblioteki Cesarskiej w Petersburgu wydał Aleksander *Kraushar*. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Z portretem Niemcewicza. Stron VI + 196 + IV.

Jan Scherr: Rok 1848. Dramat dziejowy. Warszawa, 1903. Stron 104. Z początku: *Od Redakcyi*. Wacław Nałkowski, stron X. Z portretem („Biblioteka samokształcenia“).

Jakób Sobieski: Reszty rękopisu... ojca króla Jana III, obejmującego jego podróże, odbyte w latach 1613 i 1637. Z autografu... wydał Aleksander *Kraushar*. Warszawa, 1903, stron 39.

Kazimierz Wachowski: Słowiańszczyzna zachodnia. Studya historyczne. Tom pierwszy. Stron 4 nlb. i 271. Z zapomogi Kasy imienia Miąnowskiego. Warszawa, 1903. E. Wende i S-ka. Cena rub. 1 kop. 20.

Stasław Zakrzewski: Opactwo benedyktyńskie św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie w latach 977—1085. W Krakowie, 1902. (Odbitka z Rozpraw Akademii Umiejętności). Stron 89.

HISTORIA LITERATURY. — PEDAGOGIA.

Piotr Chmielowski: Stylistyka polska wraz z nauką kompozycji pisarskiej. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903. Stron 414 + 9 nl.

Tegóż: Dzieje krytyki literackiej w Polsce. Qui parce laudat, parcius vituperet. *Mistrz Wincenty*. Dla uczczenia trzydziestopięcioletniej działalności autora, jako pisarza i pedagoga, wydane staraniem jego Przyjaciół i Kolegów. Z portretem autora i z przedmową Bronisława Chlebowskiego. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1902. Stron XVII + III + 583 + X.

Bronisław Gorczak: Katalog rękopisów archiwum książąt *Sanguszków* w Sławucie ułożony i Historję tegoż archiwum skreślił... konserwator zbiorów sławuckich. W Sławucie. Nakładem właściciela. W drukarni M. Gajckiego. 1902. Stron XLV + 488. Cena pięć rubli.

M. Karejew: Wskazówki do samokształcenia. Tom pierwszy, stron 189. Warszawa, 1903. Nowy Świat № 41 (Biblioteka samokształcenia).

Biblioteka samouków. I. W. M. Kozłowski: Klasyfikacja Umiejętności na podstawach filozoficznych, jako wstęp do wykształcenia ogólnego. Wydanie drugie. Kraków. 1902. Wydanie „Poglądu na świat“, stron 90 + 2 nlb.

SPRAWY SPOŁECZNE.

Jan Bloch: Przyszła wojna pod względem technicznym, ekonomicznym i politycznym. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1900. Tom pierwszy, stron XXXIII + 557. Tom drugi, stron XV + 707. Tom trzeci, stron XXXIV + 400. Tom czwarty, stron XXXVII + 536. Tom piąty, stron XXXIV + 504.

Sprawozdanie z czynności i z publicznych posiedzeń Izby Handlowej i Przemysłowej w Krakowie za rok 1801. Kraków, 1902. Stron XI + 258.

Dr Stanisław Kopczyński: Udział niektórych instytucji publicznych w sprawie wychowania higienicznego. Stron 18. Odbicie z „Czasopisma Lekarskiego“. Tom czwarty, № 9, 1902.

Wł. Piłat i Wit. Lassota: O nowoczesnej socyologii. Sześć wykładów. Lwów. Czeionkami drukarni Ludowej. 1893. Przedruk z „Przełądu Prawa i Administracji“. stron 178.

Ignacy Popiel: Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskim. Zeszyt drugi. Skład główny: Księgarnia warszawska, 1903, stron 50.

Na Bagno Stanisława Witkiewicza Odpowiedź Radnych Gminy Zakopane. Zakopane, 1903, stron 16.

POEZYJE. — DRAMATY. — POWIEŚCI.

St. B.....: Manfred. Melodramat fantazyjny w dziesięciu obrazach. Naśladowanie (z) Byrona. Warszawa. Własność Warszawskiej Kasy Literackiej. 1903. Księgarnia J. Fiszera, str. 8 nlb. + 112.

Stanisław Bełza: W północnej Afryce (com widział i czuł). Wydanie, ozdobione dziesięcioma światłodrukami z zakładu B. Wierzbickiego i S-ki w Warszawie. Warszawa. E. Wende i S-ka, 1908, stron 277.

Wacław Berent: Próchno. Powieść wsnólczesna. Ozdoby Maryana Wawrzeńckiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa. 1903, stron 369 + 2 nlb.

Paweł Bourget: Po szczeblach. Przekład W. G. Tom pierwszy, stron 160. Tom drugi, stron 160. Tom trzeci, stron 168.

Wacław Gąsiorowski: Kajetan Stuart (ostatnia obrona Częstochowy). Powieść z czasów Księstwa Warszawskiego. Warszawa. Nakładem Kasy warsz. pomocników księgarskich. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1903. Z portretem Kajetana Stuarta, stron 364.

Janina Górska; Poezye. Serya druga. Warszawa. T. Paprocki i S-ka, 1903, stron 136 + IV. Okładka z widokami Kamieńca Podolskiego, układu Leona Rakowskiego.

Tadeusz Jaroszyński: Chimera. Powieść z życia artystów. Petersburg. K. Grendyszyński. 1903. Stron 392.

Marya Konopnicka: Poezye w nowym układzie. III. Pieśni i piosenki. Warszawa, 1903. Stron 170. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Multatuli: Wybór pism. Przełożyła i zaopatrzyła przedmową M. Posner-Garfeinowa. Warszawa, 1903. Nakładem księgarni Naukowej, Kruca 4t. (Z portretem). Stron 308.

Władysław Orkan: W roztokach. Powieść. Tom pierwszy, stron 228. Tom drugi, stron 242. Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego. 1903.

Or-t: Poezye. Warszawa. 1903. („Biblioteka dzieł wyborowych“, № 267). Stron 160. Cena 40 kop.

Eliza Orzeszkowa: Anastazyja. Powieść. Warszawa, 1903. Stron 258. Z fotogr. reprodukcją rysunku Antoniego Kamińskiego. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Fr. Reinstein: Monologi i dyalogi. I, str. 46; II, str. 42.

PISMA ZBIOROWE.

Wisła. Miesięcznik z rysunkami, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu. Styczeń — Luty. 1903. Tom XVII. Zeszyt pierwszy. Warszawa. Skład główny i ekspedycya w księgarni E. Wendego i Spółki. Redaktor i wydawca Erazm Majewski. Treść zeszytu pierwszego: A. Chudziński: Brodnica w XVIII wieku (z rysunkami). — J. Milewska: Sposoby zabawiania dzieci i ich zabawy w Ciechanowskim. — H. W.: Z dawnych zwyczajów szkolnych (z rysunkiem). — E. Majewski: Pochodzenie

maku i jego nazwisk. — Witowt: Baśni z Kujaw Borowych. — M. Stecker: Jeszcze słów kilka o wzorach hafciarstwa ludowego (z rycinami). — Witowt: Dwie pieśni do deszczu. — Poszukiwanie. — Sprawozdania i Krytyka. — Przegląd czasopism. — Stron 130.

Wyszedł z druku zeszyt IV tomu VI Encyklopedyi Wychowania wczey i obejmuje następujące artykuły: Komeński (dokończenie) — przez A. Danysza. Komisya edukacyjna — przez Henryka Gallego. Komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego — przez Piotra Chmielowskiego. Komisya Rządowa Oświecenia Publicznego — przez Józefa Bielińskiego. Komisya sądowo-edukacyjna — przez tegoż. Konarski Stanisław — przez Floryana Łagowskiego. Koncentracya — przez Aniełę Szycównę. Konferencye dyrektorów — przez A. Frączkiewicza. Konfirmacya — przez ks. A. D. Konopczyński Emilian — przez Bronisława Bieńkowskiego. Konsekwencya w wychowaniu — przez St. Karpowicza. Konserwatorya muzyczne — przez Aleksandra Polińskiego. Konwersacye — przez Waldemara Osterloffa.

Zygmunt Gloger: Encyklopedyi Staropolskiej tom trzeci opuścił prasę i zawiera artykuły, rozpoczynające się od litery *K* aż do *O* włącznie. Tom ten obfituje w objaśniające tekst ilustracye.

Juliusz hr. Ostrowski: Księga herbowa rodów polskich. Zeszyt XV. Warszawa, 1903. Stron 493 — 516 i 285 — 300.

Wyszedł z druku 130-ty zeszyt Słownika Geograficznego, zawierający dopelnienie do całości dzieła od nazwy „Lubasz” do „Michaliszki”. Z większych opracowań podano tu: Lublin, Lubusz, Lwów, Łódź, Komża, Łuck, Maków, Małogoszcz.

Warszawska Gazeta Sportowa, № 1, rok 1903. Pismo sportowe ilustrowane, stron 16.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.

Komitet Zarządzający Kasą pomocy

DLA OSÓB, PRACUJĄCYCH NA POLU NAUKOWEM

imienia d-ra Józefa Mianowskiego,

podaje do wiadomości,

ze z fundacyi Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga, zatwierdzonej przez Władzę rządową, przyznana zostanie w roku 1903-cim nagroda pieniężna imienia profesora Adolfa Pawińskiego, w wysokości rubli 600, za najlepszą z ogłoszonych drukiem w języku polskim, w ciągu trzech ostatnio ubiegłych lat, to jest 1900, 1901 i 1902 pracę, odnoszącą się do historii polskiej. Z dzieł równej wartości naukowej pierwszeństwo do nagrody służy dziełu, mającemu za przedmiot opracowanie materiałów, zebranych przez profesora Pawińskiego. Stosownie do Ustawy Kasy i do zastrzeżeń Władzy, przyjętych przez ofiarodawców, nagroda ta może być udzielona jedynie poddanemu rosyjskiemu, o ile nie przebywa za granicą bez pozwolenia rządu, za dzieło, przez Cenzurę dozwolone, choćby wydane za granicą. Jakkolwiek Komitet zarządzający Kasą będzie usiłował zebrać dla oceny kwalifikujące się do nagrody prace, wydane w latach wymienionych, dla uniknięcia jednak przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu (Niecała № 7), lub na ręce jednego z członków Komitetu.

Komitet Zarządzający Kasą pomocy

dla osób, pracujących na polu naukowym,

imienia d-ra Józefa Mianowskiego,

podaje do wiadomości:

że z zapisu Jakóba Natansona, przyznane zostaną w roku 1905 dwie nagrody pieniężne:

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi) ogłoszone drukiem w języku polskim w latach: 1901, 1902, 1903 i 1904; druga za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, lub tym podobnych. Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym. Komitet zarządzający Kasą własnem staraniem usiłował zebrać, dla poddania ocenie prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknięcia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu, lub na ręce jednego z członków Komitetu.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z ROKU 1903.

HISTORIA.

	Str.
PAMIĘTNIK GENERAŁA JANA WEYSSENHOFFA (dokończenie), — podał Józef Weyszenhoff	142
WINOWAJCY. GALICJA W ROKU 1846 tym, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego	38
SZESNAŚCIE DNI Z MEGO ŻYCIA, CZYLI RELACJA Z PODRÓŻY DO PETERSBURGA, PODCZAS REWOLUCJI POLSKIEJ Z ROKU 1830—1831-go, — przez Tadeusza Wyleżyńskiego	221 i 478

SZKICE POLITYCZNE.

NOWE PRĄDY POLSKIE I ANTYPOLSKIE POD RZĄDEM PRUSKIM, — przez Poznańczyka	1
WIELKONIEMIECKIE MRZONKI POLITYCZNE, — przez Aleksandra Rembowskiego	350

LITERATURA.

AD ASTRA, DWUGŁOS przez Elżę Orzeszkową i Juliusza Romskiego (dalszy ciąg)	14, 244 i 429
TEŃSKNOTA. Wiersz, — przez Bronisławę Ostrowską	110
W GÓRACH. (Z SERJI V-ej), — przez Kaz. Tetmajera	368

STUDYA I SZKICE LITERACKIE
I ARTYSTYCZNE.

	Str.
TEATR I MUZYKA, — przez Władysława Bogusławskiego	119
ALEKSANDER KRAJEWSKI (A. A. K.), — przez Tadeusza Korzona	317
WAGNER JAKO POETA I ESTETYK, — przez d-ra Józefa Flacha	448
O BOHDANIE ZALESKIM (dokończenie), — przez Maryę Ko- nopnicką	532

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE
i EKONOMICZNE.

PRAWO SPADKOWE W KRÓLESTWIE A WŁASNOŚĆ ZIEM- SKA, — przez Franciszka Górskiego	276
KIERUNKI SPOŁECZNO - GOSPODARCZE ZA KSIĘSTWA WAR- SZAWSKIEGO, — przez St. A. Kempnera.	570
WŁASNOŚĆ ZIEMSKA W KRÓLESTWIE POLSKIM, — przez Aleksandra Kłobukowskiego. .	503

NAUKI PRZYRODNICZE.

Z OSTATNIEJ DOBY WULKANIZMU. — przez Ksawerego Sporzyńskiego	77
PIERŚCIEŃ SATURNA, — przez St. Kramsztyka	299

ROZMAITOŚCI.

Myśli Stanisława Staszica do ułożenia stanu nauczycielskiego w kra- jach Księstwa Warszawskiego, — z autografu przepisał i słowem wstępnem poprzedził dr Szeliha	169
Wiśniowiec w listopadzie 1781 roku i podróż Stanisława Augusta do Kamieńca, — przez Józefa Dunin-Kar- wickiego	374
„Naród“ żydowski, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego	590

KRYTYKA.

Prof. Bronisław Dembiński: „Źródła do dziejów drugiego i trzeciego
rozbioru Polski“. Tom pierwszy. Polityka Ros-
yi i Prus wobec Polski od początków sejmu

	czteroletniego do ogłoszenia konstytucyi trzeciego maja. 1788 — 1791, — przez A. R. . . .	181
<i>Maciej Lorec:</i>	„Między Jeną a Tylżą“. 1806—1807. Tom drugi. Monografia w zakresie dziejów nowożytnych (wydawnictwo prof. Askenazego). — przez A. R. . .	185
<i>Stanisław Zdziarcki:</i>	„Bohdan Zaleski“. Lwów, Towarzystwo wydawnicze, 1902, — przez A. Drogoszewskiego	190
<i>Józef Bojasiński:</i>	„Monografia w zakresie dziejów nowożytnych“. Wydawca Szymon Askenazy Tom pierwszy. Rządy tymczasowe w Królestwie Polskiem. Maj—Grudzień, 1815, — przez A. R.	381
<i>Józef Ignacy Kraszewski:</i>	Polska w czasie trzech rozbiorów. 1772—1796. Studya do historii ducha i obyczaju. Tom drugi. 1755 — 1791, — przez A. R. . . .	387
<i>Gadon:</i>	Emigracya polska. Pierwsze lata po upadku powstania listopadowego. Tom trzeci, 1902, — przez A. R. . . .	391
<i>Frédéric Masson:</i>	Mémoires du comte de Moriolles, sur l'émigration, la Pologne et la cour du grand duc Constantia (1789 — 1833). Précédés d'une introduction. Paryż, 1902, — przez A. R.	399
<i>Wacław Gąsiorowski:</i>	„Rapsody napoleońskie“. Zbiór fragmentów historycznych. Warszawa, 1903. Księgarnia pod firmą E. Wende i S-ka, — przez Z. D. . . .	404
<i>Zofia Urbanowska:</i>	„Róża bez kolców“. Opowiadanie, osnute na tle przyrody tatrzańskiej, z licznymi rycinami w tekście. Warszawa, 1903. Nakładem księgarni B. Grendyszyńskiego w Petersburgu, — przez Z. D.	406
<i>Andrzej Bonnefons:</i>	Un allié de Napoléon, Frédéric Auguste, premier Roi de Saxe et grand Duc de Varsovie 1763—1827, d'après les archives du ministère des Affaires Étrangères et du royaume de Saxe. Paryż, 1802, — przez A. R.	594
<i>Aleksander Mańkowski:</i>	„Podróż za granicę“. Powieść. Warszawa. 1903, — przez Władysława Bogusławskiego	602
	„Pamiętnik Kielecki“. Zbiór prac ku uczczeniu Adama Mickiewicza, 1788 — 1898. Kielce. Wydanie Bronisława Bieńkowskiego. Druk St. Święckiego. Skład główny w Warszawie, w księgarni Jana Fiszera, in 4-o, stron 254, — przez Henryka Gallego	603

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ:

Z posiedzeń Rady rolnej gubernii Warszawskiej.—Sanatoryum w Rudce.—Spekulacya węglowa.—Nowomiano-

	wani biskupi: Tyraspolski, Brzesko-Kujawski i Sandomierski.— Reforma pasportowa. — Towarzystwo lekarskie w Radomiu. — Konkursy dramatyczne.— Odezwa Warszawskiego Towarzystwa artystycznego. — Ś. p. dr Bronisław Jazdowski. — Ś. p. prof. dr Wacław Sobierański.— Ś. p. Władysław Kwietniewski	106
LUTY:		
	Ilu jest na świecie Polaków?—Towarzystwo urządzania i ulepszenia mieszkań dla ubogiej ludności pracującej.— Związek handlowy kółek rolniczych w Krakowie i dziesięcioletnia jego działalność. — Konkurs „Gazety Polskiej”. — Wynalazek inżyniera Brzeskiego. — Ś. p. O. Wacław (Nowakowski)	408
MARZEC:		
	Kilka słów z powodu wystawy higieniczno-spożywczej w Łodzi. — Kredyt na uieruchomości w miastach prowincjonalnych. — Puste domy w Mielżynie.— Zwinięte klasztory. — Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. — Konkurs dla gospodarstw większych. — Konkurs dramatyczny imienia Sienkiewicza.—Towarzystwo pielęgnowania nauk społecznych. — Ś. p. Wiktor Szumański. — Ś. p. Julian Ankiewicz. — Ś. p. Adam hr. Krasiński.—Ś. p. Ks. Bolesław Hieronim Kłopotowski, arcybiskup metropolita mohylowski.	607

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE
I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ	214
LUTY	421
MARZEC	625

WYDAWNICTWO GEBETHNERA i WOLFFA

Piotr Chmielowski:

DZIEJE KRYTYKI LITERACKIEJ w Polsce,

DLA UCZCZENIA 35-LETNIEJ DZIAŁALNOŚCI AUTORA, JAKO PISARZA
i PEDAGOGA, WYDANE STARANIEM JEGO PRZYJACIÓŁ I KOLEGÓW,

z portretem autora i przedmową

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO

Cena rb. **3.**

Do nabycia w znaczniejszych księgarniach.

Dla czytających i kupujących książki jedyny najdokładniejszy
informator miesięcznik

„KSIĄŻKA“

poświęcony krytyce dzieł polskich i bibliografii

POD KIERUNKIEM

Maryana Massoniusa.

Oprócz krytyk i sprawozdań z dzieł polskich, podaje **kompletną bibliografię** polską bieżącą, treść wszystkich miesięczników i kwartalników i kronikę literacką.

Cena rocznej prenumeraty tylko rub. **2**

Z przesyłką rub. **2 kop. 50.**

Nabywać oraz prenumerować można we wszystkich księgarniach.

Wydawnictwo księgarni pod firmą **E. Wende i S-ka**, w Warszawie.

Próbne numery na żądanie gratis i franco.